

MAGDALENA ŚWIERCZEK-GRYBOŚ



NIEŚWIAT

ŚWIAT NIE MUSI KOŃCZYĆ SIĘ W BŁYSKU I HUKU,
WIDOWISKOWO I NAGLE



MAGDALENA ŚWIERCZEK-GRYBOS



NIEŚWIAT

KRAKÓW 2023

Spis treści

Strona tytułowa

CZEŚĆ PIERWSZA WYGNANIE

Rozdział pierwszy Kot, który patrzył

Rozdział drugi Wąż, który sam siebie pożera

Rozdział trzeci Wiedźma, która nie zna czarów

Rozdział czwarty Dom, do którego nie sposób dotrzeć

Rozdział piąty Głos, którego nie słyhać

Rozdział szósty Duch w maszynie, obcy w łonie

CZEŚĆ DRUGA KRÓLESTWO

Rozdział siódmy Głosy niemych świadków

Rozdział ósmy Człowieczeństwo nie ludzi

Rozdział dziewiąty Co zasiejesz, tego nie zjesz

Podziękowania

Pozdro z Marsa (posłowie)

Karta redakcyjna

CZĘŚĆ PIERWSZA

Wygnanie

*Źle to, gdy się podli szczycą.
Zeszła się raz świnia z lwicą,
Więc w dyskursa. W tych przewlekła,
Z żalem świnia lwicy rzekła:
Żal mi ciebie, luboś godna,
Luboś zacna, żeś mniej płodna.
Patrz na moją zgraję świnków:
Co tu córek, co tu synków!
A wszystkie jednym pomiotem.
Rzekła lwica: Wiem ja o tem.
Ródź ty dziesięć, cztery, dwa,
Ja jednego, ale lwa.*

Ignacy Krasicki, *Lwica i maciora*



Rozdział pierwszy

Kot, który patrzył

#niepatrznanieświat
#jato tylkopożyczam
#zgnię dusze
#jaksięchowafłaszke

Lew był chłopcem na tyle ciekawskim, że mimo popsutego awatara nie mogło ominąć go wielkie otwarcie Dobrego Zoo.

Wróć. Nie mogło go ominąć, bo był przede wszystkim chłopcem śmiertelnie znudzonym.

Może kiedyś zoo plasowało się poniżej takiego Disneylandu czy innej Energylandii pod względem porządnej dawki adrenaliny. Najbardziej intrygowało małe dzieci, przechodzące fazę fascynacji zwierzątkami, a Lew dawno już przeszedł przecież w starczy wiek nastoletni. Do tego mógł robić mnóstwo fajniejszych rzeczy w świecie wirtualnym – skakać ze

spadochronem albo nurkować w takich głębinach, że w realu ciśnienie zgniotłoby mu czaszkę. Zresztą ostatnio otworzono wirtualny park jurajski z dinozaurami zajmujący całą wyspę, a nie jakieś tam małe zoo.

Problem w tym, że to wszystko był pic na wodę – Lew logował się w konsoli, wchodził w tak zwaną Inkarnię i wtedy mógł „szaleć”. „Spotykać” ludzi, „jeść” frykasy czy dać się połknąć stutonowemu argentynozaurovi, by przejść, jak głosiła reklama, *fenomenalną lekcję anatomii!*

Tak naprawdę jednak spędzał życie w odizolowanym domu o zasłoniętych oknach i nie mógł wyjść za próg inaczej niż swoim awatarem. Sam czuł się przez to nieprawdziwy. Wirtualny jak wszystko, co przeżywał. Nolife.

Za to Dobre Zoo nie było wirtualne. Istniało w realu. Może i nadal nie dało się go odwiedzić własnym anemicznym ciałem, zazwyczaj pokonującym jedynie drogę z łóżka do konsoli, ale jego mieszkańcy byli naprawdę. Choćby mizerni jak Lew, nieważne. Ostatnie ocalałe okazy zwierząt na Ziemi. Musiał to zobaczyć.

I tu wracał problem popsutego awatara.

Lew próbował uzyskać dostęp do konta mamy, ale nawet obcując w jednym domu z hakerką i używając z nią wspólnej sieci oraz kodów, przełogowanie nastroczało mu nie lada trudności. Mama, Miłka, zesłała właśnie do piwnicy, żeby naprawić mu inkarnację, czyli jego awatara. Gdyby oddali go serwisantom, ci zapewne oniemieli by na widok wpakowanych w niego nielegalnych bajerów. I już by go nie oddali.

Lew mógł więc – przynajmniej w teorii – spróbować wyjść ze swojego pokoju. I dorwać konsolę mamy. Użyć jej inkarnacji. Może zdążyłby choć rzucić okiem na okazy w Dobrym Zoo...

Uchylił przeszkłone dymioną szybą drzwi; od miesięcy ich nie dotykał. Kitek wchodził i wychodził przez kłapkę. Z korytarza napłynął chłód – nie ogrzewali pomieszczeń, w których nie przebywali. Chłopak zdjął z wieszaka maskę filtrującą, założył ją na wszelki wypadek (choć uciskała uszy) i wyslizgnął się z pokoju.

Przez frotowe skarpetki przebiło zimno drewnianej podłogi. Czujnik zawył krótko w pograżonym w niebieskim świetle korytarzu i umilkł. Lew splótł ciasno ręce wokół klatki piersiowej, w której łomotało podniecone serce, i przemknął do zakurzonego salonu. Ten przywitał go krótkim piskiem kolejnej czujki oraz zagadką: jedno z okien było nieprzesłonięte ciężką kotarą. Leżała na ziemi z wyraźnie zaznaczonym kocim legowiskiem. Chłopak rozejrzał się za zwierzęciem, ale nigdzie go nie dostrzegł. Odezwał się w przestrzeń:

– Kitek... – z ust uniósł się obłoczek pary o dziwnym odcieniu – ...zerwałeś kotarę?

Był coraz bliżej okna i czuł wzmagające się dreszcze.

Nie powinienem... Syf stanowczo odradza... Zwłaszcza w moim wieku...

System Przełożenia Uczynków na Wizualizację Duszy, zwany supłem (przez dorosłych) bądź syfem (przez dzieci i dorosłych, ale ci drudzy nie chcieli się do tego przyznać), odpowiadał za upodabnianie inkarnacji do użytkowników. Nieposłuszeństwo szpeciło, złe uczynki kaleczyły awatary. Lew wiedział, że właśnie usiłuje zarobić bielmo na oku, i powinien przestać.

Psychiczna tresura walczyła z dziecięcą ciekawością. I przegrała. Lew ostrożnie przyłożył dłoń do szyby i spojrzął na nieświat.

To, co znał jako podwórko, za bezpiecznymi murami domu było jedynie krajobrazem przegniętych kształtów. Przywodziły na myśl dawno zatopione i wywleczone na brzeg, pokryte mułem przedmioty, niemające nic wspólnego z baśniowymi skarbami piratów. Proszyło na nie szare... coś. Miało dziwny kształt, niby grube, ciągnące się pajęczne nici.

Powietrze wypełniały nieregularne smugi wielobarwnej mgły – koder – kolory zdawały się jednak nie wnikać w tkankę nieświata. „Nie wolno patrzeć bezpośrednio na koder” – mówili dorośli, tak jak kiedyś słyszało się: „Nie patrz bezpośrednio na słońce”. Lwa od substancji oddzielała specjalna szyba i okulary maski, więc... Ukradkiem, rozpalony, wyłapywał kształty pojawiające się w splotach mgły, podglądając coś zakazanego.

Kątem oka dostrzegł poruszenie na skrytym w ciemnoszarej powale nieboskłonie. „Nie wolno patrzeć na niebo nawet przez kilka denek od butelek”. Tyle że chłopak nie panował już nad sobą. Zobaczył, że ze sztucznego, kleistego mroku wychynął ledwie skrawek... CZEGOŚ... kształt na niebie, który trudno opisać, i Lew już leżał na podłodze, próbując wtłoczyć oddech do ściśniętych jak w imadle płuc.

– Okej – wychrypiął po chwili.

Powoli usiadł. Plecami do okna. W głowie miał rozdygotaną galarete, a serducho waliło tak, że z trudem rozpoznawał pojedyncze uderzenia.

– Jasne. Jak nie spróbujesz, to się nie przekonasz.

Koder pozwalał przekształcić zniszczoną rzeczywistość, dzięki czemu można było poruszać się po świetle w wirtualu. Jednak chłopakowi nie podobało się to, co zobaczył w tajemniczej substancji. Odniósł wrażenie, jakby drażniła tkankę nieświata.

Wzdrygnął się i podźwignął na nogi. Zza kotary sąsiedniego okna spoglądały na niego wielkie zielone oczy pełne tych samych kształtów, których Lew nie powinien widzieć. Kitek prychnął wściekle. Jego spojrzenie było zimne jak wzrok umarlaka.

Chłopak nie odezwał się do niego; przemknął przez salon na paluszkach, wszedł w pogrążone w czerwonym świetle skrzydło domostwa należącego do mamy i pchnął drzwi do sypialni.

Ostatni raz zapuścił się na terytorium rodzicielki rok temu, kiedy ta wyszła z domu, pozostawiając swojego awatara na pastwę niepokohamowanej ciekawości syna. Lew zdołał poznać nieco Maszę, matczyną inkarnację, ale nie wyszedł nią poza dzielnicę. Teraz miał zamiar pokonać siedem dzielnic dzielących go od Dobrego Zoo. Bał się, ale miał już opracowane awaryjne wylogowanie. Znał też na pamięć drogę ucieczki, którą wielokrotnie rysował w szkicowniku. Od lat był zawsze przygotowany na wyjście z pokoju – w końcu zdarzało się tak mało okazji...

Sypialnia mamy wyglądała na zagraconą, ale w przemyślany sposób. Stosy przedmiotów zalegające na podłodze były pogrupowane, a pomiędzy nimi kobieta zostawiła wystarczająco szerokie ścieżki. Lew czuł zapach świeżo upranej pościeli leżącej na zasłanym łóżku; sam wrzucał rzeczy do pralki w ostateczności. Nauczyciele wystarczająco wiele razy grzmieli, by nie marnować prawdziwej wody, a długich kąpieli zażywać tylko w Inkarnii. Dlatego też chłopak czuł się niejako usprawiedliwiony, by myć się jak najrzadziej. Na tle aromatu

fiolków i różanych kadzidełek, które mama paliła na parapetach, poczuł własny zapaszek. Nic sobie z tego nie robił. Nim dotarł do konsoli zastawiającej zalepione wyjście na balkon, wykonał dziwaczny taniec po drózkach wyżłobionych w górach książek, ubrań, a przede wszystkim najróżniejszych urządzeń. Rozbawiło go to błędzenie po obcym królestwie. Zalewała go ekscytacja, której nie czuł od miesiący. Zrobił piruet przy wielkiej aż po sufit konsoli, nim stanął w strefie, chichocząc, i włączył skanowanie, a potem funkcję „kontakt”.

Logowanie (wywołujące zazwyczaj doznanie, jakby ktoś znów przytwierdził człowiekowi pępowinę do brzucha i uparcie ciągnął) było krótkie, bo Masza trwała w stanie czuwania. Jak widać, mama olewała apele o oszczędność w korzystaniu z wody i prądu. Ponadto zostawiła awatara w sklepie, w przebieralni, siedzącego w samej bieliźnie na miękkim pufie. Lew wstał niezgrabnie i spojrzął w lustrze na Maszę. Miała na sobie wygodny, czarny, chyba sportowy biustonosz i majtki przypominające śliskie bokserki. Ciało inkarnacji nie było idealne, ale pozostawało piękne; parę blizn, niewielkie boczki czy lekko zwisająca skóra na ramionach to nic w porównaniu z tym, jak awatary potrafiły unaocznic obrzydliwość niektórych dusz. Jeśli czyniło się zło, a nawet tylko myślało o niegodziwych rzeczach, inkarnacje szpetły. Lew oglądał ciało mamy z zachwytem. W końcu nie patrzył na „opakowanie”, a odbicie wnętrza. Zerknął jeszcze w bardzo jasne, niebieskie oczy, przesunął dłonią po ciemnoblond włosach i linii szczęki, po czym chwycił miękki czerwony sweter oraz dzinsy tymi długiemi rękami i wcisnął na przedziwnie (w porównaniu z jego) zaokrąglone ciało.

Na szczęście mama nie była dużo wyższa od niego, więc poruszanie Maszą nie sprawiało trudności. Lew odnosił jednak to samo wrażenie, co ostatnim razem – że awatar pokazuje świat w jakiejś innej perspektywie. Jakby stanowił coś więcej, niby guma z nadzieniem, do którego chłopak, mimo usilnego żucia, nie może się dostać. Doznanie to jednocześnie wydawało się subtelne i drażniące. Lew postarał się je zignorować. Dobrze Zoo. Okazy. Pośpiech.

Przestronny sklep był pełen ślicznych kobiet. Przy wielkiej sklepowej witrynie czaiła się jednak pokraka – inkarnacja niegodziwca. Babsztyl próbował poukrywać swoje niedoskonałości pod fałdami licznych ubrań, ale Lew dostrzegł zazdrosne spojrzenie paciorkowatych oczu ponad pełnym brodawek i ropni nosem.

Minął pokrakę, przyciskając skórzaną torebkę mamy do piersi, wyszedł z butiku i rozejrzał się po ulicy. Niebo miało tego dnia fioletowy odcień, rzucając na miasto różowawy blask.

Chłopak znajdował się na zatłoczonej Pięknej. Dobrze Zoo otwierano kilkanaście ulic dalej, na Eksperymentalnej. Miał szczęście. Pognał w stronę widniejącego w oddali placu Hologramów, dziwnie się czując w butach na wysokich koturnach. Pod sklepem z gadżetami karnawałowymi tkwiło kilka pokrak oglądających wystawione w witrynie maski. Przechodnie omijali tych osobników szerokim łukiem, uśmiechali się za to do Maszy. Ładna aparycja i smukła sylwetka kojarzyły się z bezpieczeństwem. „Dobrzy ludzie nie krzywdzą, przynajmniej nie umyślnie” – mówił każdy, kto uważał się za mądrzejszego od Lwa, czyli prawie wszyscy dorośli. Tylko jeden nauczyciel, którego zwolniono pół roku wcześniej, twierdził z pochmurną miną, że dobro nie jest na pokaz, a to, co widać, stanowi tylko fasadę: „Wszyscy są zwyrodniali, bądźcie czujni...”.

Nic dziwnego, że przezywano go w szkole Szaloonooki Moody.

Tego dnia plac Hologramów pysznił się wizualizacjami dawnych pereł światowej architektury. Pomniejszone budowle powoli przechodziły przez cykle swojego istnienia, od wznoszenia, przez lata świetności, po zmierzch i rozpad. Lew stanowczo odwrócił wzrok od egipskich piramid i świątyń Inków. Chłopak fascynował się swego czasu kulturą andyjskich ludów – zdążył mieć naprawdę wiele zajawek, zamknięty w kilku metrach kwadratowych – ale zignorowanie reprodukcji było o tyle łatwiejsze, że właśnie zaczynały się pokrywać czarną mazią i pod nią zapadać, jakby gniły.

Ulica Przemiała, Jak Malowana, Ambrozji, Mechasymbiozy, Interferencyjna, Kwiatów Wschodu, Kosmogoniczna, wreszcie Dinozaurowa i upragniony plac Dóbr Ostatnich. Lew poczuł przejmujący dreszcz podniecenia na widok perłowej, rozmigotanej blaskiem ściany, odgradzającej Inkarnię od niezaprogramowanego fragmentu nieświata, który zagospodarowano pod Dobre Zoo. Zwolnił jednak i dość niepewnie podszedł do wijącej się przed przejściem kolejki podekscytowanych obywateli. Co powinien zrobić? Gdyby używał własnego awatara, Serengetiego, odstałby po prostu swoje w kolejce, ewentualnie spróbował wysępić szybsze wejście, powołując się na swoją rodzicielkę. Mama przez ostatnie tygodnie pracowała na terenie Zoo, Lew jednak nie miał pojęcia, którędy tam wchodzi. Wymyślił już po drodze, że jeśli ktoś zaczepi Maszę, ta odpowie, że zgubiła syna, dzięki czemu chłopiec nie będzie musiał się wdawać w czcze dyskusje z innymi pracownikami.

Rozglądał się pilnie po perłowej przeszkodzie. Jest! Kilkanaście metrów dalej majaczyła nieduża śluza, najpewniej boczne wejście. Nie było przy nim Nurków – stróżów pilnujących rzeczywistości z pozycji nieświata, ubranych w ciemne kombinezony. Chłopak poprawił nerwowo włosy; ich przyjemna miękkość go uspokajała. *Weź się w garść, chłopie*, skarcił się w duchu. *Zachowuj się jak profesjonalna Masza*. Powiesił sobie torebkę nonszalancko na przedramieniu i ruszył prawie pewnie do białej śluzy.

Miał właśnie wyjść z Inkarnii na wydarty nieświatowi kawałek dawnej rzeczywistości. Bez czarnej mazi, w której wszystko tonie. Może nawet z prawdziwą trawą, no i oczywiście z prawdziwymi zwierzętami! Bardzo starał się nie podskakiwać z ekscytacji. Ponieważ mama nie miała głowy do hasel – nie chciała zaśmiecąc sobie umysłu – zapisywała je w Maszy. Dlatego gdy doszedł do przejścia, chłopak podniósł rękę, zamknął oczy i powiedział w myślach:

– *Masza, wpisz hasło do Dobrego Zoo.*

Śluza syknęła cicho, a gdy podniósł powieki, po prostu się rozplynęła, zapraszając go poza Inkarnię, do ujarzmionego fragmentu nieświata.

Wszystko znajdowało się pod szczelną, ciemną kopułą. Kosmonautom – naukowcom pracującym w nieświecie – faktycznie udało się odzyskać trawę; cuchnącą i przypominającą konsystencją błoto, ale jednak. Masza znalazła się w przestrzeni oddziaływania wielu sił mających dostosować jej postrzeganie do wyrwanego nieświatowi kawałka. Lew poczuł zawroty głowy i kilka razy się zatoczył, gdy zmierzał ku wielkiemu kompleksowi budynków i otwartych wybiegów. Wszędzie było widać hologramy, dzięki którym zasłanianio wszelką brzydotę i uzupełniano dekoracje pstrokatymi, starodawnymi iluzjami.

Chłopak wolał nie włączyć się wzdłuż ogrodzenia, by nie wzbudzać podejrzeń, więc wszedł przez drzwi do kompleksu administracyjnego. Denerwował się przeokropnie, ale powtarzał w myślach jak mantrę to, co miał zamiar mówić każdemu: „Umówiłam się z synem, a jest taki niesforny. Spuszczę go z oka i zaraz coś zmaluje! Przyjdę do was później”.

Drzwi do kompleksu rozsunęły się przed nim i stanął w długim, otwartym biurze z boksami. „Korpo” – mówiła mama. Zupełnie zapomniał, jak to opisywała. Tutaj była setka ludzi i przynajmniej połowa zauważyła, że właśnie przyszedł, czy raczej przyszła.

Zgniła mać! Przeniknął go chwilowy impuls, by wylogować się i uciec, ale zdołał się opanować. Mama nie była zbyt towarzyska, toteż nie rzucił się na nią od razu tabun tutejszych pracowników. Lew zaczął żwawo maszerować przez długie pomieszczenie i tylko jedna osoba wyszła ku Maszy z boksu. Mimo że chłopak spostrzegł kilku znajomych mamy, nie był to żaden z nich. Ciemnowłosa mężczyzna z blizną na policzku, bez kilku palców u lewej ręki zrównał się z Lwem. Chłopak powstrzymał się przed obejrzeniem kalectwa tej inkarnacji. Skoro część dłoni została utracona, najwyraźniej znajomy mamy sięgnął nią po coś zakazanego. Włamywacz poczuł zimny dreszcz.

– Miało cię nie być – rzucił dość agresywnie mężczyzna, choć nie wyglądał, jakby miał do kobiety pretensje.

– Przyszłam z synem – mruknął Lew, żwawo idąc przed siebie. – Zgubiłam go...

– No i świetnie! Seele właśnie robi naradę. Dlatego cały Zarząd ma urlop. Musisz tam wejść.

Seele, z niemieckiej dusza, czyli Rada Nadzorcza firmy. Chłopak stwierdził, że brak zainteresowania ze strony mamy byłby podejrzany.

– Czego dotyczy ta narada?

– Mówią o arkach. MUSISZ, Miłka. Poza Maszą nie ma tu nikogo z kodami do skrzydła Seele. Przyczaj się w pokoju ochrony, oddelegowali wszystkich, a jakby cię nakryli, powiesz, że szukasz dzieciaka.

Mężczyzna wyglądał na zachwyconego planem. Wydawał się też Lwu nieco niepoczytalny. Ale usłyszawszy hasło-klucz: „Mówią o arkach”, chłopak z trudem ukrył podekscytowanie. Mama, nauczyciele, kumple w szkole – wszyscy mówili, że kiedyś odlecą stąd promem na Marsa.

Niegdyś uważano, że Czerwoną Planetę, pierwotnie podobną do Ziemi, po prostu spaliło Słońce, bo nie miała barier obronnych, na przykład pola magnetycznego. Prawda okazała się zupełnie inna. A może po prostu to była prawda jego czasów, ustalona na tę chwilę wersja. W każdym razie: Marsa zeżarł kosmiczny pasożyt. Wyjadł do gołego kamienia, a potem usnął w trzewiach planety.

Jakby wąż połknął słońca, to też by tak długo leżał i trawił.

Stworzenie jednak w końcu się obudziło, wypoczęte i głodne, po czym przeniosło na błękitną, soczystą sąsiadkę – trzecią planetę od Słońca. A Mars momentalnie, w tempie, w które naukowcy nie chcieli uwierzyć, zaczął odżywać. Na czerwonej powierzchni wykwitły plamy flory. Na Ziemi przeciwnie – na wszystkich osiadł Zgnilec. Oficjalnie nazywano go Patronem. Mama mówiła, że to po to, żeby się tak źle ludziom nie kojarzył. „Tak źle”, czyli z pogromem życia, którego dokonał, i tym, że wciąż objadał się planetą.

Mama gadała dużo rzeczy. Oczywiście wtedy, gdy spotykali się Maszą i Serengetim w ich pięknej willi w nieświecie. Na żywo widywali się rzadko. Mówiła na przykład: „Nie myśl o arkach, synu, myśl o tym, co jest tu i teraz. Jeszcze damy radę tak żyć. To najważniejsze, więc idź odrobić pracę domową”. Gdy parę lat wstecz niechcący usłyszał rozmowę o problemach z kolonistami na Marsie, nic mu nie wyjaśniła, bo „jak nie wiesz, to nie wypaplasz”. A teraz...

Mógłby tam wejść, przyczaić się, wylogować i zawołać mamę. Pewnie mniej by się wkurzyła, niż jeśli sam podsłuchałby Radę Nadzorczą firmy, która pełniła również funkcję komisji do spraw międzyplanetarnego przesiedlenia. Seele, Nadzorcy, „zasrani władcy dusz”, jak mówiła Miłka. POWINIEN ją zawołać. Ale nie potrafił odmówić sobie zabawy w szpiega. Miał dość tego, że dorośli wciąż traktowali go jak durnego dzieciaka. Nieźle radził sobie w nauce, nudził się na lekcjach (nie on jeden), lecz mimo to nie pozwolono mu nigdy „rosnąć w swoim tempie”, tylko próbowano wyrównać jego poziom do bardzo nisko zawieszanej poprzeczki. Wszędzie reklamy Marsa, szczęśliwych kolonistów i gadki o arkach, a mama była coraz bardziej zmartwiona i coraz natarczywiej pilnowała, by Lew pozostawał odcięty od jej pracy.

Mówią o arkach, a więc o mojej przyszłości. Mam prawo wiedzieć, pomyślał. Ludzie mogli zostać na Ziemi jeszcze tylko kilka dekad, zależnie od tempa posilania się Patrona.

Mam prawo wiedzieć.

– Korytarze ochrony są puste, wszyscy pilnują dobrych okazji – podjął po chwili natrętny współpracownik mamy. Milczenie zamysłonego Lwa wziął chyba za dobrą monetę. – Z tego, co wiem, jest tam tylko Seele, ale zachowuj się jak najciszej. Czasem mają wiedźmy na wizji, a one...

Pchnął mocno Maszę w kierunku śluzu z napisem SECURITY. Konsola przesłała Lwu sygnał świadczący o niestabilnych parametrach użytkownika. Taki alarm mógłby wystraszyć może mamę, ale nie prawie piętnastolatka. Nastolatkom raczej nie dostają zawałów.

– *Masza, otwórz drzwi. Polecenie wielokrotne* – nakazał.

Doznania zapisane w inkarnacji mieszały się z jego własnymi. Czuł ucisk w podbrzuszu, ale nie tam, gdzie zazwyczaj, w dodatku o wiele silniejszy i jakiś taki... inny. Bardzo głęboki. To chyba było kobiece id? Wyszperał info o tym w starej sieci; niesamowite, że kiedyś ludzie, choć mogli wychodzić za próg, poświęcali życie na filozofowanie! Id, wedle jakiegoś Freuda, reprezentowało pożądaną, pierwotną naturę ludzką, popędy, emocje, było roszczeniowe, gwałtowne, niemądre i agresywne. Jego ośrodek tkwił w okolicy genitaliów. Nad nim miało panować rozumne, wyćwiczone, rozwijane wraz z nauką ego, przejaw oswojenia bestii w człowieku. Kiedyś wspominał o tym znalezisku w szkole, zaraz dostał opeer od nauczycielki i pouczenie, że przez id chciałby być lepszy od innych i wyprzedzać ich w nauce, co powinno poskromić ego. „Ego to uspołecznienie, id to bestia, więc łaskawie korzystaj z programu szkolnego, a nie oldnetu”.

Masza chyba jednak przyzwyczajona jest ulegać id, pomyślał, analizując doznania matczynej inkarnacji. Zresztą i tak nie wierzył w przynajmniej połowę tego, czego się uczył, i większość tego, co wypełniało sieć przodków. To wszystko istniało tylko wewnątrz konsoli i komputera, było mądrościami świata, który już nie istniał. Za to czasem wydawało mu się, że nieświat

ma głos i go wzywa. Wzywały go dobre okazy w Dobrym Zoo. A ciekawość dotycząca ark była nie do pohamowania.

– *Prowadź do pokoju technicznego sali obrad.*

Inkarnacja powiodła go płataniną korytarzy i pomieszczeń. Nie spotkał nikogo. Faktycznie, dobrze ukartowany moment na tajną naradę.

Równie dobry na to, żeby się na nią zakraść.

Dotarł na miejsce i wślizgnął się do pomieszczenia ochrony. Znajdowało się u szczytu owalnej sali. Przypominała Lwu starożytny grecki teatr. Kamienne ławy wznosiły się wokół niewielkiego podwyższenia, gdzie przy długim stole zasiadało kilkanaście osób. Salę spowijał mrok, pojedynczy reflektor rzucał światło na scenę. Chłopak zagwizdałby z podziwu dla tej niezwyklej scenerii, gdyby tylko nie musiał zachować ciszy. Jedno z okienek w pokoju techników było otwarte, a świetna akustyka sprawiała, że Lew mógł wyłowić każde słowo z burzliwej dyskusji członkiń i członków Seele.

– Nie możemy przerwać wysyłania kolonistów – warczała siwa, koścista kobieta z wytworknym kokiem na głowie. – Patron zre przetworzony przez nas pył gwiazdny, wolniej, mniej chętnie, ale nieuchronnie...

– Musisz nazywać wszystko tym cholernym pyłem? – spytał mężczyzna siedzący tyłem do Lwa, z długimi włosami zaplecionymi w warkocz.

– Tak. Wszystko na tej i innych planetach to pył z gwiazdy, która umarła – podkreśliła. – A Patron zjada pył. W każdej postaci. Chowanie statków coraz głębiej to żadne rozwiązanie. Póki nie straciliśmy kontaktu, doniesiono nam, że pod powierzchnią Marsa odkryto dwadzieścia cztery miejsca po zeżartych pojazdach kosmicznych...

– Nie no, żartujecie sobie. – Postawny mężczyzna, którego jeden rękaw marynarki zwisał smętnie, wstał i zamachał ręką przed sobą. – Rozumiem, że mamy zasady, ale do mnie nie dotarły raporty na temat statków na Marsie! Ustaliliśmy przecież, że o ważnych rzeczach się informujemy...

– To nie jest takie proste, poinformować się o istotnych rzeczach tak, żeby ominąć Patrona – mruknęła pani z kokiem. – Cud, że udało nam się dziś uniknąć inwigilacji wieźm. Pomysł z Dobrym Zoo był rewelacyjny, ale kupił nam niewiele czasu. Jak Patron zwalczy koder i dożre, co ma dostępne, nie pozwoli nam się dłużej tu bawić. Musimy odlatywać. Na końcu zapakujemy się z ostatnimi gatunkami i...

– Tracimy kontakt z każdym statkiem, który wchodzi w orbitę Marsa – powiedział ochryplym głosem blady, młody mężczyzna siedzący dziwnie krzywo na fotelu. Lew nie mógł uwierzyć, że tyłu z członków Seele ma „grzechy”, znamiona niedoskonałości na swoich inkarnacjach. – Nie możemy opierać się tylko na obrazach z satelitów albo bzdurach zabunkrowanego na Księżycu NASA...

– Widocznie istnieje powód, dla którego milczą... – Kobieta z kokiem tarła skroń, jakby zachowanie kolonistów przyprawiało ją o migrenę.

– Jasne! Zdrada.

– Nie mamy wyboru! Musimy związać manatki. Chrzanić Patrona i NASA.

Kucającemu przy okienku Lwu ścierpła noga i opadł dość głośno kolanem na podłogę, ale dźwięk utonął w burzliwej dyskusji.

– Drawski pracuje z cieleśną tkanką Patrona. Dzięki koderowi nabudowaliśmy Inkarnię na straconym świecie! Ale Drawski uważa, że nie tylko da się programować na tym materiale. Możliwa jest także symbioza...

– Chcesz dzielić planetę ze Zgnilcem? A raczej z jego upasionym cielskiem? – Wzdrygnęła się. – Umysł Patrona został na Marsie, a Mars pozostanie dla nas niedostępny aż do chwili, gdy znajdziemy się na jego orbicie. Próby porozumienia to marnowanie czasu. Chyba że rekrutujesz się do NASA? – Zgromadzeni zaczęli syczeć i uciszać kobietę nerwowymi gestami, jakby wymówiła zakazane przekleństwo. – Przejeli program Moon to Mars* i całą infrastrukturę księżycową. Bliżej ci do złodziei? Czy wierzysz w to ich pieprzenie, że to dla „dobrej nauki”, a zrozumienie Patrona to „jeden ratunek”? Daj spokój tym bzdurom z symbiozą i czytaniem Patrona. Widzimy kolonistów, żyją, pracują, pomagają Marsowi odżyć... Co prawda nie wiemy, co robią pod Kopułą...

– Więc czemu milczą?! – wtrącił się bezręki. – Przerwijmy dostawy surowców. Będą musieli odpowiedzieć.

– Skąd weźmiesz czas na takie gierki? Mamy trzynaście lat na ewakuację, produkcja statków stanie za trzy lata. Z NASA nie weźmiemy już nic, zwariowali. Przy naszych możliwościach przeniesiemy trzydzieści procent ocalałej populacji plus trochę fauny i flory.

– Bona, to temat rzeka, po co to teraz roztrząsać? – zirytował się ten z warkoczem. – Nie oddamy miejsc przynależnych obywatelom krzaczkom i kaczkom. Rozwój przyrody na Marsie...

– Załączki, o których nie mamy aktualnych informacji! – odwarknęła Bona. – Co z tego, że są tam organizmy podobne do naszego oceanicznego planktonu, skoro żyją w skale, tlenu dają zbyt mało, a w naszej wodzie umierają? Musimy zabrać wszystko, co możliwe. To inny świat!

– Czy to nie taki sam gwiazdny pył jak i my? – zakpił bezręki.

– To jedyny świat, jaki nam został, ale nagi. Niemowlę. Pył, który rozrasta się zupełnie inaczej niż nasz, z inną historią...

– Mamy jeszcze TEN świat i nie powinniśmy oddawać go bez walki!

Lew stwierdził, że ma dosyć; głowa zdawała się puchnąć od nadmiaru informacji. Świat dorosłych był przerażający. Chłopak nie chciał więcej czasu poświęcać na szpiegowanie szefów mamy. Zaprzagnął natychmiast wydostać się z budynku i obejrzeć ostatnie okazy zwierząt. To było tak silne pragnienie, że niemal wybiegł z pomieszczenia; Seele całkowicie pochłonęła kłótnia.

– *Wyprowadź mnie stąd, Masza, tak, żebym nie wlaź na tego bez palców. A najlepiej na nikogo.*

System tej inkarnacji był dla niego zbyt skomplikowany, ale Masza słuchała go, bo odziedziczył po mamie część chromosomów, w związku z czym jako tako pasował do jej awatara. Wkrótce pokonał ostatnie drzwi i wypadł z mroku i ciszy wprost w tłum rozgadanych ludzi stojących przy klatce z pawiami. Odetchnął kilka razy i podszedł do grupy dzieci, które obserwowały samca prezentującego samicy swój bajeczny ogon.

- Trzeba go powstrzymać! - krzyknął jakiś rudzielec. - Przecież jeśli one się bzykną, będą z tego dzieci!

- No to dobrze, idioto - odparła podobna do niego dziewczynka, pewnie siostra. - To przecież zagrożone gatunki. Im wolno.

- Jak jeszcze raz usłyszę „bzykną” albo „idioto”, więcej tu nie przyjdziemy - mruknęła towarzysząca im kobieta. Jej piegowata twarz byłaby śliczna, gdyby nie zajęcza wargą. Widocznie dzieci miały niewyparzone gęby po niej.

- Mamu, to czemu tobie nie wolno robić więcej dzieci?

Zapytana posłała Lwu zniekształcony, zmęczony uśmiech i przewróciła oczami. Dopiero wtedy uzmysłowił sobie, że na chwilę zapomniał o przebywaniu w Maszy. Kiedy był w Serengetim, dorośli nie zachowywali się wobec niego w ten sposób.

- Będziecie mieli rodzeństwo na Marsie - powiedziała kobieta. - Mamusia nie mogłaby wejść do arki, gdyby była w ciąży.

- Dlaczego?

- Bo tak, kochanie, mówią lekarze. Statki latają za szybko, a hibernacja nie jest dla małych dzieci w brzuszku...

Lew ominął ich i kilka klatek z ptakami, idąc dalej wzdłuż obwieszonych hologramami płotu, za którym spacerowały, a raczej powłóczyły nogami najprawdziwsze żyrafy. Hologramy nad nimi wyjaśniały niezwykłość układu krwionośnego tych ssaków. Chłopak zatrzymał się na moment, by ochłonąć i posłuchać.

- Serce żyrafy znajduje się kilka metrów poniżej mózgu - informował głos elektronicznego przewodnika - dlatego organy te muszą być na tyle duże, żeby sprawnie pompować krew pod ogromnym ciśnieniem. A co, jeśli zwierzę nagle się pochyła? Wtedy specjalne zastawki w ich grubych żyłach blokują krew, by żyrafie nie wybuchła czaszka.

W głowie Lwa huczało od wrażeń i natłoku wrażeń. Matka go zabije, to pewne. Nie miał już zamiaru próbować tuszować swojego wypadu. Ostatnim razem się mu udało, bo zostawił awatara w tym samym miejscu, a wypad trwał krótko. Mamie nie przyszło do głowy sprawdzić rejestru, bo syn nic nie zmalaował jej inkarnacją. Ale raportu o jego palpacji nie sposób ukryć. Poza tym musiał jej przekazać to, czego dowiedział się na tajnym spotkaniu. Przez bezpalcego. Inaczej mogłaby mieć kłopoty.

Ładnie się wpakował. Spojrzał na konie Przewalskiego. Jak głosił holoprzewodnik, zabrano je z czarnobylskiej Strefy Wykluczenia, jedyne miejsce, gdzie te konie żyły na wolności. Zgnilec niezbyt chętnie kwapił się do jedzenia nie tylko piachu czy metalu, ale i wchłaniania życia z napromieniowanego obszaru. Lew wiedział jednak, że próby napromieniowania w ogóle mu nie zaszkodziły. W szkole uczyli, że Zgnilec jest odporny na wszystko, natomiast nic nie jest odporne na niego, ale niektóre rzeczy smakują mu, a inne nie.

Wielu naukowców traktowało Patrona niczym prymitywny organizm, lecz mama na przekór im twierdziła, że to inteligentne stworzenie. Żyją, bo Zgnilec tak sobie wymyślił. Z łatwością mógłby przełamać mury domów i skończyć z nimi wszystkimi już dawno temu.

Wszystkie zwierzęta, pomiędzy którymi Lew teraz spacerował, miały trafić na Marsa. Dlatego zgromadzono je na terenie zarządzanym przez Seele. Większość nie wyglądała zbyt dobrze, smutna, wyliniała, jakby ostatni przedstawiciele fauny marnieli razem z planetą. Pstrokacizna i festynowe atrakcje wokół nie kamuflowały żałostnego stanu zrozpaczonych małp, osowiałych tygrysów czy wciśniętych w terraria zółwi i krokodyli, wyglądających jak martwe, z pustymi spojrzeniami. Spostrzeżenia Lwa podzielała ciemnowłosa, naburmuszona nastolatka, która z twarzą pięć centymetrów od szyby obserwowała spetryfikowanego aligatora. Zwierzę miało srebrzystą szramę biegnącą przez oko.

– To przerażające. Jak wypchane kukły. Ta planeta jest martwa.

– E tam, dziecko. – Starsza kobieta, pewnie babcia, stała obok z pękatą butelką niezbyt skrzętnie ukrytą w papierowej torebce. – Za moich czasów zwierzęta w zoo też tak wyglądały. To po prostu gówniana sprawa, siedzieć w klatce. Coś wreszcie o tym wiemy, prawda? – rzuciła w stronę Lwa i upiła kilka łyków trunku.

Chłopak wpadł na kolejny idiotyczny pomysł. I tak przecież miał już przypaść.

– Prawda, oj prawda – odparł i wyciągnął rękę po flaszkę.

Rozejrzał się, ale nikt nie zwracał na nich uwagi, akurat nie było też widać Nurków. Pociągnął solidnie z butelki. Wino było słodkie, a po przełknięciu na języku zostawał cierpki smak.

– Pracuje tu pani? – zagadnęła staruszka.

Wyglądała naprawdę wiekowo, ale trzymała się prosto i miała wesołe iskry w oczach. Nie nosiła na sobie żadnych znamion szpetoty. Ubrana elegancko w granatowy kostium, sprawiała wrażenie arystokratki ze starych filmów. Lwa zafascynowała aura pewności, jaką roztaczała wokół siebie. Pomyślał, że może powiedzieć jej prawdę.

– Mama tu pracuje. Wziąłem jej awatara. Mój się zepsuł.

Towarzyszka staruszce dziewczyna gapiała się na nich w takim szoku, jakby teleportowali się tu przed chwilą z Marsa. Natomiast jej babcia patrzyła uważnie w oczy Maszy.

– Ach, faktycznie, to nie twój pojazd. Wiesz, że to da się zobaczyć? Trzeba się tylko przyjrzeć. Dziś już nikt się nie przygląda. – Zachęciła go gestem, żeby się znowu poczęstował. – Pij, w takim awatarze nawet nie zdąży cię chycić. Korzystaj. Nie boisz się, że inkarnacja ci się popsuje? Że matka przetrzepie ci skórę za kradzież? A może to u was normalne?

– Wścieknij się. Ale nigdy mnie nie uderzyła.

– W ogóle mało z tobą gada, co?

Pokiwał głową. Wnuczka kobiety zaplotła ciasno ręce na piersi, patrząc na staruszkę z pretensją zmieszaną z niedowierzaniem. Lew nie miał pojęcia, o co jej chodzi. Wyglądała na niewiele starszą od niego, miała pyzată twarz, była tak wysoka jak Masza. Jej babcia dopiero po chwili spostrzegła ten palący wzrok.

– O rany, naprawdę? Nie zauważyłam.

– Co... – Lew chciał zapytać, co się dzieje, ale kobieta mu przerwała:

– Kim mama tutaj jest? – Wskazała na kompleks budynków.

– Pracuje w Zarządzie Instytutu.

Starsza pani zabrała mu flaszkę i się napiła. Przez chwilę z głębokim namysłem przyglądała się Lwu. Towarzysząca jej dziewczyna znów spojrzała na nią z pretensją.

– Może też chciałabym się napić?

– Słoneczko, nie chcesz. Zeszpeci ci się inkarnacja. Na pewno podbierasz mi, jak mam kuku, więc lepiej nie pogarszaj sytuacji.

– Chłopakowi to dajesz, to są podwójne stan...

– Za ciebie odpowiadam! A młody dobrze wie, co mu się przytrafi. – Spojrzała na niego z ukosa. – Jak będziesz się tak zachowywał, wyrośniesz na pokrakę.

Lew znów poczuł gwałtowne przyspieszenie pulsu. Podeszła do nich grupka rozgadanych dzieci. Kobieta odciągnęła chłopaka nieco na bok.

– Słuchaj, młody. Chodzisz pewnie do szkoły dla szych?

– Ano.

– Podejź po lekcjach pod jedenastkę, szkołę mojej wnuczki Józefinki.


– Finki – syknęła dziewczyna.

– Napijemy się... tym razem herbatki... i pogadamy. Oczywiście tylko, jeśli chcesz. Przede wszystkim to najpierw pogadaj z mamą. Łaknienie wiedzy to nic złego, od tego jeszcze nie zbrzydniesz. Ale wobec matki trzeba być fair. – Puściła mu oko i się odsunęła. – Lepiej odstaw jej ślicznego awatara w rozsądne miejsce. Ta mordownia nie jest warta gniewu rodzicielki.

Lew nie mógł nie przyznać jej racji. Niespodziewana nowa znajomość wydawała się jednym z nielicznych pozytywnych aspektów karkołomnej eskapady. Emocje opadły i dopiero teraz zrozumiał, jaką wtopę zaliczył, nie czekając na naprawę Serengetiego i podbierając Maszę. Połączyli z Finką swoje profile sieciowe i chłopak ruszył ku głównemu wyjściu z kompleksu. Uznał, że bezpieczniej będzie pozostać w tłumie niż korzystać z bocznych przejść – mógł się tam zaciąć bezpalcy.

Opuścił Dobre Zoo przygnębiony i zagubiony. Zdążył dotrzeć w okolice ulicy Pięknej, gdy przez symulację przebiła się wibracja czujnika na jego prawdziwej ręce. Lew sam go sklecił, rozmontowując zdalnie sterowany samochodzik i dostosowując odbiornik fal do tych emitowanych przez czujniki ruchu w domu. Miał jakieś dwie minuty, zanim mama dotrze do swojej konsoli. Był przed witryną księgarni połączonej z kawiarnią, więc wpadł do niej i usiadł na jednym z foteli dla czytelników. „Zacumował” awatara i z duszą na ramieniu zainicjował wylogowanie.

* Moon to Mars – międzynarodowy program zainicjowany przez NASA, mający na celu utworzenie infrastruktury na powierzchni i orbicie Księżyca pozwalającej na stałą obecność człowieka i przygotowanie załogowej misji na Marsa. Z Księżyca o wiele łatwiej wystartować niż z Ziemi [wszystkie przypisy pochodzą od autorki].



Rozdział drugi

Wąż, który sam siebie pożera

#matkaroku

#naukaoMarsie

#wszyscyznijemy

#czywybraćymusząsprzątać?

Zamiast ekranu logoutu chłopak zobaczył obraz afrykańskiej sawanny. Pomyślał, że nauczyciel przyrody ziemskiej powinien być dumny ze swojej roboty, bo Lew rozpoznał

rozłożyste baobaby, które nazywano małpimi drzewami, i wysoką, słoniową trawę, potrafiącą urosnąć na tym trudnym terenie nawet do pięciu metrów. Nie miał pojęcia, czemu mama ustawiła sobie symulację na wyjście. Zżerała przecież energię i pamięć. Po znacznym skróceniu czasu wylogowania tego typu plansze były nieużyteczne.

Zorientował się, że ogląda krajobraz z dziwnej perspektywy, tuż przy ziemi. Spojrzał w dół i jego oczom ukazały się zakrwawione łapy pokryte złocistą sierścią, spoczywające na odstręczających, rozbebeszonych zwłokach gazeli.

Obraz zaczął szaleńczo migotać. Debuggery* nie powinny pozwalać na takie zakłócenia mogące spowodować atak padaczkowy. Nie dało się zamknąć oczu i odgrodzić od zjawiska, bo dzięki wszczepom w czaszce, działa się to jakby wewnątrz głowy. Chłopak pomyślał, że to jakaś poważniejsza awaria systemu – najpierw Serengeti, który po prostu się wyłączył, a teraz to dziwactwo u mamy.

Jak się nazywała ta padaczka od światła? Fotogenna? – myślał w narastającej panice i dyskomforcie. Przecież to nie jest prawdziwe światło. Ale mózg najwyraźniej odbiera je tak samo jak realne. W końcu wszczep operuje na sygnałach elektrycznych na podobieństwo neuronów.

Błyski miały różne kolory i częstotliwość, aż w końcu zwolniły szaleńcze tempo i zmieniły się w pulsowanie zielonego światła. Chłopak odetchnął w duchu i w bezradnym oczekiwaniu przypomniał sobie, że Słońce emituje między innymi zielone światło. A bakterie na Ziemi wykorzystują chlorofil i pochłaniają światło fioletowe, za to odbijają zielone. Dlatego w przyrodzie dominuje zieleń. Ale przed nimi były ponoć halobakterie, które robiły na odwrót, więc życie na Ziemi mogło być fioletowe i może być takie na innych planetach...

Czemu ja tyle myślę o świecie, którego już nie ma? To światło jakoś tak mnie pobudza, normalnie jak woda kwiatki w Dobrym Ogrodzie Botanicznym...

Lew wypadł z konsoli, jakby ta go wypluła. Dyszał, choć wcale nie biegał. Nogi zdrętwiały mu chyba z nerwów. Szyszek, szynszyla Miłosławy, patrzył z zaciekawieniem spod jednego ze stolików, jak chłopak na czworakach próbuje dojść do siebie. Lew nie wiedział, jak dobrą pamięć mają te zwierzęta. Czy Szyszek kojarzy go po miesiącach braku kontaktu, gdy Lew nie wychodził z pokoju? Nastolatek dźwignął się na nogi, a szynszyla czmychnęła między stosy książek. Chłopak zarejestrował, że mama odkurzała wszędzie tam, gdzie mogła się tylko dostać, podczas gdy jego dywan stanowił obraz nędzy i rozpaczy.

Nasłuchiwanie kroków było bezskuteczne, bo oboje chodzili boso. Zgnilec wspinał się na człowieka najczęściej od stóp i lepiej było je mieć stale na widoku. Otwarte znienacka drzwi do pokoju omal nie sprawiły, że Lew znowu wylądował na podłodze.

Miłka wyglądała na zadowoloną. Uśmiech na jej twarzy nie zbladł, nawet kiedy zobaczyła spanikowanego syna i odpaloną konsolę. Z gracją ominęła przeszkody i usiadła na łóżku. Wyglądała inaczej niż Masza. Była młodsza, miała ostrzejsze rysy, bledszą skórę i matowe włosy. Lew zauważył, że znowu schudła i ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że różnica między nią a jej inkarnacją kojarzy mu się teraz z różnicą między zwierzęciem w klatce a przebywającym na wolności. Nie był pewny, czy temu uśmiechowi osoby od lat zniewolonej w domu, która pamięta jeszcze czasy przed Przebudzeniem Patrona, można

w ogóle ufać. Dorośli byli dziwni i fascynujący, a mama stanowiła dla Lwa królową ich dziwactw.

W życiu widział na żywo tylko dziadka i babcię, kilku lekarzy, Szczura, znajomego Miłki, a także wujka Staszka, o którym nie wolno mu było wspominać.

– Gdzie zostawiłeś Maszę, kocie?

– W Read & Drink.

– Byłeś w Dobrym Zoo?

– Przepraszam, mamó...

Machnęła ręką.

– Powiedzmy, że twoje przewinienia są na razie nieistotne – stwierdziła wesoło. – Zastanawiałam się, czy tego nie zrobić. Ale uznałam, że byłabym okropną matką.

Zbiła go z tropu. Przestał się pocić ze strachu.

– To znaczy... że co?

– Śmigło. – Zaśmiała się. – Mów, co widziałeś. Którędy wszedłeś?

– Nie łatwiej zobaczyć w spisie...

– Nie denerwuj mnie. Gówniarzeria twojego pokroju o niczym już nie umie opowiadać, nic, tylko obrazki. Zresztą dzisiaj nic na terenie firmy nie zapisywało się na konsolach.

Lew niepewnie zbliżył się do matki. Przypomnił sobie, że niezbyt ładnie pachnie, więc usiadł w fotelu koło łóżka, gdzie na środku narzuty wyraźne wgłębienie w materiale zdradzało miejsce spania Szyszka.

– To przez Seele, tak? W ogóle co to jest za nazwa, nie pasuje do twojej firmy. Czy te ziomki naogłądały się za dużo *Evangeliona*?

– A dlaczego ty naogłądałeś się *Evangeliona*, mały diable? – fuknęła Miłka. – Mówiłam ci, żebyś nie przesadzał z tymi depresyjnymi japońskimi bajeczkami. Po co spędziłam trzy dni, segregując dla ciebie moją bezcenną bazę filmów?! – Zaczepnęła powietrza, bo wszystko to wyrzuciła z siebie na jednym wdechu. – Na szczęście – puściła mu oko – zrobiłeś dla mamusi coś dobrego. Zapisy zablokowano przede wszystkim, żeby nie zwabić Patrona. Ani zwierzakami, ani naradą. No, opowiedz mi, co widziałeś w firmie.

Opowiedział. Pomiął jedynie wyskok z winem i rozmowę z pokręconą staruszką. Skoro nic się nie zapisało, byłby głupi, gdyby chociaż troszkę nie skorzystał, czyż nie?

Miłka nie okazała zbyt wielu emocji. Ku uciesze Lwa z jej twarzy nie zniknął lekko łobuzerski uśmiech. Babcia zawsze mówiła, że krnąbrny charakter chłopak ma po matce, a ta z podobnym uporem temu zaprzeczała.

– A więc to tak – podsumowała i milczała dłuższą chwilę, bawiąc się „puszką”: sporym dyskiem przenośnym, na którym zainstalowany był Serengeti.

– Myślisz, że wstrzymają arki?

– Nie. To mogłoby się stać tylko, jeżeli umieliby dogadać się z Patronem. Albo go zabić. A na żadną z tych opcji się nie zanoszi. Spoko, kocie, polecisz na Marsa. Nawet babcia poleci. Załatwimy jej miejsce z szympanсами.

Lew parsknął śmiechem, ale wciąż czuł lekki niepokój. Matka i tak go przecież ukarze, nawet jeśli pomoże jej w „małej, podziemnej dywersji”, jak nazywała swoje konszachty z

Szczurem.

– Sama chciałam podsłuchać Seele. – Opadła na poduszki i rozłożyła szeroko wątle ramiona. Chłopak poczuł ukłucie żalu, że naraził tę najważniejszą dla niego istotę. Nawet jeśli nieświadomie pomógł, to spotkało go przysłowiowe szczęście idioty. – Mogłam też wysłać ciebie, ominąłbyś zakaz, bo system nie zarejestrowałby mojej obecności, w końcu nie ja byłabym użytkowniczką Maszy. Zrezygnowałam z kombinowania z zakazem logowania w pobliżu firmy przez wzgląd na nasze inkarnacje. Ale polazłeś tam. – Uniosła się na łokciach i utkwiała palące spojrzenie w synu. – Nie wolno kraść awatarów ani podsłuchiwać dorosłych. Ani wchodzić do Dobrego Zoo bez biletu. Ale to jest ta okoliczność, gdy trochę łagodzimy karę. Jakie mamy motto? – zagrzmiała.

– Koniec świata usprawiedliwia małe grzeszki.

– Tak jest. Mama potrafi zatuszować małe grzeszki na inkarnacjach. Powtarzam, MAŁE. Przez dwa tygodnie wracasz prosto do domu, nigdzie się nie włóczysz. Pomimo że Serengeti śmiga jak nowy. *Deal?*

Wychyliła się i wyciągnęła w jego stronę zaciśniętą pięść. Przybili zółwika. Chłopak wstał i ruszył do drzwi.

– Wykap się i upierz pościel. Bo uznam za stosowne do ciebie wpaść.

Lew zaklął w duchu. Odwrócił się jeszcze z ręką na klamce.

– Wiesz, nie chcę więcej oglądać Dobrego Zoo. Zwierzęta są smutne. Umierają z tą zgniłą planetą. Wolę się uczyć o Marsie.

Zostawił ją zastyglą z głupim wyrazem twarzy. Nie powiedział tego złośliwie, po prostu naprawdę nie wyszła jej kara.

Był tylko jeden problem. Jak dostać się pod jedenastkę i nie narazić Serengetiego na wykrywienie mordy. Albo plamy na skórze. Albo nie wiadomo co.



Lew wyłożył się wygodnie na swoim leżaku w klasie kosmicznej. Zaczynała się lekcja historii pozaziemskiej. Światło w sali zgasło, a na suficie wykwitły hologramy składające się na model Układu Słonecznego. Nauczycielka zaczęła objaśnienia. Kształty nad głowami uczniów żywo reagowały na jej słowa, ukazując tajemnice Wszechświata.

– W czasach poprzedzających Przebudzenie Patrona naukowcy uważali, że wody Marsa były zbyt słone i kwaśne, aby mogło zaistnieć w nich życie. Dziś sądzimy, że być może Patron wpłynął na wyjałowienie i zanik wody. Oczywiście brak magnetosfery i rzadka atmosfera to główne powody, przez które Czerwona Planeta nie potrafiła uchronić się przed Słońcem. Prawdopodobnie Mars nie ukształtował się do końca tak, by nosić na sobie życie, ponieważ został okradziony z materiału przez wędrującego niegdyś po Układzie Słonecznym

Jowisza. Dodajmy do tego naszą gwiazdę, która nie jest sprzymierzeńcem życia. Umożliwia je tylko w skomplikowanych, specyficznych warunkach. I kiedyś je zniszczy.

Lew bardzo lubił, gdy holo wyświetlało wybuchy supernowych. Najpierw oślepiający błysk, następnie widowiskowa eksplozja, rozchodzący się wokół pierścieni siły uderzeniowej i rozsypująca się we wszystkie strony gwiazda. Podniósł na chwilę dłoń przed twarz. Wszelkie elementy jego ciała, tkwiącego w konsoli, koder, który umożliwiał tę symulację, wszystko wokół pochodziło z martwych pozostałości takiej kosmicznej błyskotki.

Zombie-Słońce.

– Mars długi czas narażony był na uderzenia meteorytów. Sądzimy, że są Patronowi miłe, ponieważ przy zderzeniu uwalniane są ogromne ilości energii. Sam Patron jednak nie wywołuje żadnych eksplozji. Wydaje się, że bardziej zależy mu na dobrej kondycji nosiciela. Jest rozsmakowany w składnikach mineralnych z wnętrza planet, które dostarczają na powierzchnię wulkany. Na Marsie znajdziemy mnóstwo olbrzymich wulkanów i jaskiń lawowych.

Kilka hologramów wulkanicznych wybuchów. Przed oczami Lwa wyskoczyło okienko szkolnych przełogowań. Mógł obejrzeć nagrane niegdyś relacje badaczy, którzy filmowali erupcje, pomieszczone z symulacjami i fragmentami hollywoodzkich filmów. Ale tego dnia nie miał ochoty.

– To poprzez wulkany Patron wdarł się głęboko pod powierzchnię wyniszczonego Marsa, gdzie zasnął na miliony lat. Spekuluje się, że wytracone przez meteoryty z powierzchni planety resztki mikroorganizmów po jakimś czasie dotarły na Ziemię, by tutaj znaleźć nowe warunki dla powstania życia. Jego rozwój mógł obudzić Patrona i skłonić do przeniesienia. Mars nie tylko zaczął wracać do formy, ale również ewoluować. Czwarta planeta od Słońca jest dla nas tak istotna, bo tak naprawdę możemy z niej pochodzić. My jej nie kolonizujemy, tylko wyruszamy do domu.

– Czy mógł tak podróżować przez wszystkie planety? – zapytała Marlena, której awatar był łysy, a dziewczyna nigdy nie wyjawiała dlaczego. – Albo krąży w tę i we w tę po Układzie Słonecznym?

– To nie jest do końca jasne – stwierdziła nie pierwszy raz pani Uszok. Lew tłumaczył to sobie jako: nikt nie ma pojęcia, ale wszyscy udają mądrych. Nie rozumiał, czemu dorosłym tak trudno przyznać się do niewiedzy, powiedzieć „nie wiem”. Czasem myślał, że najbardziej obawiają się utraty złudnej kontroli nad światem. – Patron musiałby żerować na różne sposoby, wpływać odmiennie na planety. Niewykluczone, że nie jest jedyny w kosmosie. Trzy dni temu pojawiła się teoria Skalnego-Jedlina, oznaczyłam was w poście, sprawdzaliście?

Niemrawe pomruki. Oczywiście, że większość nie sprawdziła. Zwłaszcza że to było po rusku. Komu w czasie wolnym chciałyby się włączać tłumacza i słuchać o wschodnich rewelacjach?

– Gratuluję – skwitowała kwaśno nauczycielka. Lew zerknął na nią. Miała jednego z najbardziej olśniewających awatarów, jakie widział w życiu. Mogłaby brać udział w konkursach piękności, gdyby ktokolwiek jeszcze takie organizował. – Następnym razem was przepytam, a nie opowiem. Według ukraińskiego profesora Skalnego-Jedlina Patronów jest wielu. Porównał tkanki naszego z zawartością przestrzeni kosmicznej

i promieniowaniem. Uznał, że po pochłonięciu odpowiedniej ilości pokarmu Patron może zmienić się w jakieś ciało niebieskie, być może rodzaj gwiazdy, albo nawet przeciwnie, w coś na wzór pierwotnej czarnej dziury**. Ten na naszej planecie jest wciąż rozproszony. Jest jak mąka; póki nie podda się jej cieplnej obróbce, nie dołoży wody i drożdży, nie będzie z tego chleba. U nas już mamy zacier, nie samą mąkę, ale wciąż nie chleb, więc pan Skalny-Jedlin jest zdania, że nasz Patron właśnie ewoluuje. Jego cząstki z czasem coraz mocniej się skupiają i w pewnym momencie będzie gotowy oddać zjedzoną energię.

– Ale my już mamy Słońce – zauważył Staszek, leżący nieopodal Lwa.

– Mówimy o czasie gwiazdnym, nie ziemskim. Nie zajmie mu to mniej niż kilka miliardów lat. Skalny-Jedlin twierdzi, że połowę życia gwiazdy, a to trwa...?

– Dziesięć miliardów lat! – odparł chór głosów, w tym Lwa. Kiedy myślał o długości życia Słońca, kręciło mu się w głowie. Nie potrzebował wina, żeby się odurzyć, z powodzeniem wystarczały kosmiczne wielkości.

– Według tej teorii nie wszyscy Patroni zmieniają się w znane nam ciała niebieskie – stwierdziła Uszok. – To bardzo ciekawe, ale dopiero rozwijane założenia.

Holo wyświetliło obraz Zgnilca w formie olbrzymiej czarnej chmury, niby biblijne sarańcze. Rój pulsował i zmieniał kształty, których nie dało się rozpoznać. Lew miał wrażenie, że już-już dostrzega coś znajomego, lecz wtedy wszystko się rozmywało.

Tak przedstawiany Zgnilec kojarzył się chłopakowi raczej z czarną dziurą niż z gwiazdą. Ale to chyba to samo, tylko w różnych cyklach? Jak Lew niemowlę i Lew starzec. Przecież Wszczęświat wyłonił się z tej całej osobliwości, która tkwi też w czarnych dziurach...

To wszystko było strasznie skomplikowane. Chłopak powoli czuł znużenie i potrzebę przeżycia nowej przygody. Musiał omówić sprawę dostania się pod jedenastkę ze swoim najlepszym kumplem ze szkoły, Pixelem, powinien więc wywołać jakąś żywą dyskusję.

– Okej, pani Uszok – odezwał się – czyli skoro gwiazdy starzeją się i umierają, potem ich szczątki walają się po kosmosie, tworząc planety i ludzi, to znaczy, że sami jesteśmy Zgnilcem, tak?

– Jesteśmy przejawem krążącej energii, podobnie jak on. Tylko to jest pewne.

– Skoro więc Wszczęświat to było najpierw wielkie skupisko materii i energii, to znaczy, że był taki Patron, który zdołał zeżreć coś ogromnego. Inny Wszczęświat.

– Cykliczny Wszczęświat to jedna z teorii – przyznała ostrożnie Uszok, podczas gdy holo natychmiast pokazało jego model. – Poza tym nie sposób powiedzieć, co było pierwsze: jajko czy kura.

– Jakim cudem Zgnilec tak dobrze się wpasował w to, co wiemy o kosmosie? – podchwyciła Julka, kujonka z przykurczem ręki (wypchnęła kiedyś siostrę za próg domu w nieświecie w celach badawczych). Lew tylko na to czekał. Ta dziewczyna potrafiła się rozgadać na pół lekcji. W sali zaczął się robić szum. – To nie jest tak, że ludzie go sobie dopasowują do swojej wiedzy, chociaż wcale nie pasuje? No, wie pani, jak z tymi teoriami, o których czytaliśmy na antropologii. Kolonizatorzy szli do jakichś niecywilizowanych plemion i szukali tego, co chcieli zobaczyć. Potwierdzić, że ich sposób życia jest najlepszy, a teorie wszędzie prawdziwe.

– Nauka to nie stereotypy, Julka. Potrafimy stwierdzić pewne fakty o Patronie. Nie wymyśliłiśmy natury rzeczywistości, jedynie ją odkrywamy.

– Wybaczysz pani, pani Uszok, ale to bzdura. Dobra, wiemy coś o Ziemi, ale Zgnilec to obca forma. Nawet nie można stwierdzić, czy to żyje, bo życie to nasze pojęcie, ziemskie.

– A jednak stwierdzono, że jest źródłem ciemnej energii, przez co zaczęliśmy oddalać się od Marsa. – Nauczycielka nerwowo przestępowała z jednej niezwykle długiej nogi na drugą. – Pożerając energię, wytwarza tę ciemną.

– Ciemna energia i materia są hipotetyczne! Teorie, teorie i teorie. Są jakieś niezbite fakty?

– Fakty są punktami, moi drodzy, a nasze dzieje to linia. Niezależnie, czy jest zakrzywiona i tworzy okrąg, gdzieś się kończy, czy jest nieskończona, fakty, jak wszystko, są zmienne.

– Pociska pani jak ksiądz – rzuciła Julka.

Dotknęła nauczycielkę do żywego. W czasie kłótni Lew zwrócił się półgłosem do Pixela:

– Muszę się wyrwać z historii Ziemi. Masz pomysły?

W tym momencie wyskoczyła mu przed oczami aktualizacja planu lekcji.

– Historia Ziemi odwołana, stary, ty to masz farta!

Lew podejrzliwie oglądał komunikat, póki nie zniknął. *Dziwne, jak na zawołanie*, pomyślał. Czy Serengeti dostanie zeza, gdy chłopak złamie szlaban? Czy też ten wybryk wliczał się do „koniecznych nadużyć” u końca świata?

– Mogę iść z tobą? – spytał Pixel.

Lew przez dłuższą chwilę wyjątkowo nieuprzejmie oglądał bielmo na jednym z oczu kumpla, zastanawiając się, jak sam by z takim wyglądał.

– Nie ma po co, mordo. To żadna przygoda. Idę do babci.

A że nie swojej? Tego już nie musiał tłumaczyć...

Pani Uszok przekrzykiwała się z Julią, więc Lew wiedział tylko z pomocniczego czatu, że Pixel skwitował jego odpowiedź krótkim „Lee”. Po chwili dodał jeszcze: „Nawet nie będziesz musiał kombinować z Kabłami”. Miał na myśli Nurków przy drzwiach szkoły.

Lew nie był tego taki pewien. Nie miał pojęcia, czy mama wgrała do dzienniczka jego szlaban.

Po krótkim dzwonku wyszedł na zalane słońcem szkolne korytarze i ruszył ku głównemu wyjściu z budynku. Pospiesznie przejrzał regulamin placówki. Mógł przelogować się na zewnątrz w innym celu niż pójście do domu, owszem. Z pozwoleniem od rodziców lub dzięki „logicznemu wyjaśnieniu”. Czy logiczne było, że ma okienko i chce odwiedzić babcię? Teoretycznie tak, ale jeśli miał wgrany szlaban, obawiał się, że będzie potrzebne przekupstwo. Poczuł treść, bo dawno tego nie robił. Omijając liczne grupki uczniów, sprawdził, jakimi legalnymi upgrade’ami systemu obdarzyła go rodzicielka, gdy naprawiała Serengetiego. Dobra, miał niezły przyspieszacz logowania głównego. Jeśli na drzwiach stał Chytry Nurek, powinien to lyknać. Głupi – przepuścić na wymówkę. Lew nie miał jednak nic na Sprytnego.

Podchodził do portierni z mocno bijącym sercem. Nie przewidział tylko jednego scenariusza: pokój Kabli był pusty.

- To jest normalne - mruknął pod nosem.

Popchnął obrotowe drzwi, złożone z witraży, które bajecznie rozszczepiały światło. Na boisku biegacze przygotowywali się do zajęć, a na placu zabaw siedziało kilku starszych uczniów. Przy ogrodzeniu zgromadziło się paru kloszardów. To byli bezdomni mieszkający w przytułku państwowym. Za monitorowanie awatarami, czy dzieciaki są bezpieczne i nie kręcą się w pobliżu żadni dilerzy, zapewniony mieli ką do spania i jedzenie w realu. Lew przeszedł obok nich niemal z nadzieją, że jednak nie będzie jak w kiepskich scenariuszach, gdzie bohaterom wszystko się udaje, i kloszardzi go zatrzymają. Ale nawet na niego nie spojrzeli. Jeden z nich najwyraźniej przysłużył się ochronie szkoły, bo miał białego, puszystego cyberszczura, który właśnie zaabsorbował uwagę całego tego wątpliwego towarzystwa. Eksponowali pouszkadzane twarze i ręce, bo dyrekcja szkoły uważała, że młode umysły muszą oglądać jakąś szpetotę. Ponieważ była to placówka prywatna, takie praktyki, niestosowane w szkołach publicznych, uchodziły jej władzom na sucho.

Lew nawet nie zauważył, kiedy dotarł pod gimnazjum Józefiny vel Finki. Zaczepił go jakiś pokrak w burym płaszczu z głębokim kapturem.

- Chcesz coś dobrego, śliczny chłopcze? Mam zajebiste aplikacje. A jeśli powiesz mi, gdzie mieszkasz, mogę dostarczyć ci prawdziwe...

- Zgłaszam pana na pały - mruknął chłopak, czując nieprzyjemne napięcie. Tutaj zaczynała się gorsza dzielnica. Przebywał przez większość życia w centrum miasta, nie był więc przyzwyczajony do podobnych zaczepek.

- Policja wie, że tu jestem, nowobogacki szcurku - mruknął mężczyzna, ale oddalił się i usiadł na ławce po drugiej stronie ulicy.

Lew był przekonany, że pokrak kłamie. Zobaczył, że podchodzi do niego kilkoro uczniów. Zrobił zdjęcie i ruszył do drzwi frontowych, wypatrując nowej znajomej. Wśród opuszczających szkołę wiele awatarów miało pozasłaniane twarze, nosiło rękawiczki, wysoko postawione kołnierze. Chłopaka uderzyła własna naiwność. Wydawało mu się, że wszędzie uczniowie są tacy, jak w jego budzie - w większości dość niewinni. Wyglądało jednak na to, że do gimnazjum Finki chodziło sporo chuliganów, a nawet młodocianych przestępców. Ale... może to tylko placówka specjalna, gdzie próbuje się ograniczyć wybryki młodzieży aspirującej na pokraki? Tylko w takim razie co tu robiła ta dziewczyna?

Lew schował się pod jabłonką na parkingu, bo spojrzenia mijających go uczniów w znacznej mierze były nieprzyjazne. Wreszcie pojawiła się Finka - wyszła niespiesznie na szkolne podwórze w sukience za kolana w czerwono-czarną kratę, bez dekoltu, z długimi rękawami. Chłopak czuł się coraz bardziej niepewnie. Czy podjął dobrą decyzję, zjawiając się tutaj? Czy to nie był jakiś społeczny margines? Mama zawsze mówiła, że wszędzie pełno jest brzydkich inkarnacji, ale Lew jakoś do tej pory na zbyt wiele się nie natknął. Miłka narzekała też na to, że zło łączono w Inkarnii ze szpetotą. Przecież niektórzy rodzą się nieurodziwi, a mają dobre serca, są też przystojni przestępcy. Poza tym taki system uczył, że nie warto być złym, bo będzie się brzydkim, a nie, że zło samo w sobie jest niewłaściwe.

Józefina zauważyła go i z niewyraźną miną podeszła pod drzewo pełne zielonoczerwonych, dorodnych owoców. Lew, widząc, jak na niego patrzy, spodziewał się już samych najgorszych rzeczy, ale okazało się, że nazbyt popuścił wodze wyobraźni. Wcale nie chodziło o niego.

– Nie odezwałam się do ciebie, sorry. Nie byłam pewna, czy rzeczywiście przyjdiesz, poza tym... – Przeszła z nogi na nogę i przewróciła oczami. – Tylko bez gadek o współczuciu itepe, czaisz? Babcia ma alzheimera. W Dobrym Zoo miała przeblysłk, ale zazwyczaj... No wiesz, nie rozpozna cię. Dam ci znać, jak jej się polepszy.

– Czy mogę...

– Nie – warknęła Finka i odeszła.

Lew wracał do domu niepokieszony i z duszą na ramieniu. Wypadek okazał się przykry. Rozumiał, że dziewczyna ma problemy i może nie mieć ochoty na nowe znajomości, ale i tak czuł urazę. I wstyd. Co on sobie myślał...? Nie powinien jak dzieciuch ufać obcym. Profil sieciowy dziewczyny był bardzo oszczędny, jakby zawierał tylko niezbędne minimum zdjęć i informacji. No i ta babcia... Może Józefina nie mówiła prawdy i po prostu go zbyła? No bo co to w ogóle za relacja, cudza babcia i złodziej awatara?

Jeśli mnie okłamała, przynajmniej jej inkarnacja to odczuje, pomyślał z satysfakcją, która w okamgnieniu zgasła.

Beznadzieja.

Idąc przez park, potknął się na prostej drodze i wyłożył na trawniku. Instynktownie wyciągnął przed siebie ręce, ale te zapadły się w podłoże, nienormalnie gąbczaste. Lew rozejrzał się zdezorientowany. Bajeczny park pełen pastelowych kolorów topił się, zmieniał w pokryte czarną mazią pustkowia.

Chłopak pierwszy raz w życiu poczuł pod palcami Serengetiego nieświat. I Zgnilca – rozgrzaną, kleistą, a jednocześnie rzadką substancję, w której zdawał się tkwić drobny piasek.

– Pył – mruknął zafascynowany i jednocześnie przerażony Lew. – Pył gwiazdy.

Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz, pomyślał.

Drobinki zdawały się wściekle kotłować, trudno było wychwycić ich kształt, jakby coś zakłócało spokój Patrona.

Czemu symulacja się wyłączyła, a awatar Lwa wciąż działał? Nieświat był ciemny niby świat spowity zmierzchem i burzowymi chmurami. Chłopak spojrział w niebo, a wtedy coś błyskawicznie wessało go w lepką tkaninę, która pokrywała planetę. Nic nie widział. Po chwili przed oczami rozjarzył mu się panel awaryjny. Serengeti został wyłączony, jakby padła sieć. Wtedy nie można się wylogować w obawie przed skutkami awarii. Lew raz to przeżył, dlatego bardzo nie panikował. Nauczyli go, co robić w tej sytuacji, tak jak kiedyś uczono, co zrobić, jeśli się zgubisz. Nie ruszaj się, czekaj na pomoc. Mógł wystąpić problem z oddychaniem, bo inkarnacja nie działała i istniało ryzyko bezdechu także w realu. Ale konsole miały wbudowane stymulatory elektryczne. Poza tym nie można wstrzymywać oddechu w nieskończoność, w końcu wygrywa odruch. Dlatego topiący się ludzie finalnie połykają wodę.

O czym ja myślę? – spytał sam siebie skonsternowany Lew, starając się nie ulegać panice. Zmysły pozbawione bodźców po jakimś czasie zaczynały wariować. Kolejna niepotrzebna myśl. Skupił się na ekranie awaryjnym, ale ten raptem zgasił. Chłopak tonął w ciemności zupełnie innej niż ta w jego pokoju w nocy. Ta wdzierała się prosto do głowy. I kiedy to wszystko było już nie do wytrzymania, mrok zmienił się w rozgwieżdżoną przestrzeń kosmiczną. Nieopodal jakaś gwiazda płonęła coraz mocniej. Czerni ustępowała przed emitowaną z ciała niebieskiego energią. Przeniknęła Lwa jak ostrze i wydawało się, że zapaliła ogień w jego umyśle. Czuł rzeczy, których nie rozumiał. Biel pochłonęła wszystko. Było tak, jakby woda wypełniła jego płuca. Wtem mleczny krajobraz zabarwił się na czerwono.

Usłyszał wrzask noworodka. Własny krzyk.

– Hej, mały!

Lew klęczał w trawie i wrzeszczał. System wreszcie się odwdzielił i przed oczami wykwitły mu pulsujące alerty.

NAMIERZONY PRZEZ LION. SYSTEM WYŁĄCZONY AWARYJNIE. ZALECANY NATYCHMIASTOWY POWRÓT DO SCHRONU. Po chwili ostrzeżenia systemu Inkarnii pochłonęły bluescreeny. Oprogramowanie od mamy zwalczyło błędy i nie dopuściło do przekazania raportu o awarii adminom.

Jeszcze kilka mrugnięć i Lwa znowu otaczał jedynie park. Pochylał się nad nim bardzo tęgi, a raczej opuchnięty awatar. Inkarnacje się tak rozdymały, jeśli ich właściciele posiadali nadmierne skłonności do przemocy, których sami się obawiali. Takie coś między zdrowym a pokraką.

– Spokojnie, dzieciaku, to pewnie awaria. Już w porządku. Wyglądasz dobrze. – Mężczyzna podniósł go i postawił na nogi. – Zgłoś się na przegład.

Począł w kierunku ścieżki kaczym chodem. Na deptaku stało jeszcze kilku gapiów. Lew pomachał im i ruszył prędko do domu, poganiany przez inkarnację.

Nie chciał znowu oddawać mamie Serengetiego. Stwierdził, że robi to dopiero, jeśli podobna sytuacja zawieszenia się powtórzy. W letnim, błękitnym tego dnia słońcu szybko ulatywał z niego strach wraz ze złymi wspomnieniami. LION? Namierzony? Co to za bzdury?

Wszedł do swojej odpicowanej kuchni. Na wielkim szklanym stole stał obiad przygotowany przez ich kucharza, którego mama nazywała Zorgiem. Burgery z mięsem z indyka i gęsimi wątróbkami. Lew natychmiast poczuł się wściekle głodny, ale w realu, wirtualny posiłek nie mógł zaspokoić tej potrzeby. Na myśl przyszła mu Suri, jego przyjaciółka, która była wege. Na stacji kosmicznej, gdzie mieszkała, jadła sztucznie uprawiane warzywa, za to Lew miał do dyspozycji głównie przeterminowane mięsne konserwy.

Miłka właśnie się objadała. Chyba niedawno wróciła z pracy, bo nawet nie zrzuciła garsonki, tylko pożerała ociekającą kilkoma sosami i topionym serem bułkę. Potrafiła wtrząchnąć pięć cheeseburgerów, nawet zanim podrasowała im inkarnacje na tyle, by symulacja młodości włączała się z opóźnieniem.

– Siadaj, kocie. Są obłędne.

- Wyloguję się wcześniej. Marnie ostatnio jadłem. Za dużo wrażeń. Nawet tutaj słyszę, jak burczy mi w brzuchu.

- Dobrze. Zjedz całą porcję! Sprawdzę na kamerze. I nie popijaj colą. Mamy trzy butelki do następnej dostawy.

- Naharowałem się! - mruknął Zorg.

Chłopak powstrzymał się przed komentarzem, że to jedzenie nie istnieje. Uwielbiał je, dieta w realu nie miała do frykasów od Zorga startu. Prawdziwy Lew dawno nie jadł świeżego warzywa ani owocu, znał ich smak właściwie tylko z Inkarnii, a oglądał najczęściej wtedy, gdy Suri żonglowała nimi przed ekranem. Zazdrościł jej świeżej zieleniny, za to ona jego doznań z Inkarnii.

Lew opadł na fotel i się wylogował. Przez chwilę, konieczną do wygaszenia wszystkich funkcji, sunął ponad czerwoną pustynią jako ptak. Inkarnia, proteza życia, wypuszczała go w objęcia ponurej rzeczywistości. Otworzył swoje prawdziwe oczy i zobaczył przed sobą to, co zawsze - fotomontaż na ścianie, który kiedyś zrobili z Suri. Stali razem na zwykłym placu zabaw, obejmując się jak kumpel z kumpelą. Zazwyczaj ten obrazek wywoływał u Lwa uśmiech, ale teraz, mimo że niby nic mu nie doskwierało, wewnętrzna lekkość była raczej pustką.

Wywalił do miski gulasz z żołądków z groszkiem, wstawił na trzydzieści sekund do mikrofali i patrzył z niechęcią na obracający się obiad. Zabrał go do łóżka, wraził zimne stopy w pomietą kulkę z koca i z trudem się nakarmił. Czasem miał wrażenie, że to Serengeti jest prawdziwy, a realne ciało Lwa, które trzeba niańczyć jak simsa, to jakiś żart.

Znów nie mógł przestać myśleć o tym, co niedawno przeżył. Czy naprawdę dotykał nieświata? Nie wywołał w nim mdłości tak jak wtedy, gdy zerknął przez okno... Tylko jak przedarł się przez koder? A jeśli to była tylko symulacja, jak na nią natrafił? Za nieprawdziwością tego, co widział, przemawiało wiele, ale wchłonięcie przez Zgnilca... to było takie realne...

Miał mętlik w głowie. Spojrzał na tablet. Nad ekranem unosiła się ikona czatu - machająca do niego dłoń. Lew tak zaprogramował urządzenie, że gdy pokazywał okejkę, czat się uruchamiał, a gdy faka - zamykał. Mama suszyła mu o to głowę i mówiła, że jak nie przestanie, to ona skończy z chronieniem jego „pustego łba” przed konsekwencjami bycia bucem. Po ostatniej akcji chyba rzeczywiście dojrzał już do zrezygnowania z tego wulgarnego gestu, obiecał więc sobie go zmienić. Teraz wykonał trzeci gest - wyciągnął w górę palec wskazujący, a tablet wyświetlił nadawcę. Nad wyświetlacz wzbił się hologram ze zdjęciem Józefiny. Chłopak rzucił się do tabletu i spadł z łóżka, przy okazji zwalając na podłogę niedojedzony posiłek. Klnąc tak, że Miłka dałaby mu jeszcze miesiąc szlabanu, machnęła kciukiem. Drugą ręką strącił groszek z koszuli w ostatniej chwili, nim wyświetlił się obraz na żywo.

Długo patrzyli na siebie w milczeniu. Dziewczyna siedziała na okrągłym łóżku w pokoju o ciemnoszarych barwach, z niedbałym kokiem na głowie i nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Sorry za to, jak cię potraktowałam. To nie był dobry pomysł, żebyś przychodził pod szkołę. Do tego jestem zła przez babcię, bo znowu odleciała.

Pokiwał głową. Cieszył się, że ją widzi.

– Zanim przyszyliśmy do Dobrego Zoo, babcia miała sen. Dlatego tam poszliśmy. Przyśniła jej się kobieta, która miała w oczach lwa.

– Interesujące... – stwierdził ostrożnie chłopak. W sieci lepiej było opowiadać o pewnych sprawach oszczędnie, robiąc z nich majaki, Lew nie był więc pewny, czy sytuacja rzeczywiście miała miejsce.

– Wszystko wokół przegniło w nieświat, ale kobieta wciąż tam była. Nic nie mówiła. Zaczęła się starzeć na oczach babci, potem rozkładać, został szkielet z mięsem. Wokół czaszki wyrosła lwia grzywa. Do kobiety podeszła wiedźma i pocałowała ją w policzek. Wtedy świat się rozpęknął, a babcia zobaczyła pod sobą... coś, czego nie umiała opisać.

Okej, pomyślał Lew, *to chyba jakiś pozgnilcowany proroczy sen*. Może Inkarnia, czyli wspólna sieć, łączyła ich na jakimś poziomie? Mama tak kiedyś stwierdziła. Nie mogąc spotykać się naprawdę, mózgi tworzą nowe drogi połączeń właśnie poprzez Inkarnię.

Ale jakoś miał dziwne wrażenie, że w jego życie właśnie wnika Zgnilec.

– Patron jest zupełnie obcy. Nawet nie wiadomo, czy jego forma istnienia to życie – przypomniał sobie dyskusję z historii o Ziemi pomiędzy Julką a panią Uszok. – Nic dziwnego, że trudno jej było to opisać.

Finka wykrzywiła się złośliwie.

– Może nie chodzę do szkoły dla gwiazdeczek, ale wiem to, panie mądry.

Lew się zamyślił. Gdy był mały, dotknął Zgnilca, i potem przez dłuższy czas wiedział, co ktoś zrobi. Mama zrzucił puszki z sardynkami, Zorg zrobi crème brûlée, nauczyciel zapytał akurat jego. Nigdy nikomu o tym nie powiedział, poza Suri.

– I przez ten sen babci chcesz się ze mną kumpłować? – spytał w końcu.

– Widziałam różne rzeczy, gwiazdeczko. Na przykład podczas koniunkcji planet babcia budzi się na dłużej. Albo... – Spojrzała na niego chytrze.

– ...przy spotkaniu z kimś konkretnym? – podrzucił nieśmiało.

– Tylko nie wkręć sobie, że jesteś jakimś wybrańcem – mruknęła i się rozłączyła.

Chłopak był tym trochę oszołomiony, ale wiedział, że dziewczyna jeszcze się odezwie.

Wybrańcem, dobre sobie, pomyślał. Jego wzrok padł na lustro oparte o ścianę w kącie. Wyglądał tragicznie. Brudne włosy, stary, uciapany gulaszem podkoszulek. Jak mógł tak rozmawiać z dziewczynami?

Westchnął i poszedł pod prysznic, czyli właściwie pod strumienie mgiełki – wypuszczanie wody pod bardzo wysokim ciśnieniem pozwalało się umyć w zaledwie kilku szklankach. Wiedział od Miłki, że ten myk wymyślono dawno temu dla astronautów, przyszłych kolonistów, gdy Mars wciąż jeszcze był martwy, a wodę miał tylko w niedostępnych czapach lodowych. Nastawił podobnie „mgiełkowe” pranie. Ale nie miał zamiaru sprzątać; jeśli ktoś do niego napisze, po prostu przyciemni oświetlenie.

Jednak po chwili wsłuchiwanie się w dźwięk wirującego bębna prakki złapał za przywalony stertą ubrań odkurzacz. Ileż razy mama miała go jeszcze upominać?

– Wykończą mnie te baby – mruknął.

** Rodzaj czarnej dziury, która nie powstała w wyniku kolapsu, zapadania grawitacyjnego, lecz z gęstej materii tuż po Wielkim Wybuchu i stanowi pozostałość po wczesnym Wszechświecie, a być może nawet pozostałość po innych wszechświatach.



Rozdział trzeci

Wiedźma, która nie zna czarów

#obgadujemyMarsjan

#zgniłababa

#przepraszamgdzietwojenarządy?

#stalkerzgrzywą

Lew leżał w wypranej pościeli. Zapach wydawał mu się zbyt babski, w sensie słodki, ale musiał przyznać, że było mu przyjemnie. Wziął błyskawiczny prysznic – nie lubił być mokry,

nawet tylko omgiełkowany. Wszystko w nieświecie zdawało się rozwodnione. Czasem śnił, że Zgnilec przenika przez mury domu i oblepia go w łazience, wspina się do twarzy, wpełza do ust...

Wzdrygnął się i niemal odruchowo spojrzął w zaklejone ciemną taśmą okno. Myśli o Patronie były nieznośne, tak samo jak te, skąd Lew się wziął i gdzie rozplynie się po śmierci.

Sięgnął po komunikator kosmiczny – nieco już przestarzałą, ale solidną konsolę. Połączył się ze stacją Meridian, znajdującą się nieopodal orbity Marsa. Czekał kilka minut na stabilizację łącza i przekierowanie do skrzydła kolonistów. Pomarańczowe światło komunikatora pulsowało w tym samym rytmie, co jego serce. W końcu na ekranie ukazała się Suri.

– Lew-san! Jak tam, słonecznie? – zażartowała jak zwykle. Dzięki najnowszej technologii prawie nie mieli opóźnień w komunikacji. Docelowo stworzono ją dla Marsjan, ale skorzystała na niej również zawieszona przy Czerwonej Planecie Meridian.

– No, zjarało mnie – odparł tradycyjnie. Oboje marzyli o ciepłych słonecznych promieniach na skórze. – Pokaż! – poprosił, też jak zwykle.

Suri podeszła do okna i pokazała mu Marsa, właściwie już nie Czerwoną Planetę, a granatowo-czerwono-zieloną, z szarymi plamami kolonii. Chłopak chwilę ogarniał wzrokiem „drugą Ziemię”, potem zapatrzył się na niewyraźną minę przyjaciółki oglądającej swój przysły dom. Zdążyła jedynie urodzić się na błękitnym globie i gdy tylko stwierdzono, że jest czysta, zabrano ją na stację. Nie знаła żadnego świata poza Meridian. Wstrzymano podróż jej rodziny na Marsa, bo rodzice byli potrzebnymi Ziemianom naukowcami. Po narodzie z Seele Lew rozumiał już, że bano się utracić z nimi kontakt, tak jak z resztą kolonistów, trzymano więc Suri w pół drogi do... do życia. Oboje uważali, że na Marsie musi istnieć prawdziwe życie, takie z zabawą wśród drzew, gdzie można się zranić, smakowałykami pieczonymi na ognisku i błękitnym niebem.

Japonka zdawała się nawykła do monotonii na stacji. Znała statek wszerek i wzdłuż i przekonywała przyjaciela, że to jej wystarczy. Że wystarczy jej nawet własna maleńka kajuta, gdzie najchętniej spędzała czas. Dla Lwa było to nie do pomyślenia. Czuł się niczym w klatce, a Suri, chociaż jej klatka była znacznie szersza (Meridian miała wielkość dużego miasta), najbardziej lubiła swoje dwa na cztery metry.

– Wyglądasz na zmartwionego – dotarły do niego słowa przyjaciółki i to, że na chwilę odpląnął.

– Bo może nigdy stąd nie odleczę – wypalił.

Zbliżyła twarz do swojej konsoli i obdarzyła go przewiercającym spojrzeniem.

– Jeśli nie masz na to wpływu, to się nie przejmuj, bo się wykończysz. Wiesz, co mi ostatnio powiedzieli? Że ponieważ zostało tak mało ludzi, muszę zacząć rodzić od siedemnastki. Mama już nie da rady, ale ja dostałam okres. Nikogo nie obchodzi, czy może marzy mi się być... bezdzietną lambadziarą.

Lew miał ochotę zażartować z jej ciąglego grzebania w oldnecie, skąd wyciągała takie dziwne hasła. Zauważył jednak, że przez jej twarz przemknął cień.

– Będziemy razem robić te dzieciaki, a jeśli przytyjesz, to ja z tobą – oznajmił i podniósł dwa palce w geście przyrzeczenia.

Posłała mu zawstydzony uśmiech.

– No to musisz polecieć.

– Koloniści muszą przestać się wydurniać. Wiedziałaś, że od dawna nie kontaktują się z Ziemią?

Wykrzywiła usta, spoglądając znów na Marsa.

– Miałam nadzieję, że tylko z nami.

Opowiedział jej o podsłuchanej naradzie, a na koniec dodał:

– I jeszcze mam bugi w Inkarnii. Widzę jakieś chore rzeczy.

Suri się zaniepokoiła. Matki poznały ich, gdy tylko nauczyli się klecić zdania i wciskać włączniki na konsolach. Lew znał swoją przyjaciółkę od zawsze. Widział, że coś wie.

– Zacina ci się? – zapytała ze zmarszczonymi brwiami. – Co widzisz?

– Jestem lwem, w sensie, zwierzęciem. Zapadam się w Zgnilca.

Dziewczyzna zbladła. Zanim zdążyła coś powiedzieć, ekran zaśmieżyło i zgasł.

– Szmelc! – zawołał rozsierdzony Lew, waląc w urządzenie otwartą dłońią. W końcu odrzucił je w nogi łóżka.

Nie mógł w ten szajs, jaki go ostatnio spotykał, uwierzyć. Suri wiedziała coś na temat anomalii, pewnie wyszpiewowała u rodziców. Na punkcie szperania w ziemsko-marsjańskich aktach była maniaczką, potrafiło jej to wypełniać całe dni. Lew nie umiał się tak skupić, łeb rozsadały mu chaotyczne domysły. W domu panowała niezmacona cisza, z zewnątrz napływało zgniłe promieniowanie. Chłopak włączył wentylator na żywszy bieg i wyciągnął spod łóżka truskawkowe papierosy. Gdy zapalił i pociągnął kilka buchów, jego zagracony, ciemny pokój zawirował. Robił to rzadko, tylko w nerwach, a wtedy Serengeti miał przez kilka dni zadyszkę.

Chciałbym wsiąść na karuzelę. Taką prawdziwą. Chciałbym latać, myślał. Ale nie tak jak Serengetim, gdy skakał ze spadochronem. To było fajne, że wolno mu w wirtualu więcej niż wczesniejszym małolatom – sprzed Zgnilca, tym dorastającym w realu. Ale przecież tkwił w tym wszystkim fałsz. To tylko programy, symulacje, stymulanty. Prawdziwe było wiotczające ciało, bo Lew stracił ochotę do ćwiczeń. Klatka pokoju, ból po stracie światła, którego nawet nie zaznał, lecz przecież nosił jego pamięć w genach. Realne były tabletki, które kazano mu brać, jeśli wpadnie w depresję.

Chłopak gapił się w sufit z taką frustracją, że powinien wypalić w nim dziurę.

Ludzie mają jakieś hobby. Co ja chcę robić? Jak byłem mały, to chciałem pisać książki. Takie, żebym mógł je mieć w ręku NAPRAWDĘ, nie tylko w Inkarnii. Ale nawet już nie ma drzew na papier. I o czym niby miałbym pisać? Po przodkach zostały olbrzymie archiwa e-booków. Tylko że ludzi niewiele zostało i nie ma kto tego wszystkiego przeczytać.

Ciszę rozdarł piskliwy, irytujący dźwięk dzwonka do drzwi. Lew nie słyszał go jakieś pięć lat. Niepewnie uniósł się na łokciach i wpatrzył w ścianę dzielącą jego pokój od korytarza. Po nieświecie chodziły tylko „kombinezony” – Nurkowie, Kosmonauci... Czasem przyplątał się ktoś z podziemia, ale nigdy nie dzwonił do drzwi wejściowych. Kto miałby chcieć od Lwa i Miłki czegoś, czego nie dało się przekazać na odległość?

Kolejny pisk. Chłopak wyskoczył z pościeli i wyszedł z pokoju. Spotkał się z mamą przy głównym wejściu, zakurzonym i podrapanym przez Kitka. Mama miała na sobie spodenki od

piżamy i koszulę biurową. Po korytarzu sunął bezgłośnie odkurzacz, który wyglądał jak spodek kosmitów.

– Przeskrobałeś coś znowu?

Pokręcił głową. Miłka zdjęła pierwszy zatrask i włączyła wideofon. Ręka ześlizgnęła się jej z zabezpieczeń.

– To ciekawe... – mruknęła, po czym pogoniła Lwa, żeby pomógł odbezpieczać drzwi. W końcu zacisnęła dłoń na klamce.

„Oczyszczanie śluzu zakończone” – wyświetlił panel obok drzwi. W służbę, bardzo podobną do tych na statkach kosmicznych, przekształcili dawny ganek. Lew omal nie podskoczył z ekscytacji.

– Nie uwierzysz – oznajmiła mama i zamaszystym ruchem otworzyła skrzypiące drzwi. Stała jednak pomiędzy przybyszem a Lwem, tak że syn musiał oglądać niespodziewanego gościa znad jej ramienia.

W służbie stała kobieta z czaszką jakiegoś rogatego stworzenia na głowie. Kości pokryte były srebrzystą substancją. Miała na sobie ubrania z ciemnych skór, obwiesiła się też mnóstwem paciorków. Z rozwianymi włosami, w których tkwiły pióra, z bardzo jasnymi, jakby zamglonymi oczami i zniszczoną, ale młodą twarzą, mogła być tylko jedną osobą.

Wiedźmą.

Nawet na nich nie spojrzała. Weszła do środka wpatrzona w podłogę. Powłóczyłym krokiem ruszyła prosto do salonu, jakby była w tym domu stałą bywalczynią.

Domownicy również nie wymienili spojrzeń. Jak zaczarowani podążyli za wiedźmą. Nawet kot ociężale wtoczył się do pokoju, chociaż nikt nie otworzył głośno puszkii jego ulubionego żarcia. Podłużny salon pogrążony był w półmroku; jedynie lampy nad kominkiem, z grubymi kinkietami, rzucały znikome światło na dwie czarne kanapy i szklany stół pośrodku pomieszczenia. Lew poczuł pod gołymi stopami przyjemnie delikatne, grube włókna dywanu. Nie pamiętał, kiedy ostatnio po nim chodził. Zawstydził się, jakby salon był zwierzakiem, którego zaniedbał.

Usiadł z Miłką naprzeciwko wiedźmy. Cisza się przeciągała; gość patrzył w sufit, kot gapił się na miękkie, skórowe buty kobiety, a matka i syn nie spuszczaali wzroku z jej twarzy.

– I co teraz? – spytał szeptem chłopak.

– One nie mówią – odparła głośno Miłka. – I nas nie widzą. To znaczy, podobno coś widzą, ale nie tak jak my. Być może też nie słyszą, a przynajmniej odbierane bodźce nie docierają do nich, tylko wyciekają na Patrona. Teoretycznie nie ma z nimi kontaktu, więc po co tu przyszła?

Kobietą siedzącą na ich starej kanapie władał Zgnilec. Patron wybierał młode kobiety i zabierał gdzieś, gdzie gromadził resztki z Ziemi, których z jakichś powodów nie chciał zjeść. Branki mieszkaly tam i były jego oczami i uszami. Spekulowano, że Patron przechwytuje poprzez nie ludzkie bodźce i komunikaty, rozumie je, ale nie chce albo nie potrafi się porozumieć. Na pewno jednak pozyskiwał poprzez wiedźmy informacje. Tajne bazy, ocalałe przejawy życia, magazyny ze smakowitymi kąskami – co tylko odkryła jedna z nich, zaraz było atakowane lub monitorowane. To nie musiało świadczyć o tym, że Zgnilec jest inteligentny w sposób podobny do ludzkiego. Mógł być tylko formą wyewoluowanego pasożyta. Przed nim

istniały na Ziemi bakterie zmuszające nosicieli do irracjonalnych zachowań, lecz przecież nie miały ludzkich mózgow.

To nie jest człowiek, pomyślał Lew, patrząc na obcą kobietę. *To kukielka. Porusza się po nieświecie bez kombinezonu, nietknięta jak duch.* „Światło się pali, ale właściciele nie ma w domu. Jest tylko włamywacz”, tak pisano o wiedźmach.

– Nie dotykaj jej – warknęła matka, gdy ledwie drgnął. – Mogą zarażać przez kontakt.

– To po co ją wpuściłaś? Przyszła tu, ale się nami nie interesuje. Nie zarazi nas.

– Nie mądruj. Rzadko można poprzebywać tak blisko.

– Czyli narażasz nas z czystej ciekawości?! – obruszył się chłopak.

– Dobrze wiesz, że choćby NASA chce nawiązać kontakt z Patronem. A tu Patron do nas przychodzi. Kosmiczna szarańcza gra z Lwem i Miłosławą Oleńko w zagadki.

Dzieciak nagle wpadł na pomysł. Zerwał się z kanapy, na co matka syknęła.

– Zaloguję się do Serengetiego – wyjaśnił. – Przełączę się na dom. Skorzystajmy z twojego rozkodowywacza, mamó! Przecież przeprogramowałaś alarm. Właśnie na taką okazję.

Miłka przygryzła wargę. Samowolna dezaktywacja Inkarnii na jakimkolwiek obszarze i poruszanie się awatarem po nieświecie było zabronione, pozwalano na to tylko pod ścisłą kontrolą, jak w Dobrym Zoo. Zresztą zwykli użytkownicy nie mieli takiej władzy, by tknąć Inkarnię, mama za to była zdolną hakerką. Lew znał ją, wiedział, że się zgodzi, ale dorośli potrzebowali dłuższej chwili, by przełamać opór i zdecydować się na dywersję. W końcu Miłka złapała Kitka, który niebezpiecznie przybliżył się do wiedźmy, i stwierdziła:

– Dobra, ale wchodzimy razem.

Wstali i ruszyli tyłem do swoich pokoi, nie odrywając wzroku od nieruchomej postaci. Ledwie znalazł się u siebie, Lew popędził do konsoli, by szybciej niż mama znaleźć się przy „dziewczynie Zgnilca” (dorośli używali innego słowa, też na „dz”). Przed samym zalogowaniem niespodziewanie poczuł mdłości i zimny pot na plecach. Bycie bezbronnym i nieświadomym przy legendarnej wiedźmie, nawet jeśli zabezpieczył drzwi, wywoływało instynktowny strach. Własny dom, jedyna enklawa, nagle przestał być bezpieczny.

Miłka by jej nie wpuściła, gdyby była groźna, pomyślał. Z drugiej strony moja matka to przecież kompletna świruska.

Przemógł się i zalogował, używając podrasowanego oprogramowania. Wirtual został odrzucony przez kody mamy, ich dom zniknął z sieci, teraz nie dało się zalogować. Ale kody postawiły podstawowe rusztowanie dla awatara, bliźniacze temu w Dobrym Zoo, i nadpisały Serengetiego na dom. Na rzeczywistość.

Pobiegł z powrotem do salonu. Masza już tam była, w białym kostiumie, stała przed od lat nieużywany kominkiem. Na tle wielkiego, ciemnego paleniska wydawało się, że inkarnacja Miłki świeci. Przez chwilę Lew patrzył urzeczony. Dopiero potem dotarło do niego, że mama zajęła stanowisko niczym na widowni. Kivnęła przyzwalająco głową.

Podszedł do wiedźmy i usiadł obok. Awatar nie był tak stabilny jak w symulacjach; Lew ledwie czuł, że ma coś pod tyłkiem. Zganiła baba nadal gapiała się w niesprecyzowany punkt, wyglądała jak spetryfikowana. Mama musiała zostawić drzwi swojego pokoju niezabezpieczone, bo usłyszeli, jak kot skacze na kłamkę, a po chwili siedział już dokładnie

naprzeciwko przybysza, na środku stołu. Chłopak miał wielką nadzieję, że Kitek nie dotknie wiedźmy. Żadne z domowników nie zdążyłoby go powstrzymać.

Lew był przekonany, że mówienie nic nie da, nawet jeśli Zgnilec poprzez tę kobietę odbierał jakoś Inkarnię. Patrzył przez chwilę na jej siwe włosy, kontrastujące z około trzydziestoletnią, wychudłą twarzą, w której było coś... zwierzęcego, pociągającego. Chłopak czuł się tak, jakby oglądał zakazane filmy dla dorosłych. Ta aparycja, choć nosząca na sobie piętno Patrona, jednocześnie była dziwacznie upajająca i wulgarna, jakby obnażała wiedźmę w jakiś ordynarny sposób. Dostrzegł, co mogło stanowić tego powód, gdy włączył skanowanie.

W kobiecie nie było widać narządów, w głowie nie płynęły impulsy między neuronami mózgu. Cała zdawała się przesiąknięta niepojętym kodem, układającym się w jej ciele w spirale, płynącym wielobarwną wstęgą wzdłuż miejsca, gdzie powinien znajdować się kręgosłup. W czasie zmieniał się w tak gęsty ciąg danych, że przypominał smołę. Nie było widać żadnych narządów wewnętrznych i chłopak nie miał pojęcia, czy wiedźma w ogóle jeszcze jakieś posiada.

Wiedział natomiast, że Zgnilec programował, a nośnikiem była ludzka istota.

– Widzisz to? – spytał mamę. – To, co ma w środku?

– Nie. Zrób *screena*. Widzę tylko czerni, jest dla mnie nieprzenikniona.

Wiedźma trzymała dłonie na kolanach. Lew ostrożnie dotknął jej palców. Poczł nierówne fale ciepła, które pojawiały się i znikwały jak zrywany przekaz. Podniósł wzrok i zobaczył, że świat wokół znów zaczął się topić, jak wtedy w parku. Ale przecież chłopak nie znajdował się teraz w symulacji, więc jakim cudem rzeczywistość zdawała się rozpływać? Czy ten kod, panoszący się w zgniłej babie, wnikał także w niego?

Wszystko zjechało do rozwartej pod stopami ciemności, jakby Lew tkwił w klatce z niczego, a namalowane na niej dekoracje zostały roztopione, zmyte. Zostali tylko on i wiedźma. Chłopak drżał z podekscytowania i strachu, ale Serengeti nie informował o żadnej awarii.

Znów pojawiła się kanapa naprzeciwko nich. Z mroku wyłonił się i wskoczył na nią lew, potężny, przynajmniej stu pięćdziesięciokilowy okaz. Usiadł i wgapił się w chłopaka. Olbrzymie zwierzę miało poczciwy, a zarazem przerażający pysk – dysonans, który sprawia, że ma się ochotę jednocześnie pogłaskać go i uciekać.



- Ty to robisz? - spytał zdziwiony wiedźmę. Nie umiał się powstrzymać przed próbą werbalnego kontaktu, nawet jeśli wiedział, że to na nic. - Co chcesz mi przekazać? Popsułaś Serengetiego?

Lew patrzył na lwa, zgniła baba nigdzie. Chłopak przypomniał sobie o kocie doktora Hawkinga, takim eksperymencie myślowym. Ciekawskie zwierzęw skakuje w nim do czarnej dziury. Obserwator wciąż go widzi, ponieważ nie można zobaczyć, jak coś przekracza horyzont zdarzeń. A jednak kot już nie istnieje, bo go przekroczył. To paradoks. Gdy Lew patrzył w oczy tego olbrzymiego zwierza, miał wrażenie, jakby był na miejscu doktora Hawkinga. Widział kota, którego nie mogło tam być.

Rozległ się okropny zgrzyt, wszystko zamigotało, po czym świat znów wrócił do normy. Pokój wyglądał jak przed anomaliami, poza tym że chłopak poczuł delikatną woń rozkładu.

- Lepiej nie wychodź z konsoli, póki ona nie wyjdzie. O ile w ogóle ma zamiar sobie iść. Ledwie koło niej usiadłeś, zaczęły się paskudne zakłócenia. - Miłka podeszła ostrożnie do kobiety. - Żyje?

- Trudno powiedzieć...

Ręka wiedźmy była teraz lodowata, spojrzenie jeszcze bardziej puste, twarz obwisła jak u truposza. Lew się wzdrygnął.

- Powinniśmy to zgłosić? - spytał matkę po chwili ciszy.

- Teoretycznie. Ale nie przejmowałabym się Nurkami. Musimy za to przepuścić twoje nagranie przez filtry.

Lew spojrzał krytycznie na hakerkę.

- Zachowujesz się tak, jakbyś wiedziała, że ona przyszła do mnie.

- Widziałam zapisy anomalii, których doświadczyłeś. - Wzruszyła ramionami. - Wygląda na to, że Zgnilec się tobą interesuje.

- Ale przecież on tylko... kobiety...?

- Mężczyzn też. Ale oni szybko umierają. - Powiodła spojrzeniem po ciężkich zasłonach na oknach. - Patron z jakiegoś powodu nie posługuje się mową, chociaż musi w jakimś stopniu nas rozumieć.

Chłopak usiadł głębiej na kanapie i skrzyżował ręce na piersi. Starał się ignorować żywego trupa obok.

- Pokazuje mi prawdziwego lwa, bo co, chce się przywitać?

- To możliwe. Chce pokazać, że wie, kim jesteś. Że cię rozpoznaje.

- Mamo, jeśli coś wiesz, powiedz. Suri chciała mi coś powiedzieć, ale nas rozłączyło...

- Synu, wiem tylko, że czasem Patron interesuje się konkretnymi osobami. Nie zabija ich umyślnie. Uczy się, dlatego nie wejdzie w ciebie, jeśli to by cię zabiło. Gdybyśmy go nie interesowali, to by nas zjadł, a nie przychodził do nas pod postacią wiedźmy.

- Więc... - Lwu ta konkluzja nie chciała przejść przez gardło - ...zjada tych gorszej jakości?

Miłka wyduła usta, niezadowolona, że musi prowadzić taką rozmowę. Najwidoczniej jednak pomagało jej gapienie się na wiedźmę i unikanie spojrzenia syna.

- Jesteś już duży, więc odpowiem, że tak. Słabe i chore jest jedzone. Takie, które nie jest sprytne. Takie, które jest zbyt niewinne. Drobne grzeszki są wskazane. Świadczą o inteligencji

i wystarczającej dozie egoizmu, byś rokował jako ten, który przetrwa. Pokraki też przecież żyją, zauważ, nie został za to nikt z nieskalanych. Po co to? Czas pokaże.

Lew przypomniał sobie, że znajduje się pierwszy raz we własnym salonie w skórze awatara. Podniósł się z siedziska i podszedł do okna, przez które jakiś czas temu niefortunnie spojrzął własnymi oczami. Spróbował odsunąć zasłonę, ale nie mógł jej chwycić.

– Nie dasz rady spojrzeć na prawdziwy nieświat Serengetim. Kodowanie jest zdjęte tylko z domu.

– Co on robi, mamó? – spytał, stojąc tuż przed zasłoną i wpatrując się w nią ze złością. Za dużo już przyjął wrażeń i przygnębiających informacji, ale musiał wiedzieć. – Dlaczego nas jeszcze nie pożarł?

Usłyszał powłóczysty szelest i się odwrócił. Wiedźma wstała, po czym powleka się do drzwi wyjściowych. Kitek zamiauczał przeraźliwie, odprowadzając gošcinie wzrokiem. Lew czuł względem niej współczucie, gdy tak człapała ku nieświatowi. Czego tu się obawiać? Ta kobieta „nosiła pod sercem” pasożyta. A może zamiast serca. Wyrwana ze swojego życia stała się inkubatorem dla agresora, jakiego nie sposób pojąć. Istoty, która zabrała ludziom dom. I podobno było to czymś naturalnym, kształtującym życie ciał niebieskich. Jak miało się to pomieścić w głowie Lwa?

– Jeszcze nie wiem, co on robi, kocie. I może być tak, że dowiesz się szybciej niż ja. Nie mogę mówić wszystkiego. Nie wiem, kto jeszcze tego słucha. Udostępnię ci pewien folder, ale musimy wrócić do Inkarnii.

Mroczny, zaniedbany dom zmienił się w odpicowaną willę. Poszli do kuchni, gdzie krzątał się Zorg. Spojrzął z ukosa na Maszę.

– Coś ty tu wyprawiała? Nie mogłem wejść do domu, jakby zniknęła. Mam nową bazę smaków, chciałem zaktualizować...

– Co tam na mieście, Zordzi? – przerwała mu matka, nonszalancko opadając na rzeźbione krzesło.

Kucharzowi drgnęła powieka, przygryzł na chwilę kolczyk w wardze, po czym odpowiedział:

– Będzie festiwal norweskich frykasów. Mają tam mieć też podobno symulator życia na Wenus.

Milka zacmokała i sięgnęła po puszystą wuzetkę.

– To pewnie cenią sobie bilety?

– Nie jest źle. – Znów drgnęła mu powieka. Nie wytrzymał: – Mam prom za miesiąc!

Lew spojrzął na matkę, ale pozostała niewzruszona. Czemu dalej wysyłano kolonistów?

– Fantastycznie – skwitowała krótko.

– Nie wybieracie się? Pewnie moglibyście...

– Jeszcze nie. Tu jest całkiem ciekawie.

Zorg nic już nie powiedział. Poczochrał włosy chłopakowi, kiwnął Milce i wyszedł.

Pałaszowali łososia z makaronem, baraninę w kapuście i riskrem – pudding ryżowy z sosem z czerwonych jagód i bitą śmietaną. Lew jakoś nie potrafił wczuć się w wirtualny smak, jakby przestał odpowiednio się adaptować. Nie miał najmniejszego zamiaru robić przeglądu ani Serengetiego, ani konsoli, a tym bardziej swojej głowy comiesięcznym testem

na przystosowanie do wciąż podrasowywanego oprogramowania. Mama jakby od niechcenia, pomiędzy obiadem a deserem, wrzuciła wreszcie w chmurę obiecany folder. Podpisany był „Przypadki kontaktu”.

Na wpeł z fascynacją, na wpeł z niechęcią Lew zagłębił się w informacje. Parę pierwszych prób nawiązania kontaktu z mężczyznami zakończyło się ich gwałtowną śmiercią. Zgnilec spróbował więc przez Inkarnię. Początkowo nie potrafił dopasować się do symulacji ani stworzyć własnej, z czasem nauczył się kopiować. Nigdy jednak nie przekazał nic od siebie. Pokazywał jedynie, że rozumie, dalej się nie posuwał. Spekulowano, że to konflikt poznawczy, że Patron „myśli” w zupełnie inny sposób, nieprzekładalny na ludzki, i brakuje czynnika, który by spoił jeden rozum z drugim. Była też teoria, według której nakładał na nieświat dodatkowe oprogramowanie. Jego ingerencja nie szkodziła, więc nie próbowano z nią walczyć, raczej wręcz rozbudowywała, ale to wciąż nie było dobrze zbadane.

– Złapano kiedyś wiedźmę do badań? – spytał Lew, odrywając się od danych.

Miłka wsparła brodę na rękach i zawiesiła spojrzenie na synu.

– Ci, którzy próbują, nigdy nie kończą dobrze. Jediną ekswidźmą jest Złomiarka, również nieuchwytna. To zupełnie zakryty przed nami nośnik. Ale nie przed tobą. Zaczęłam już przepuszczać twoje nagranie przez filtry, ale myślę, że to potrwa do jutra. Wiedźma nie prowadzi do Patrona, to znaczy, wiesz, przekazuje mu dane, ale nie umożliwia kontaktu. Ta symbioza, o ile można to tak nazwać, działa jednostronnie. Jest grupka naukowców, którzy twierdzą, że to sama natura zabezpieczyła się przed Zgnilcem, żeby nie mógł się z nią zmieszać. A jednak on, z jakiegoś powodu, usilnie próbuje to zrobić.

Lew wolał się nie zastanawiać, jak dogłębnie w takim razie kosmiczny pasożyt łączył się ze zgniłymi babami. Nie rozumiał też, czemu nazywano je wiedźmami. W szkole go uczono, że prawdziwe wiedźmy to były protoplastki feministek czy coś takiego, kobiety, które wyłamywały się ze schematów, z narzuconych ról, zmuszających je do dzieciennych zachowań, rezygnacji z edukacji, służalczości. Czarownice często znalazły się na lecznictwie, akuszerstwie i przerywaniu ciąży, przez co wierzono, że rzucają uroki. Chociaż, jak tak teraz o tym myślał, to właściwie kobieta, która ich odwiedziła, pokazała mu czary. No bo jak inaczej nazwać to, co Zgnilec robił na oczach Lwa?

Parę tygodni wcześniej chłopak nawet nie śnił, że tak nagle dowie się tylu rzeczy. I że to wszystko okaże się takie skomplikowane. Głupi był, że jeszcze rok wcześniej marzył, żeby być dorosłym, który sam zadecyduje, czy i gdzie wychodzi albo czego się uczy. Problemy dorosłych w rzeczywistości nieświata okazały się straszne.

Dostał komunikat o naprawieniu czatu. Matka ulotniła się z kuchni, więc poszedł do swojego pokoju, w Inkarnii pełnym kolorów i światła, i spróbował połączyć się z Suri z konsoli. Kolejny komunikat, o burzy piaskowej na Marsie, wykwitł mu przed oczami. To ona powodowała zakłócenia.

Akurat, pomyślał, a chwilę potem przestraszył się, że wkrótce wpadnie w paranoję.



Rozdział czwarty

Dom, do którego nie sposób dotrzeć

#pogromczyniszurów

#ciociaMiłkarządzi

#nieodwalimi

#zgniteżale

Suri obserwowała Czerwoną Planetę spowitą szalejącym pyłem. W tej chwili Mars był równie niedostępny jak Ziemia, komunikacja nie działała z żadną z planet. Dziewczyna opadła z głębokim westchnieniem na łóżko, prosto między dziesiątki pluszowych misiów. Obudziła się za wcześnie, by mogła opuścić swoją kajutę.

– Nuda. Nuuuda. Nudaaaa.

Starła się lubić życie pomiędzy, bycie Meridianką – ani Ziemianką, ani Marsjanką. Ale nie mogła się powstrzymać, żeby kilkanaście razy na dzień nie patrzeć na czwartą planetę od

Słońca, nawet gdy ta się przed nią zasłaniała i zrywała łącze. W kierunku trzeciej nie patrzyła nigdy. Nie była już błękitna, tylko czarna, jednak jej atmosfera potrafiła jeszcze wyrzucić ponad Zgnilca kłęby białych chmur. Suri czasem widziała obraz Ziemi na ekranach stacji, dostarczany z satelitów, nauczyła się jednak całkiem niezłe omijać je wzrokiem, gdy było na nich podejrzenie czarno-biało. To stało się jednym z jej rytuałów. Miała ich dużo. Z dawnego ludzkiego świata utrzymywała kontakt tylko z Lwem i kuzynką, i tego też bezwzględnie się trzymała. Rutyna, porządek, przewidywalność sprawiała, że czuła się znośnie.

– N-u-d-a. Bösen. Nuddda. Dosada. Nnnuda. Unalom. – Postanowiła, że powie to słowo sto razy, za każdym razem intonując inaczej albo w obcym języku.

Suri była w spektrum autyzmu. Jej neuroatypowość określano jako łagodną, mama z uporem mówiła o „zespołe Aspergera. Jednak dziewczynka wyczytała w oldnecie, że to nazwisko zbrodniarza wojennego, który dzielił dzieci autystyczne według skali przydatności do nieludzkich eksperymentów, i w pewnym momencie tę nazwę zbrojotowano. Suri podejrzewała, że mama woli jednak używać miana, które nie zawiera w sobie słowa „autyzm”. Nie mieli na Meridian żadnej aktualnej bazy danych na temat zaburzeń rozwojowych ani specjalistów, dlatego mama spędzała mnóstwo czasu w meridiańskiej kopii netu przodków, poszukując wszelkich informacji mających pomóc córce.

A dawna sieć to zwyczajne wysypisko, pełne uprzedzeń i pseudoteorii. Ciocia Miłka mawiała, że pradziadkowie byli kozakami w necie, ale idiotami w świecie.

– Nu-nu-nuda. *Aburrimiento*. N.U.D.A.

– Nie rozumiem polecenia – oznajmił zgrzytliwy głos jej wirtualnej asystentki pokładowej. Suri lubiła ją konfundować i psuć, bo i tak na podpadającej stacji system powoli odmawiał posłuszeństwa. A poza tym nikt od dawna za nic dziewczynki nie karał.

Przygryzła wargi i powstrzymała lzy cisnące się do oczu.

Nazwa jej rodzaju neurotypu nie miała większego znaczenia. Nie istniał wśród ludzi jeden neurotyp, tylko wiele, cała neuroróżnorodność, a jednak wszystko dopasowano do tego najczęstszego, pozostałe nazywając zaburzeniami. Suri różniła się od tych „niezaburzonych”. Na stacji, gdzie życie mocno podporządkowano pod konkretne wymogi, szczególnie rzucano się to w oczy. Jakiś czas temu wybuchła tu paskudna epidemia i mieszkańców było teraz mniej, a obowiązków na starzejącej się Meridian – coraz więcej. Jednak niewiele przewidziano dla Suri. Drażniły ją głośne dźwięki, błyski i ostre zapachy, wybiórczość pokarmowa nadała jej drobną budowę ciała, nie lubiła pracy zespołowej, a do wielu rzeczy zwyczajnie jeszcze nie dorosła. Uważano więc, że nie bardzo jest co jej zlecić, chociaż sama miała na ten temat inne zdanie: obwołała się choćby Pogromczynią Oldnetu i wykasowywała z niego największe idiotyzmy. Przyjaciółka z Marsa, Abigail, i tak mówiła, że historia Ziemi jest bezużyteczna, ale Suri czerpała transfery od cioci Miłki i nie ogarniała starej sieci według własnego widzimisie, tylko według faktów. Właściwie mogłaby nie przejmować się rzetelnością, skoro była w tym bezkarna – dorośli mieli zapchane terminarze przez cały dzień i ledwie widziała ich w biegu, a innych nastolatków na stacji było niewiele, bo zwyczajnie te kilkanaście lat temu nie zabrano na Meridian prawie żadnych dzieci. Miały rodzić się dopiero na Marsie.

Doszła do stu nud. Zaczęła wyrzucać z siebie wszystkie znane przekleństwa, czując pewną satysfakcję, że Lew, na stałe podpięty do Systemu Przełożenia, nie mógłby zrobić tego samego. Jednak nie poprawiła tym sobie humoru.

Czuła się... porzucona. Nawet mamę widywała rzadko, a tatę prawie wcale. Skoro nie do ziemskiego ani marsjańskiego świata, dobrze byłoby chociaż w pełni pasować do Meridian. Ale i ten „tymczasowy dom” zdawał się nie dla niej. Tkwiącą w niej atypowość mama początkowo usiłowała zniwelować, zminimalizować, potem zaczęła ją ignorować, pograżała się na powrót w pracy, aż Suri została całkiem osamotniona w swojej inności, bo zrezygnowano z jej „naprawiania”.

Lubiła swoje towarzystwo. Ale pustka się pogłębiała.

– Czego mi brakuje? – rzuciła w przestrzeń, przerywając asystentce prośby o zaprzestanie stosowania wulgaryzmów. Ale akurat na to sztuczna inteligencja nie umiała odpowiedzieć i zamilkła.

Dom. Przynależność. Cel. Tego brakowało. Na myśl o takich abstrakcyjnych rzeczach przyszedł jej od razu do głowy tkwiący w nieświecie przyjaciel. Przyłożyła czoło do chłodnej szyby i westchnęła, błędząc wzorkiem po kotłującej się powierzchni Marsa. Według tajnych papierów rodziców, Lew Oleńko mógł być chłopcem, na którego wielu czeka. Suri to rozgryzła. Nikomu poza swoją marsjańską przyjaciółką tego nie powiedziała, bo to mogłoby być niebezpieczne. Ale dlaczego akurat on?

Suri od kilku dni miała problem ze snem, wciąż się budziła. W końcu o piątej czasu marsjańskiego zrezygnowała z prób ponownego zaśnięcia. Zeskoczyła z łóżka, potoczyła wzrokiem po cukierkowym, pluszowym wnętrzu swojej kabiny – miękkie faktury i łagodne pastele ją uspokajały, do tego zgromadziła tu wszystkie pluszaki, które przez lata wydębiła od innych dzieci – po czym otworzyła służę i wyszła na korytarz, wciąż pograżony w słabym, nocnym świetle. Stacja nadal była uśpiona, jedynie pierwsza zmiana z laboratorium mignęła Suri, zmierzając pod prysznic, a dwie osoby od kontaktów z kolonistami, ubrane w czerwone kimona, siedziały z posepnymi minami przy śniadaniu, choć Meridianka zauważyła, że niczego nie jedzą.

W holu głównym nie było zielonych roślin, tylko karmazynowe i pomarańczowe – naukowcy eksperymentowali z innymi rodzajami światła. Starano się przyzwyczajać Meridian do kolorystyki na Marsie, którego zmieniająca się wciąż atmosfera przekształcała barwy. Gdy Mars był jałowy, zachody słońca wyglądały na błękitne z powodu cienkiej atmosfery, w której światło zupełnie inaczej się rozprasza. Teraz podobno wschody wciąż były niebieskawe, za to zachody przybierały srebrną barwę i nikt nie wiedział dlaczego.

Suri podeszła do automatów ze słodyczami, wrzuciła monetę i wyjęła z podajnika różową gumę kulkę. Żując i grzebiąc w kieszeniach za przepustką, skierowała się ku archiwum mieszczącemu się za olbrzymim, gęsto zamieszkałym przez oceaniczne stworzenia akwarium. Na stacji przebywało mnóstwo zwierząt zabranych z Ziemi w celu zapewnienia im przetrwania. Aby ludzie i stworzenia nie zapomniwały się wzajemnie, wiele gatunków chodziło samopas lub wystawionych było na widok. Przy akwarium jak zwykle warowało kilka kotów – zbiornik nazywano przez to kocią telewizją. Coś przykuło również uwagę dziewczyny, więc

przystanąła przy sierściuchach. Przez chwilę nie wiedziała, o co chodzi, gapiła się tylko na spirale ryb.

Moment... czy one nie pływają wolniej niż zwykle? A ta spirala, jakaś taka kanciasta... jakby dziecko namalowało słońcu otoczkę.

Albo lwu grzywę.

Wpatrywanie się w wielki zawijas sprawiło, że zakreśliło jej się w głowie. Stwierdziła, że to zapewne znów wpływ ostatniej lekcji astronomii, po której miała przywidzenia. Nauczycielka beznamyślnie oznajmiła, że ich galaktyka, Droga Mleczna, umiera. Nie płodzi już nowych gwiazd jak narwana i zmierza ku śmierci. Pożre ją masywna czarna dziura umiejscowiona w jej centrum, która potem rozrzuci szczątki po kosmosie, dając początek nowym galaktykom. Tak działał łańcuch pokarmowy Wszechświata. Lekcja rozpoczęła nowy semestr, była mocno obrazowa i pełna faktów, na których poznanie dotąd Suri była zbyt młoda. Trochę padło jej na mózg. Miała przeokropnie bujną wyobraźnię, wszystkie bodźce docierały do niej mocniej. Czasem pomagało jej to w łączeniu faktów i interpretacji świata, a czasem ogłuszało i zapędzało w ślepe zaułki.

W archiwum znajdował się jedynie zaspany Pita, staruszek na ciepłej, dożywotniej posadce, jak to skwitowała Miłka. Machnął tylko ręką, gdy dziewczyna precyzyjnie się obok jego biurka. Archiwum, niewiele większe od kajuty, składało się właśnie z tego biurka, szafy skrywającej tysiące kostek danych i archiwala. Usiadła za jego sterami, nałożyła gogle, włączyła maszynę i za pomocą wirtualnych rąk zaczęła przerzucać foldery z miliardami danych, błyskawicznie przechodząc do coraz bardziej szczegółowych katalogów. Żeby odciąć się od ponurego, surowego wnętrza archiwum, nałożyła na niego symulację przedstawiającą pokój wspólny Gryfonów z Harry'ego Pottera. Sprawdziła też przy okazji świeży towar od ciotki – transfer z portali informacyjnych – podczas gdy archiwal wytrwale rozgrzebywał dane. Znalazła wreszcie te dotyczące narodzin Lwa Oleńko.

Ojciec zginął podczas incydentu ze Zgnilcem kilka miesięcy przed narodzinami chłopaka. Wiedziała o tym, znała te dane, ale tym razem przyglądała się im uważniej. Dokładnie zbadano genom Lwa, sprawdzono genetyczne predyspozycje do chorób i podatność na wpływ Patrona. Wszystko wydawało się ekstremalnie zwyczajne poza dwiema sprawami – markerem alzheimera i nową grupą krwi, P, stworzoną pod wpływem patronowego promieniowania. Też miała tę samą grupę krwi, choć w jej organizmie toksyna była znacznie lepiej tolerowana. Chłopcy z P często byli anemiczni.

Suri przykleiła gumę w miejscu, gdzie archiwal, gdyby tylko był człowiekiem, winien mieć tyłek. To było bardzo niegrzeczne, wiedziała o tym i denerwowało ją to, ale mniej niż wymyślana ze smaku guma w ustach. Ze zmarszczonymi brwiami dalej szukała czegoś, co zwiastowałoby niezwykłość jej przyjaciela. Interesujący wydawał się nie tylko ojciec, o którym nie było żadnych szczegółowych danych, ale i Miłka jako inżynierka biologiczna robiąca niedawno badania na Patronie na granicy legalności. Znajdowała się pod stałą obserwacją, choć Suri wiedziała, że ciocia potrafiła znacznie ją ograniczyć, i to tak, że podglądacze nawet nie zdawali sobie z tego sprawy. Miała bogaty, w tym kryminalny życiorys. W momencie Zstąpienia Patrona zabiła człowieka, jakiegoś lekarza. To jednak nadal nijak miało się do Lwa.

Żałowała, że nie może tego wszystkiego przekazać przyjacielowi – Miłka nie chciała im umożliwić komunikacji poza cenzurowanym kanałem. Dziewczyna chciała jeszcze trochę poprzebać za informacjami o ojcu przyjaciela, lecz w tym momencie stacja się zatrzęsała i zajęczała, a hologramy zamigotały i zgasły. Kolejny wstrząs spowodował, że Suri mocniej zabiło serce. Opuściła archiwala. Pita rozglądał się ogłupiały. Następne konwulsje Meridian rzuciły mężczyznę z siedziska, a Suri poleciała na pulpit jego biurka. Po chwili wyszli do zatłoczonego holu. Dziewczyna dostrzegła ojca, niskiego, drobnego mężczyznę w średnim wieku, z wygolonymi bokami głowy. Serce zabiło jej mocno, a do oczu napłynęły niechciane łzy. Nie pamiętała, kiedy go ostatni raz spotkała.

– Meteoryty? Burza magnetyczna? – pytała go właśnie jedna z techniczek. Ten spojrzął na córkę i odparł bez emocji:

– Nie, moja droga. Ktoś do nas strzela.

Ojciec zaciągnął Suri na mostek kapitański. Nie pierwszy raz oglądała stąd kosmos, ale nie było jej tutaj przynajmniej rok. Wystrój nieco się zmienił, podobnie ekipa – dwie nowe zastępczynie kapitana znała tylko z widzenia. Pochodziły z ostatniego promu, który dotarł do Meridian przed promieniowaniem z wybuchu supernowej, potem już kierowano promy prosto na Marsa. Wiele osób rozchorowało się wtedy na stacji, a część oślepla. Suri miała oko w opatrunku przez tydzień. Mama, chcąc dodać jej otuchy, śmiała się, że odległa gwiazda mianowała ją kapitanką statku piratów, a ojciec stwierdził, że supernowa wypala raz, ale zawsze celnie.

– Kto do nas strzela, tato? – zapytała cicho. – Tym razem nie gwiazda, prawda?

– To mogą być nielegalni koloniści – orzekła wicekapitanka, wysoka, biała blondynka. – Będą chcieli siłą wtargnąć na stację. Inaczej nie mogą się zbliżyć do Marsa, zestrzelą ich. Próbują rozwalić drzwi lądowiska.

– A mówiłem, że jak Ziemianie przestaną wysyłać promy, zaczną się kłopoty – mruknął tata Suri.

– Wysyłają, ale opóźnione i niepełne.

– Efekt ten sam. Nielegalni imigranci.

– Odpowiemy ogniem? – dociekała dziewczynka, obserwując przez szybę niewielki statek, który zawisł nieopodal lądowiska.

– Nie powinno cię tu być, Suri... – orzekł sucho kapitan, dotychczas milczący.

– Wezwałś mnie, Kazuma-san, a Setsuna pobiegła do laboratorium. Nie zostawię córki samej podczas ostrzału. – Ojciec przygarnął ją do siebie, ale Suri nie odnalazła w tym geście czułości. – Spaliliśmy im sprzęt impulsem. Dryfują.

– A my ich nie przechwycimy – dodała blondynka.

– Tlen im się skończy – zauważyła Suri.

– Nie przechwycimy ich – zawtórował zastępczyni kapitan, po czym nachylił się do mikrofonu: – Meridian do niezidentyfikowanej jednostki. Natychmiast podajcie wszystkie niezbędne informacje, odbiór.

– Mamy wszystkie badania – usłyszeli z głośników. Ani załoga stacji, ani agresorzy nie podjęli tematu ostrzału. – Przesyłamy dane, odbiór.

– Ile takich ataków już było? – Suri usiłowała wyciągnąć cokolwiek z ojca, zastanawiając się, czy część burz i meteorytów nie była picem na wodę i do Meridian co rusz dobijali się nielegalni.

– Sporo, ale dotychczas nikt nie dysponował takim działkiem.

Czyżby tata uznał mnie już za na tyle dorosłą, by uświadomić o atakach? – pomyślała, bezwiednie prostując się i wypychając przed siebie uciążliwie rosnące piersi. *Nie, to nie jest zmiana tego rodzaju,* stwierdziła kilka sekund później, znowu się garbiąc. *Tata stał się po prostu jakiś bezemocjonalny. Pewnie przytłacza go to wszystko, co się dzieje.*

– I te krystalicznie czyste badania... – analizował kapitan. – Z masą pieczętek! Autentyczne księżycowe. Większość NASA. – Suri drgnęła na tę nazwę, coś zawirowało jej w pamięci, ale zbyt niewyraźne, by wiedziała, o co chodzi. – Tylko ta jedna pieczętka, na potwierdzeniach czystości i braku oznak bytności Zgnilca... Czy to... – gestem przywołał swoją zastępczynię, która pochyliła się nad holopulpitem – ...słońce?

– Chyba bardziej łeb lwa... – Blondynka kręciła głową na długiej szyi, oglądając obrazek z różnych perspektyw.

Ojciec Suri zacisnął dłonie na ramionach córki, aż ta poczuła ból. Dziewczyna nie lubiła, gdy ją dotykano, a tym bardziej w takich sytuacjach.

– Hej, tato!

– Kazuma-san, myślisz, że ktoś chce się do nas włamać? – Ojciec nie zwrócił na nią uwagi. Wyrwała się. – Opozycja?

– Nie mam pojęcia, Susumu-san – odparł kapitan i wpatrzył się w statek, jednak jego spojrzenie było obojętne. Suri robiło się zimno, gdy obserwowała twarze zgromadzonych, coś jej w nich nie pasowało. Skierowała wzrok na kosmos. – Ale jedno wiem na pewno. Nie wypuszczę ich na stację!

A dziewczynka właśnie w tym momencie, masując ramię i błędząc wzrokiem po przestrzeni kosmicznej za szybami, doświadczyła czegoś, co mama nazywała błyskiem. Jakby uniosła się na chwilę przed nią zasłona czasu. Poczuła, że uginają jej się nogi.

Nie wiadomo, skąd zyskała pewność, że dziwni przybysze wtargną na Meridian. I odmienią wszystko.

Zabiorą ją do domu.



Obudziła się w swojej kajucie zamkniętej na cztery spusty. Przez chwilę niczego nie pamiętała, jakby dopiero rozpoczynała ten dzień. Nawet znaczenie blokad na drzwiach i włączonej aparatury medycznej dotarło do niej dopiero po chwili. Poderwała się do pozycji siedzącej; czubek głowy przeszył ostry ból, a ze skroni odlepiły się macki medyka.

Przypomniała sobie o nielegalnych imigrantach. Zasłabła, pewnie przez niewyspanie i emocje.

– Drzwi zablokowane, sieć nie działa... Przełączono Meridian na tryb bunkra – mruknęła do siebie, stukając bezskutecznie w ikony połączeń na konsoli. – Rodziców na pewno wezwano do sztabu. A ja mam tu grzecznie siedzieć jak biedna sardynka w puszcze.

Przypomniała sobie krótkie spotkanie z ojcem. Mama i tata zapewniali, że chcieliby mieć dla niej czas, ale dyscyplina na stacji na to nie pozwalała. Suri zazwyczaj bez trudu powtarzała sobie, że to w porządku i da sobie radę sama. Ale teraz wypełniał ją tak wielki niepokój przez to, że nie zostawili jej choć krótkiej wiadomości... Pierwszy raz od wielu lat chciała się do kogoś przytułić. Przyciągnęła do siebie niewiele mniejszego od niej misia i owinęła się wokół niego. Poczula łzę spływającą po policzku, przez co natychmiast się rozżłościła.

– Przestań się mazgaić! – fuknęła, zerwała się z łóżka i uderzyła otwartą dłońią w drzwi służy, co przyniosło jedynie nowe źródło bólu.

Opadła na ciepłą podłogę, objęła ramionami podkulała nogi i wgapiała się w pluszową armię Hello Kitty.

– Masz szlaban, Suri-san – powiedziała surowym tonem. – Bo byłaś niegrzeczna.

– Zaprzeczam. Kajuty są odizolowane ze względów bezpieczeństwa – zazgrzytała asystentka.

Meridiance odechciewało się już robić głupie, nieregulaminowe rzeczy – dostawała wtedy karę z automatu, przekazywaną poprzez sieć, w najgorszym przypadku przez androida. Lepiej było żyć jak duch. Miała wtedy o wiele więcej swobody, by robić te mądre, nieprzepisowe rzeczy. By spełniać swoje „nieregulaminowe” potrzeby. Buntować się po cichu i w tajemnicy. Bunt ją uspokajał. Potrzebowała uspokajaczy, nadwrażliwa sensorycznie, zawieszona w kosmosie, otoczona gwałtownie zmieniającym się, a jednocześnie niedostępnym światem. Cichy, skryty bunt był dobry. Bunt był w tych okolicznościach jedynym wyjściem.

Na przykład poprzez kontakt z kolonistami!

Zerwała się znów, spojrzała na Marsa, który nie był już przysłonięty pyłem, rzuciła na łóżko i wygrzebała spod niego przestarzały tablet. Jakiś rok wstecz Suri udało się znaleźć dziwny kanał zakodowany bez ładu i składu; po prostu wyłonił się z płątaniny oficjalnych sieci na starym sprzęcie mamy podczas jednej z awarii słonecznych. Dziewczynie udało się porozumieć z Abigail, nieco starszą od niej kolonistką na Marsie, również korzystającą z wyeksploatowanego sprzętu starych. Domyśliły się, że dorośli utrzymywali potajemne kontakty, a wieloletnia cisza pomiędzy Marsem a resztą świata nie dotyczyła przynajmniej ich rodziców. Od jakiegoś czasu jednak nawet to potajemne łącze stało puste i martwe, póki nie przejęły go dziewczyny.

Połączenie nawiązywało się kilka ślamazarnych minut, podczas których Suri wdychała ciężko i co chwilę zmieniała pozycję na łóżku. Gdy na ekranie pojawiła się Abi, Meridianka właśnie zamarła w półprzewrocie, spoglądając na przyjaciółkę spod swojego siedzenia.

– No nieźle – skwitowała kolonistka. Miała jasnobrązowe włosy splecione w gruby warkocz, wielkie czarne oczy i karmelowy odcień skóry. Mniejsza grawitacja na Czerwonej

Planecie osłabiała organizm; Abi była drobna, ale jednocześnie kipiała energią nastolatki, która miała w miarę fajne dzieciństwo. – Powinnam cyknąć ci fotę.

Suri wygramoliła się spod swoich kończyn, chwyciła tablet i dokładnie obejrzała otoczenie Abigail. Znajdowała się znów pod gigantyczną Kopułą zakrywającą przed satelitami poczynania mieszkańców Czerwonej Planety. W tle słychać było jednostajne buczenie.

– *Shimatta!* – zawołała Suri. – Przecież ktoś cię zobaczy!

– Zobaczy, że co? – zapytała Abi.

– Że gadasz z kimś spoza!

– Spoko, Susan, nikt nie zwraca na mnie uwagi – rzuciła Marsjanka, a Suri jak zwykle uśmiechnęła się na dźwięk „Susan”. Wymysł Abi, taka hybryda od Suri i grzecznościowego japońskiego zwrotu san. – Są już bardzo głęboko i coś odkryli, więc wszyscy pobiegli do Wielkiej Dziury.

– Zobaczysz, będziecie jak krasnoludy z Morii. Obudzicie resztki Zgnilca albo inne cholerstwo.

– Jak tu będziesz, to zrozumiesz. – Spojrzała tęsknie przez ramię w kierunku stłumionych odgłosów wiercenia. – Jak tam sprawy?

– Do stacji dobijają się imigranci. A Zgnilec chyba dobiega się do Lwa.

Abi zagwizdała, a potem się skrzywiła.

– Na Ziemi ma przesrane. Tutaj twój przyszły mążus byłby bezpieczny. Tam go znajdą. Przyjdą po niego, Susan. Aresztują twoją ciotkę i go zabiorą.

Suri oparła tablet o poduszki, brutalnie przygarnęła do siebie pluszowego białego niedźwiedzia i spojrzała na fejkowe zdjęcie z Lwem na placu zabaw.

– Przesadzasz... Ziemianie to nie zwierzęta.

– Ehe, jasne. Zadzwoni do niego i powiedz, żeby uciekał pierwszym promem.

Meridianka wiedziała, że Marsjanie są mocno uprzedzeni do Ziemian, a jednak poczuła silne ukłucie niepokoju, jakby przyjaciółka miała słusność.

– Połączenie padło.

– A z twoją ciotką, Miłką?

– Abi, takie rzeczy to już obywatelskie nieposłuszeństwo...

– Właśnie jesteś nieposłuszna.

– Ale tak, że nikt mnie na tym nie nakryje. Czemu ty się nie boisz? – mruknęła ze złością Suri, wzdrygając się na myśl o beznamiętnych androidach wlepiających ciężkie kary za szkodzenie społeczeństwu.



Owszem, pozwalała sobie na łamanie regulaminu stacji, pewnie by ktokolwiek dostrzegł jej istnienie, ale kosmicznego prawa za nic nie chciała naruszyć. Bała się tego całego gąszczu zasad, zakazów i zależności. Przeczytała w e-booku o neuroróżnorodności, który przysłała jej ciocia, że osoby w spektrum dobrze rozumieją równość i wolność, za to nieszczególnie przyczyny konfliktów i struktury w hierarchiach. Tacy jak ona bywają wolnymi strzelcami bądź przywódcami. W centrum płataniny zależności się gubią, tak jak w żartach i niedopowiedzeniach; ich analityczne umysły polegają na klarownych danych.

– Mars to osobna planeta, Susan – odparła z dumą Abigail. – A my to jak osobny gatunek. Nasza krew jest zardzewiała.

– Nadal jesteście ludźmi! Gdybyśmy uznali, że wszyscy troje jesteśmy sobie obcy, powinnam olać Lwa, a przecież każesz mi...

Huk nawet z głośników tabletu brzmiał ogłuszająco, obraz zafalował. Coś kazało Suri wyrzucić przez okno na Marsa, ale wyglądał jak zawsze. Równina Vastitas Borealis, zajmująca niemal połowę powierzchni planety, nie pękła ani nie wybuchła pod wpływem szalonego hobby mieszkańców, polegającego na próbach dokopania się do skrytego gdzieś w trzewiach planety Patrona. Ziemsy badacz i koloniści w tym jednym byli zgodni: uważali, że na Ziemi rozrasta się jego ciało, a umysł (według naukowców) bądź dusza (według kolonistów) pozostała na Marsie, pobudzając go do odrodzenia.

Koloniści trochę jednak musieli rozruszać od dawna niemal nieaktywnego tektonicznie ani geologicznie Marsa, bo Abi stała na trzęsącym się silnie gruncie.

– Później, Suri. Muszę sprawdzić, co się dzieje. – I znikła. A to, że użyła imienia Meridianki, tylko wzmogło strach zamkniętej w kajucie dziewczyny.

– Zwariuję tu – oznajmiła swojemu więzieniu, zazwyczaj przyjaznemu, dziś absolutnie nieznosnemu. Nie chciała się podporządkowywać. Akurat dziś poczuła przemożną chęć, by przestać na całej linii. I akurat dziś nie mogła.

Myślała o cudach, które być może ogląda teraz Abigail. O Lwie-wybrańcu. O imigrantach walących z działa w stację, żeby błagać o zamknięcie w puszcze. W puszcze, którą przecież Suri kochała, nie miała tak źle... ale czy nie było tak, że pod fasadą miłości trwał sztorm na oceanie nienawiści?

– Sfiksuję jak nic.

Poczuła, że się „odkleja”. Tak nazywała stany, gdy nie mogła zająć uwagi żadną czynnością i zaczynała się gonitwa myśli. Czy to się dzieje naprawdę? Czym jest życie? Czy ja jestem? Jak jestem? Kiedy jestem? Co jest po śmierci? Czy mogą teraz umrzeć? Czy medyk w razie czego mnie uratuje? Czy może śnić? Jak się upewnić, że to jest realne? Co to znaczy „realne”?

Podręcznikowo nazywano to derealizacją, depersonalizacją. *Trudne, głupie słowa*, pomyślała, potrząsając głową. *Odklejenie. Mózg się odkleja od tkanki rzeczywistości, bo nieustannie potrzebuje zajęcia. Nie dajesz mu zajęć, to masz odklejony, zafiksowany na głupich pytaniach mózg.*

W e-booku o neuroróżnorodności wyczytała też, że rodzicom autystycznych dzieci szczególnie zaleca się rodzicielstwo bliskości, a więc szacunek, zrozumienie zamiast kar i nagród, akceptację. Suri była przekonana, że mama i tata nigdy nie zaakceptowali tego, jaka

jest ich córka, bo mama przez lata próbowała ją naprawić, a tata ignorował. Setsuna w końcu zrobiła to samo, co mąż. Najwyraźniej dziewczynka ich rozczarowała.

– No pewnie, użalaj się nad sobą, sieroto... – warknęła, wycierając mokre policzki łapką misia koali. – Masz zdrowe ciało, za ścianą świata nie żre Zgnilec, ale co tam, płacz jak pięciolatka za mamusią...

Oczywiście wiedziała, że powinna zaakceptować swoje emocje, a nie się za nie ganić, ale miała naprawdę trudny dzień. A mama nie przyjdzie dać jej wskazówek, jak żyć.

Zamarła. Z mamą nie pogada, ale istniała inna dorosła osoba, która się nią przejmowała, pomagała zrozumieć siebie i innych i nie oszaleć. Nadszedł ten moment, by role się odwróciły. By Suri przestała tak bardzo skupiać się na sobie.

Otworzyła edytor tekstu na konsoli; nie działały komendy ani połączenia głosowe, ale nadal można było w staroświecki sposób wstukać wiadomość i zostawić ją w chmurze, a się wysłać ją, jak tylko zniknie blokada na połączenia z Ziemią. Suri przez chwilę z bolesną intensywnością myślała, co napisać, odzyskując władzę nad poczuciem samej siebie, nakierowując uwagę na cel. Jak porozumieć się z Ziemią? Wszystko było monitorowane, filtrowane i przepuszczane przez algorytmy, za które potem dostawało się albo traciło obywatelskie punkty. Hakerka potrafiła przekazać Meridiance dane poza kontrolą systemu, ale nie miała jak umożliwić tego samego Suri. Dziewczynka musiała poradzić sobie szyfrem.

„Ciociu, tam są klusownicy”.

Zaśmiała się głośno, odrobinę histerycznie – to było perfekcyjne zdanie. I kiedy oglądała je raz po raz, słowo „klusownicy” wydobyło na wierzch wspomnienie tuż sprzed utraty świadomości. Czasomignięcie, jak to nazywali w literaturze fachowej. Błysk – jak mówiono potocznie. Suri zobaczyła możliwość tuż za pojedynczą przeszkodą.

Chyba to ją tak rozstroiło. Nieświadomość, gdzie kryła się większość rejestrowanych przez mózg treści, próbowała przebić do świadomości informację o tym nowym, cudacznym doświadczeniu. Suri najwyraźniej z szoku wyrzuciła ją do tak zwanego „cienia” – tego, co wyparte z myśli. Stąd ta fala egzystencjalnego lęku. Teraz błysk prezentował się w jej głowie w całej swojej oszałamiającej okazałości. Był przerażający, bo rozcinał czas, ale i fascynujący. Dawał Suri moc, nieprzyjemnie obcą, lecz w jej położeniu bezcenną. Wiedzę.

Ci imigranci musieli dostać się na statek. Bo Suri wreszcie była gotowa przyznać, że nie kocha Meridian. Meridian to wieczny szlaban w miejscu dla wielkiej rzeszy przegrywów wyrzuconych z jednej planety i nieprzyjętych na drugą. To tak jakby skończyć klasę – albo lepiej, szkołę – i nie przejść do nowej.

Marsjanie chcieli Marsa tylko dla siebie. Abi nigdy tego nie powiedziała, ale przecież Suri wiedziała. Normalnie każdy, kto postawił stopę na Czerwonej Planecie, dostawał bakcyła wolności. Nie chcieli już kolejnych Ziemi, coraz bardziej osłabionych, struty. Nie chcieli nawet Meridian z rozpadającej się, starzejącej stacji. Jak ci z Ziemi, którzy zorganizowali przeprowadzkę, mogli nie przewidzieć takiej opcji? Nie spodziewać się, że niemal na pewno właśnie tak się stanie? Ile razy zdobywcy nowych lądów zawłaszczali sobie podbity obszar i odgradzali się od reszty?

Frajerzy, pomyślała, starając się w swojej wyobraźni wyrzucić z tego zbioru Abigail. Ona nie była niczemu winna. Urodziła się w enklawie.

A Meridian mogłaby spłonąć. Gdyby tylko wszystkich wysłać na Marsa.

I jeszcze biedny Lew... Zamknięty nie tylko w przerdzewiałej puszczy, ale w puszczy na wysypisku tonącym w rozkładzie.

Popatrzyła na stary tablet.

– Nie odwali mi – postanowiła i zagłębiła się w matczyne kody.



– Pomyślałam, że odpoczynek dobrze nam zrobi.

Lew leżał Serengetim w dmuchanym, pomarańczowym kole na skalistej plaży, patrząc na chorwackie góry z brzegu jednej z wysp. Wokół ogłuszająco cykały świerszcze. Cała przyroda dawała tu o sobie znać mocniej niż w symulacji Polski. Jaszczurki, kraby, wielkie motyle, ryby i ukwiały w przejrzystej wodzie zdawały się niezmiernie żywe i prawdziwe. Igły drzew były tak zielone jak liście na wiosnę. Prądy raz cieplej, raz zimnej wody podływały do stóp chłopaka. Wszystko było wspaniałe. Tyle że nierealne. To wszystko już nie istniało, może poza pasmem gór, które przypominało Lwu... mur. Ale nawet taki wielki mur nie umiał zatrzymać Zgnilca.

– Na jutro wykupiłam wycieczkę po Wenus.

– Cool. – Nie wiedział, czemu mama nagle stała się rozrzutna, ale czuł się zbyt rozleniwiony i zrezygnowany, by pytać.

– Chciałam, żeby dzisiaj po prostu było normalnie.

Zerknął na nią przez ramię. Siedziała nieco wyżej, na karimacie, smarowała się olejkami i ze skwaszoną miną patrzyła na odległy brzeg Europy.

– Nie jest normalnie, mamo. To miejsce już nie istnieje – stwierdził filozoficznie Lew.

– Istnieje, istnieje. Gór nie zjadł. Gdyby z nich zlął...

– To te osobniki na szczytach nie jedzą? – spytał bez większego zainteresowania.

– Coś tam jedzą, ale mniej niż te na dole. Patron jest zbiorem, ale w zaawansowanej symbiozie. Czego was uczą w tej szkole? Nie wszystkie jego elementy muszą się posilać, część spełnia inne funkcje...

Lew nie chciał słuchać wykładu. Wstał, założył okulary do pływania, podszedł na skraj skały i skoczył do wody. Rozgonił ławicę ryb, przepędził kilka jeźowców wczepionych w głązy, przejechał dłonią po gąbczastych ukwiałach. Jest, a jednak nie ma. Pływanie to podobno jak latanie, myślał Lew, dryfując wśród kolorów i refleksów światła. Bo woda to trochę jak powietrze w innym stanie. A jednak przecież on tkwił nieruchomo w konsoli. Nie pływał, nie latał, nie przeżywał naprawdę.

A może jednak?

Coś złapało go za spodenki i pociągnęło na płyciznę. Zlął się jak cholera, a to tylko mama, patrząca na niego z dezaprobatą czarnymi oczami Maszy.

– Widzę zapisy z twojej konsoli, kocie. Jesteś okropnie przygnębiony.

– Bo to tak nie działa, mamó. – Zrobił zamasztysty ruch ręką, wskazując na krajobraz.

– Sprawdziłam tę twoją stetryczną koleżankę. Możesz się z nią zadawać.

Lew spanikował, ale matka nie wyglądała na złą, więc po chwili strach zastąpiła radość.

– Ale najpierw cały dzień masz się tu pluskać albo siedzieć na brzegu, nie robić nic i łapać słońce jak normalny dzieciak. Sprowadzić jakichś twoich przyjaciół, jak skończą lekcje?

– Nie. Zaprogramowani są lepsi.

Miłka westchnęła i przewróciła oczami. Lew wywołał odpowiednią komendą symulację Suri. Traktował ją jak pusty awatar, nie jak swoją przyjaciółkę. Po prostu dobrze mu się patrzyło na jej twarz. Przyjaciółka pozwoliła mu korzystać ze swojej symulacji, ale uzupełnienie „lalki” o jakąś kopię osobowości Suri uznawał za okropną rzecz. niesprawiedliwą, nieludzką wręcz. Wiedział, że istniała tego typu rozrywka, wiedział, że ludzie kopiują tak najbliższych, często zmarłych, ale czuł przed tym opór. Może niespecjalnie umiał w życiu, ale wiedział, gdzie są pewne granice. Skąd tkwiła w nim ta wiedza – nie miał pojęcia, jednak sprawiała, że mógł spokojnie patrzeć na siebie w lustrze.



Dwa dni później symulacje koleżanek były zbędne. Nie do końca jeszcze rozumiał, jakim cudem stał właśnie jako Serengeti na progu domu Józefiny w Inkarnii. Zwyczajnie, Miłka powiedziała mu, że przyszywana babcia się przyda, bo chłopak dziczeje. Musiał tylko przyjechać do swoich nowych znajomych taksą, na co zgodził się ochoczo po doświadczeniach w tej dzielnicy. Może i był maminsynkiem z dzielni bogaczy. Nie miał zamiaru z tym walczyć. Chyba że poprzybywa z Finką odpowiednio długo...

Żadnej kolejnej kary ani nic, tylko gadka o nowej babci, pomyślał, naciskając staromodny okrągły dzwonek w kolorze mosiądzu. Dom był parterowy, z desek pomalowanych na ciemny błękit, z jasnoniebieskimi okiennicami. Na zielonych drzwiach miał wymalowane wodorosty i bąbelki. Jak mieszkancko jakiegoś wodnika.

Babcia-wodnik z alzheimerem. Izbuntowana nastolatka. A to niby ja jestem dzikusiem.

Józefina otworzyła drzwi i bez słowa wpuściła go do środka, jakby na niego czekała. Miała na sobie koszulkę ze świecącym w ciemności kotem Schrödingera. Zamknęła za Lwem drzwi i stali chwilę w mrocznym przedpokoj, a połowa kota waliła po oczach neonową zielenią.

– Tak właściwie to Józefina jest imieniem twoim czy inkarnacji? – spytał cicho.

– Moim.

Nie miała zamiaru podzielić się nazwą awatara.

– Jak twoja babcia?

Wyszczерzyła do niego zęby. Scena w tym dziwnym fluorescencyjnym świetle była mocno nierzeczywista.

– Przekonajmy się.

Złapała go za bluzę i niemal poniosła przez korytarz pełen akwariów z pstrokatymi rybami.

– O co chodzi z tym wodnym klimatem? – nie miał pojęcia, czemu mówi szeptem. Ten dom przytłaczał.

– Dziadek i babcia byli oceanografami. Teraz tym całym bajzlem zajmuje się Klementyna. Nie zdziw się na jej widok.

Lew nie miał zamiaru dziwić się absolutnie niczemu, byleby Klementyna nie okazała się kimś podobnym do bohaterów gry *Resident Evil*, z siekierą w rękę, gotową do akcji.

Weszli do salonu, który na całe szczęście był pozbawiony narzędzi tortur na ścianach, za to z haftami różnych przedziwnych stworzeń z głębi oceanów. Przed sporym kominkiem stało bardzo dużo foteli. Dopiero po dłuższej chwili Lew dostrzegł na jednym z nich gospodynię, babcię Finki. Pomieszczenie było spowite mrokiem i chłodne, choć palenisko nie wygasło. Na kominku wisiało lustro, w którym odbijała się twarz starej kobiety. Awatar wyglądał na w pełni sił, tylko oczy, zwrócone ku tańczącym płomieniom, były zupełnie puste. Dosłownie puste – bez tęczyówek i źrenic. Lew oglądał filmy, gdzie ludzie i przeróżne istoty miały całe czarne czy mlecznobiałe oczy, ale to tutaj zupełnie wytrąciło go z równowagi. Jakby koder nie mógł w pełni nałożyć obrazu, bo właścicielki inkarnacji... nie było w ciele.

Trochę jak u więdźmy.

Finka zostawiła gościa na środku pokoju i kucnęła przed babcią, patrząc na nią uważnie. Wyciągnęła rękę w kierunku chłopaka.

– Zrób kilka kroków do mnie, kujonie. Powiedzmy trzy.

Wykonał polecenie.

– Jeszcze trzy. Dajesz jeszcze trzy. Stój! Patrz w lustro i chodź tu, ale powolusieńku.

Nie spytał, gdzie konkretnie; najdokładniej widział te przerażające oczy starej kobiety. I zauważył zmianę – ich środek przestawał odznaczać się bielą. Lew szedł niespiesznie ku kominkowi, a inkarnacja wracała do normalności. Gdy stanął przy fotelu, gospodyni zwróciła ku niemu głowę i wbiła w niego bystre spojrzenie.

– Odleciałam, co? Szlag by to. Ale oto i znowu nasz mały złodziejczek – powiedziała z takim ciepłem, że Lew poczuł przyjemne ciarki na plecach. – Miło cię widzieć... Ile czasu minęło od naszego spotkania?

– Parę dni – odparł niepewnie, przyglądając się triumfalnemu uśmiewowi Finki. – Ja chyba właśnie... *wybudziłem* panią?

– Mów mi Stefa. Może być babcia Stefa.

– Masz coś w sobie, co ją budzi. Tworzy nowe połączenia w mózgu. Tak wywnioskowała twoja starsza – wyjaśniła Lwu dziewczyna. Opadła na jeden z foteli z taką ulgą, jakby właśnie skończyła maraton.

– O! A to ci dopiero – zdziwiła się Stefa. – Masz w żyłach lekarstwo na alzheimera? Chętnie oddam wszystko, co mam, byleby mnie to oczadzenie więcej nie brało. – Zaśmiała się krótko i przeciągnęła. – Lekarze oczywiście rozkładają ręce, że nic nie poradzą, bo to nie jest już ta choroba, co przed Patronem. Sama nie wiem, czy służba zdrowia opowiada dyrdymały, żeby nas nie leczyć, czy na Ziemi nawet choroby gniją...

Józefina szturchnęła ją nogą. Między nimi przeleciał jakiś plik; jego holo przybrało wygląd złotej rybki.

Lew dał im czas na wymianę informacji. Rozejrzał się po pokoju i dostrzegł na jednej ze ścian kolejne akwarium, największe z dotychczasowych, w którym mieszkało osobiwe stworzenie. Wyglądało jak koń morski.

– Witaj, szanowny gościu. To kelpie. A ja jestem Klementynka – oznajmił słodki głos tuż przy uchu chłopaka, na co ten podskoczył i omal nie wrzasnął.

Obok niego stała... chyba kurtyzana. Jakiś android stylizowany na bufoniastą, kuso ubraną lalę.

– Co do...

– Mam awatara. Nie inkarnację, takiego zwykłego awatara. Mogę się zalogować do sieci – wyjaśniła Klementynka. – Jestem droidką. I najlepszą towarzyszką wszystkich w domu! Twoją też będę. Opowiedzieć ci żart? Ale najpierw musisz mi zdradzić swoje imię.

Puściła do niego oko. Miała typowo matowe spojrzenie droida, a mimo to Lwu wydawało się, że ktoś tam ze środka naprawdę na niego patrzy.

Czy to naprawdę była sztuczna inteligencja zawiadująca prostym awatarem?

– Yyy... mam na imię Lew.

– Hm. Żart o kotach. Mam w bazie same słabe, lepsze są memy. Prześlać ci?

– To sekslalka dziadka – rzuciła Finka. – Tylko taka nowszej generacji, z zaawansowaną SI. Dziadek ją jeszcze podrasował, no i... jest jaka jest.

– Prosiłam cię, Józiu, żebyś nie mówiła o mnie sekslalka, bo ja będę o tobie mówić cnotka – skwitowała Klementynka, uśmiechnęła się do Lwa i zaczęła czyścić akwarium kelpie.

Chłopak wskazał na stworzenie.

– To musi zabierać kupę miejsca i pamięci. Skąd macie zezwolenie?

Babcia przestała przeglądać pliki i westchnęła ciężko.

– Trudno będzie to wszystko wyjaśnić, synku. Przynajmniej na początku.

Lew zrozumiał, że nie mówi o wielkim akwarium z morskim koniem. Chciał podejść bliżej kominka, ale coś szarpnęło nim niespodziewanie, tak że runął na wzorzysty, szorstki dywan. Ledwie usiadł na tyłku, upadł na plecy, jakby ktoś mocno go pchnął. Ale nikogo obok nie było.

Doznania z realu przebijały się do Inkarnii.

– Muszę się wylogować – wymamrotał, czując ostre igły strachu na czubku głowy. – Dzieje się coś niedobrego.

– Nie sądzę, żebyś mógł się wylogować – mruknęła dziewczyna, podchodząc do niego. Przyglądała mu się tak, jak on przed chwilą koniowi morskemu.

– *Serengeti, wylogowanie. Wszystkie opcje, do skutku.*

Widział, jak inkarnacja stara się wywalić go z wirtualu każdą możliwą drogą. I nic.

Nigdy jeszcze nie poczuł się tak bezbronny. Konsola wyświetliła jego skok tętna, ale jednocześnie wszystkie jej funkcje, jak i jego parametry pozostawały w normie. Chyba nie

robiono mu krzywdy, a jednak doświadczenie było kosztowne. Kto miałby wejść do ich bunkra i ruszać konsolę? Z nim w środku? Chyba tylko...

Gospodyni podeszła do niego z karafką pełną gęstego, ciemnego płynu i kieliszkiem.

– Sama bym się wkurzyła na twoim miejscu. Napij się nalewki. Uważaj, ostatnio miałam tylko wino, a to jest na spirytusie. Potraktujmy to jako syrop na uspokojenie.

Lew wypił ziołowy, mocny alkohol. Udało mu się nie zakrzusić. Po chwili poczuł się minimalnie lepiej.

– Przenoszą twoją konsolę – wypaliła Finka, jakby tylko czekała, aż będzie mogła to powiedzieć.

Utumaniony emocjami i paleniem w przełyku chłopak nie mógł oderwać wzroku od paskudnej kociej głowy na jej koszulce, w połowie będącej czaszką, w połowie wykrzywioną mordą.

Dopiero po chwili dotarło do niego, że ten koci łeb Józefina ma na piersiach. Natychmiast podniósł na nią oczy.

– CO ROBIĄ?

– Jesteś jak Lwiątko z Cintry, chłopaku – stwierdziła Stefa, lejąc mu kolejny kieliszek. – Wierzysz w przeznaczenie?

– Nie jestem żadnym dzieckiem-niespodzianką – obruszył się Lew.

– Tak mu tego nie wyjaśnisz, babciu. – Finka przewróciła oczami.

– Po tym zafajdanym odpłynięciu tak łatwo się nie myśli...

– Dokąd i kto mnie przenosi? – warknął chłopak. Ścierały się w nim gniew, strach i... smutek.

– Powinieneś mieć na skrzynce wiadomość od mamy.

Nie miał, ale przypomniał sobie, że ważne wiadomości Miłka czasem kierowała mu do spamu. Było tam nagranie głosowe sprzed kilku minut. Odsłuchał, podczas gdy puls wciąż mu przyspieszał.

„Wiem, że to nie tak miało być. Ale wiem też, że umieraliśmy w tym domu”.

Nie miał pojęcia skąd – czy te dwa zdania wystarczyły, czy chodziło o ton głosu matki – ale Lew już wiedział, do czego to zmierza.

„Nie wierzę w przeznaczenie, kocie, ale wiem, że istnieją zrządenia losu. Mój kontakt do Złomiarki wpadł, ale znalazłeś te dwie kobiety. Zabiorą cię na Złom. Nigdy nie wrócisz do domu”.

Poczuł jedynie lodowate opanowanie. Jakby na to czekał, jakby nic, co Miłka powie, nie mogło go zaskoczyć.

„Musisz wsiąść na prom. Na KONKRETNY prom. To najważniejsza rzecz na świecie. Nie mogę wiedzieć, gdzie jest Złom – użyją wielu metod wyciągnięcia ze mnie informacji, jeśli mnie aresztują. Za nieautoryzowane kontakty z NASA nie ma przebaczenia. Byłam pewna, że po ciebie przyjdą, bo odwiedziła nas wiedźma. Instytut wie o tobie, Zgnilec dał nam znak, Meridian potwierdziło. Ci, którzy chcą cię schwytać, to ludzie złęknieni i zagubieni, nie myśl o nich źle. Posłuchaj mnie uważnie. Patron potrzebuje pomocy. Chce, żebyś uciekł. Złomiarka to ekswidźma. Pomoże ci. Wiem, że to brzmi jak ponury żart. Zrozumiesz to. Obiecuję.

Dlaczego Zgnilec chce akurat ciebie? Nigdy tego nie wiedziałam, kocie. Może wiedział twój ojciec. Kiedy znajdziesz się w kosmosie, sądzę, że dowiesz się znacznie więcej od nas obojga.

Kocham cię, skarbie. Nie dam się zabić. Uciekaj z planety. Masz w kieszeni bilet, a w konsoli transporter z Kitkiem. On też ma bilet”.

– Mamo, kurczę, to nie *Ósmy pasażer Nostromo* – mruknął otępiały.

Popatrzył na te dwie dziwaczki, a potem na kelpie, która unosiła się w wodzie i spała. Przypominała zjawę.

– Podpuszcza mnie – powiedział nieswoim głosem. – Żebym chciał lecieć na Marsa.

– Wszyscy musimy lecieć na Marsa – skwitowała łagodnie Stefa, uzupełniając sobie kieliszek.

– Nie czuję się tak, jakbym coś musiał – stwierdził bezbarwnie Lew, a następne słowa zdawało się, że wyskakują z ust Serengetiego bez udziału woli chłopaka. – Nie prosiłem się na ten zgniły świat. Nie prosiłem, żeby Patron mnie stalkował.

– O, ty też masz zgniłe żale – ucieszyła się Finka nie wiedzieć czemu.

– Że co?

– No, że masz takie życie w du...

– Chłopcze – Stefa zgromiła wnuczkę wzrokiem – to tylko jednostkowe życie. Bierzesz je zbyt poważnie. Masz jedno zadanie jako żywy organizm. Przeżyć. Ponieść gen dalej. A my ci chcemy pomóc, bo mamy ten sam cel.

Lew milczał przez chwilę, usiłując poradzić sobie ze ścierającymi się w nim emocjami.

– Nie powinniśmy bronić planety? – spytał zrezygnowany.

– Jest stracona.

– Więc czemu nie my, razem z nią?

Gospodyni zajrzała mu w oczy. Jej awatar miał niesamowite tęczęwki, szaroszrebrzyste.

– Czemu nie ty? To jest prawidłowe pytanie – poprawiła go. – Dowiemy się, jeśli nauczysz Patrona mówić.



Rozdział piąty

Głos, którego nie słyhać

#niewyjściowaaparycja

#pijaniDJ-e

#strzelaninawkosmosie

#mruczandoMarsa

– Abi, Abi, Abi, Abi...

Wielebny kręcił głową i cmokał. Jego oczy w okrągłej twarzy przypominały świeczki na tortcie. Abigail starała się skupić na nich, żeby nie błędzić spojrzeniem po facjacie ojczulka. Gdy tylko koloniści przylecieli na Marsa, odżyły zahibernowane tu wirusy i bakterie, które dotąd nie mogły liczyć na nosicieli. A Wielebny Delacruz nie miał zamiaru zwalczać niczego, co „może być dzieckiem Patrona”. Dlatego jego aparycja była absolutnie niewyjściowa, pokryta czymś, co przypominało zgniły mech.

– Nie możesz zobaczyć, nie jesteś wtajemniczona. A i tak jeszcze nic nie wiemy. Przywaliliśmy wiertłem w coś, co zachowało się, jakbyśmy uderzyli w wielki, zakopany dzwon kościelny.

– Tato, urodziny mam za dwa dni.

– Cierpliwość to cnota! – Spojrzał tęsknie za siebie, w Wielką Dziurę wydłubaną w Marsie. – Idź do matki.

– Przecież nie można jej pomóc – jęknęła Abigail, próbując zobaczyć coś ponad potężnym ramieniem ojca. – Tato, no kocham ją i w ogóle, ale siedzenie tam jest nudne...

– Jak ty byłaś chora, to matka z tobą siedziała. Robiłaś pod siebie, a myśmy się tobą zajmowali. – Wielebny zmarszczył nos, przez co narosł na policzkach wyglądała jeszcze gorzej. – Idź i czekaj cierpliwie. Pamiętaj, żeby nie zakładać maski!

Dziewczyna wiedziała, że z ojcem nie ma dyskusji.

Naburmuszona opuściła Kopułę, z której po ostatniej burzy piaskowej wciąż nieustannie opadał piach. W przejściu wzięła głęboki wdech, po czym wyszła na powietrze. Mars praktycznie z dnia na dzień zyskiwał coraz więcej tlenu w atmosferze (człowiek potrzebował minimum piętnaście procent do przetrwania, a tu było go już więcej). Podobno jednak raczej nie miał osiągnąć ziemskiego poziomu. Bakterie i rośliny, które powoli pojawiały się na powierzchni, produkowały go sporo, lecz bez porównania z ziemskimi oceanami i lasami równikowymi. Koloniści mieli adaptować gatunek ludzki do owych warunków, starając się jak najdłużej wytrzymać na powietrzu bez posiłkowania się gaziokiem – niewielkim aparatem tlenowym – który każdy przy sobie nosił. Zamknięte pomieszczenia były lepiej natleniane, ale i tak poniżej ziemskiej normy.

Abigail zawsze się zdawało, że brakuje jej tchu; przyzwyczała się i nawet lepiej niż inni – poprzez mordercze biegi – dostosowała swoje płuca do marsjańskiego klimatu. Tutaj wierzono, że obywatele Marsa kiedyś ewoluują w organizmy beztlenowe, których było na Czerwonej Planecie pełno, a w niemowlęcym wieku Ziemi wypełniały także i ją. Stworzenia te przeznaczały swoją energię na trwanie, nie na rozmnażanie – były długowieczne, a nawet, można powiedzieć, nieśmiertelne. Abi lubiła marzyć o nieśmiertelności i to ją motywowało, gdy niemal wypluwała płuca na bieżniach pod gołym niebem. Technologia szła naprzód szybko, a Marsjanie szukali nowych sposobów odżywiania komórek ciała, więc czemu nie pokonać kiedyś ziemskich, przestarzałych ograniczeń...? Już samo to, że marsjańska grawitacja była mniejsza i Abigail poruszała się znacznie szybciej, niż mogłaby na Ziemi, napawało ją wielką satysfakcją. W podskokach zaczęła żwawo zmierzać do domu, mijając tworzące się tu i tam diabełki pyłowe.

W tej części wyżyny wulkanicznej Tharsis planeta wciąż w dużej mierze była czerwona... a raczej szaro-pomarańczowa; kolor ten nadawały tlenki żelaza. Mawiano, że to obszar wciąż

„zdrowo zardzewiały”, a miejsca, gdzie rozkwitało kolorowe życie, nazywano „odrdzewionymi”. Metropolię, którą właśnie przemierzała Abi, nazwano po prostu Red City, a najczęściej mówiło się o niej Red Dead. Miała bardzo szerokie ulice i przypominała nieco ziemski Dzikie Zachód. Na północnym zachodzie od Red Dead, bliżej najwyższej góry w Układzie Słonecznym, Olympus Mons, stało Nowhere, miasteczko garstki kolonistów, którzy chcieli całkowicie odciąć się od ziemskiej spuścizny i każda rzecz, jaką postawili czy wyprodukowali, musiała posiadać właściwości bądź kształty obce społeczeństwu porzuconej, błękitnej kiedyś planety. Wymyślili też własny język i alfabet. Abigail nie chciała się go uczyć i zawsze korzystała z translatora przyczepionego do ucha, gdy odwiedzała Nowhere. Wolała jednak spędzać czas w swoim mieście. Na wschód, bliżej Wielkiego Kanionu, istniały ponoć świątynie przeniewierców, którzy odrzucili Patrona, wykute w wulkanicznych skałach.

Wyszła ze strefy zamkniętej i ruszyła główną ulicą, przyglądając się koniom Jeźdźców – stróżów prawa. Te mechanizmy to były smukłe roboty o rdzawym kolorze. Wysokie na dwa metry maszyny rozwijały prędkość niemal do stówki. Gdy rozkładały panele słoneczne do ładowania, wyglądały jak pegazy. Abi chciała kiedyś takiego dosiadać, ale wolałaby nie zostawać Jeźdźcem.

Najbardziej podobałaby jej się eksploracja planety, póki było na niej tyle rzeczy do zbadania. Mars miał o połowę mniejszy promień niż Ziemia i zapewniał coraz przyjaźniejsze warunki do życia mieszkańcom, a dziewczyna chciała walczyć z przeciwnościami i docierać w najtrudniejsze obszary. Dlatego spieszyła się i uczyła tak pilnie, że przeskoczyła już jeden stopień nauki. Z czeladniczki stała się asystentką badawczą.

A mimo to Wielebny wciąż nie pozwalał jej podróżować choćby po Tharsis! Miała mu pomagać z mamą i ze sprawowaniem pieczy nad „owieczkami Patrona”. Jedno i drugie było bezcelowe i nudne. Mama była zależna od maszyn podtrzymujących ją przy życiu, a społeczeństwo kolonistów chodziło jak w zegarku, doskonale zdyscyplinowane. Czasem Abi wydawało się, że to roboty, nawet większość jej rówieśników była beznadziejnie posłuszna. Ona, jako córka Wielebnego, mogła nieco więcej. Przyjaźniła się też z Clarkiem, synem komendanta Jeźdźców, któremu nawet częściej uchodziły na sucho różne akcje, ale czuła się trochę wyobcowana w swojej żywiołowości i podróżniczych aspiracjach.

Przed domami skleconymi z kamieni i kosmicznego złomu bawiły się dzieci, wiele z nich z maską gazioka na główkach. Rodzice spoglądali co jakiś czas na ulicę, by odłączyć pociechy od tlenu, gdyby tylko przejeżdżali Jeźdźcy. Ojciec mówił Abi, że koloniści są niepoważni i wynieśli z Ziemi przesadne rozpieszczanie potomków. Przewrażliwieni rodzice się bali, że dzieci mogą nie rozwinać się prawidłowo bez odpowiedniej dawki tlenu. Wielebny często pokazywał córkę na wiecach, reklamując ją jako doskonale przystosowaną rodowitą Marsjankę.

Abigail bardzo pragnęła odkryć ślady Patrona. Była pewna, że jej się śni, ale nigdy nie mogła tych wizji zapamiętać. Mieszkańcy Marsa chcieli odnaleźć jego duszę, przekonani, że nadal śpi w tej wybranej planecie, a Ziemią jedynie się pożywia. Chcieli oddać mu swoje wnętrza i żyć w oświeceniu. A Abi wymarzyła sobie znaleźć i zagarnąć cząstkę umysłu Patrona tylko dla siebie. Odkryły przed nią... to, co wiedziała, że jest tuż za zasłoną

spowijającą ten świat. A może tylko będącą mankamentem ludzkiego umysłu, który nie potrafi jej przejrzeć.

W zamyśleniu dotarła do domu i wspięła się na ciemne, wyszlifowane na błysk schody. Ledwie zauważyła, że z kuchni ulatnia się zapach świeżego czekoladowego ciasta, które musiała przynieść kuzynka. Weszła do małego pokoju matki; rodzicielka nie lubiła dużych przestrzeni. Kobieta leżała na wysokim łóżku z imitacji drewna, zajmującym dwie trzecie pomieszczenia. Aparatura obok niej wyglądała jak kawałek pulpitu z rakiety i Abigail nie zdziwiłaby się, gdyby rzeczywiście pochodził z odzysku – pół tego domu tak właśnie funkcjonowało, złożone z fragmentów promu, którym tu przylecieli.

Piersi matki unosiły się jakby niechętnie, a dziewczynie zawsze się wydawało, że rodzicielka oddycha nazbyt głęboko, że za często nosi maskę i połyka za dużo tlenu, a ten przecież nie był aż tak potrzebny do życia. Nie tutaj.

Kobieta wyglądała jak zjawą. Zapadnięte policzki przywodziły na myśl topielicę. Ale była przytomna. Sięgnęła wychudzoną, potwornie trzęsącą się ręką do aparatu tlenowego, zdjęła maskę i spojrzała na córkę wyjątkowo bystro i przenikliwie.

– Abi. – Chłoneła twarz Abigail, jakby była lekarstwem na przywleczonego z Ziemi raka. Gdzie człowiek, tam rak, mówił tata. A rak to jedno z najboleśniejszych wydań życia, zmutowane, autoagresywne. – Musisz wdychać tlen.

Na i zwirowała, pomyślała dziewczyna, chcąc dodać sobie otuchy, ale zdjęło ją wręcz śmiertelne przerażenie. Co bredziła ta kobieta, która ją urodziła, która w normalnych warunkach powinna przy niej trwać jeszcze wiele lat?

– Powietrze jest zatrute, Abi. Wszyscy są szaleni. Musisz się obudzić. Planeta szepcze zaklęcia...

Abigail uśmiechnęła się z trudem i założyła matce z powrotem maskę. Tym razem już nie udało się chorej podnieść ręki, by przeszkodzić córce.

– Tak, tak, mamó. Oczywiście.



Lew był tak wściekły, że większość czasu transportu spędził sam, siedząc przed kominkiem i patrząc w ogień albo gapiąc się na kelpie. Mieszkanki domu zostawiły go w spokoju, pozostawały niewidoczne. Jedyne Klementynka snuła się po tym porąbanym miejscu. Posyłała chłopakowi od czasu do czasu szeroki uśmiech i przynosiła pseudojedzenie. Już dwa stoliki i puf zastawione były ciastkami z bitą śmietaną, owocowymi sałatkami w syropach, naleśnikami z dżemem i grzankami z masłem orzechowym. Lwu nie chciało się tłumaczyć awatarowi sekslalki, że nie lubi słodkiego, że o wiele bardziej podchodzi mu wszystko, co słone, gorzkie i kwaśne. Piąty smak, jak to mówili, „mięsny”, też wchodził

w grę. Chłopak obawiał się jednak, że jeśli otworzy usta to albo zwymiotuje, a w Inkarnii trudno było zahamować rzyganie, albo będzie kłął, na czym świat stoi.

Miłka go zostawiła „dla jego dobra”? A może po prostu się go pozbyła? Może ojca też potraktowała w ten sposób?

Idiota, skarcił się, zagryzł wargę i zacisnął ręce w pięści. *Matka wie, co robi. To nie jest pierwszy lepszy noob**.

Ale po prostu nie mógł, za nic nie mógł się pogodzić z sytuacją. W środku aż go roznosiło, a jednocześnie czuł się niemal niezdolny do ruchu, jakby wrósł w wysiedziany fotel i miał w nim już zostać.

Wylogowanie nastąpiło gwałtownie i bez ostrzeżenia systemu. Ktoś po prostu wyjął wtyczkę. Lew automatycznie zrobił krok naprzód, ale konsola musiała stać pod kątem, w dodatku pod nogami miał transporter z kotem, więc wyłożył się jak długi. Leżał na brudnym, zimnym podłożu. Było dość ciemno, a wokół migały światła, jakby trafił na imprezę ze stroboskopem. I te dźwięki... Zrozumiał to, zanim zobaczył, gdzie się znajduje – musiał wylądować pod ziemią, w jakimś sporym tunelu. Echa, które go otaczały, były niesamowite, jakby wywleczono go z domu w jakąś kosmiczną tubę.

Gdy podniósł głowę, odkrył, że niewiele się pomylił. Ze dwadzieścia metrów przed sobą zobaczył ogon rakiety kosmicznej. Szczegóły pojazdu wylaniały się z mroku i znikwały za sprawą błyskających niebieskich i zielonych świateł. Jednak nawet w tak kiepskich warunkach można było zauważyć, że rakieta nie jest w dobrym stanie, a wokół niej stoją rusztowania i nieznanne chłopakowi sprzęty. Oględziny miejsca przerwał napad kaszlu – wszędzie unosiło się sporo pyłu.

Czyjeś silne ręce postawiły go na wiotkie nogi i usunęły wenflon ze zgięcia ramienia. Był karmiony kroplówką, świetnie. Jak długo wieźli go w to nieprawdopodobne miejsce? Czuł dojmującą pustkę w żołądku i zawroty głowy. Obok niego znajdowali się rosły mężczyzna i Józefina, niemal biała, przypominająca ducha. Trzymała transporter z Kitkiem, jej towarzysz ładował konsolę na wózek widłowy. Lew obejrzał się przez ramię i zobaczył tłum ludzi, co najmniej pięćdziesiąt osób, zgromadzony pod niewielką sceną w głębi olbrzymiego tunelu przypominającego metro dla gigantów. Ciemność, światła, scena zdająca się mikroskopijną wobec mroku wokół, rakieta leżąca tu jak zdechły kret, któremu nie udało się przebić na powierzchnię...

– *Goddammit*, mamó – mruknął, nawiedzony przez nieprzyjemny skurcz w piersi. Czuł się mały, słaby i samotny po życiu w klatce pokoju.

– Mamuni nie ma, leszczuniu, będziesz musiał zadowolić się mną. Tylko przypadkiem nie rób sobie ze mnie siostry. – Finka włożyła Kitka do kabiny wózka, w której sadowił się już nieznamy. – Irmir zawiezie ci rzeczy do pokoju.

Wcisnęła Lwu w rękę zawiniątko, a gdy do jego nozdrzy dotarł zapach zawartości, omal nie zwariował. Odwinął papier i woń świeżo upieczonego chleba uderzyła w niego z pełną siłą. Dwie grube kromki posmarowane masłem i posolone. Chłopak nie wytrzymał i się rozplakał, jednocześnie wciskając sobie pajdy do ust. Dziewczyna stała cierpliwie i czekała,

patrzac na rozblyskujaca raz po raz scene. Dopiero gdy Lew zaspokoil glod i jakoś doprowadzil się do porzadku, uderzyła w niego cisza tego miejsca. Oczywiście ktoś rozmawiał, gdzieś pracowały tajemnicze mechanizmy, ze sceny dochodziły stuki i szumy, ale dźwięki te zdawały się odbijać od samej ciemności wokół, jakby nie wchłaniała dźwięków.

Symfonia ciszy, tak Suri nazywała przebywanie poza bazą, w przestrzeni kosmicznej. Lwu wydawało się, że pierwszy raz poczuł smak tej symfonii, nie tak jak podczas symulacji, lecz naprawdę, na własnej skórze, poprzez prawdziwe bodźce.

– Idziemy na koncert, i tak nic sensowniejszego nie da się robić, gdy on trwa – oznajmiła Finka. Miała na sobie biały podkoszulek, który reagował z niebieskim światłem bijącym ze sceny i co chwilę zapalał się w ciemności jak zepsuty neon. – Odpoczniesz później, a rano wszystkiego dowiesz się od Złomiarki. No chodź, nie każ się niańczyć jak bachor. Nie znoszę dzieci.

Złapała go za ramię i pociągnęła w kierunku ludzi pod sceną. Miała zimną rękę; Lew wzdrynął się, bo marzył, jakby miał gorączkę. Kiedy weszli pomiędzy zgromadzonych, zrobiło mu się lepiej. Jeszcze nigdy nie przebywał w takim tłumie, nawet w nieświecie. Ciepło, zapachy i rozmowy prowadzone półgłosem były wręcz elektryzujące – chłopak czuł co jakiś czas ciarki i włosy stające dęba na różnych częściach ciała. Lgnął w pobliże sceny jak ćma do ognia. Zielono-błękitne błyski zdawały się hipnotyzować, a poza sceną nie istniało absolutnie nic.

Zapomniał. Na chwilę naprawdę zapomniał o wszystkim. Wydawało mu się nawet, że nie ma wyboru. Musiał wyjąć wtyczkę z gniazda, jak to mówiła Miłka. Zresetować się.

Gdy znaleźli się tuż pod sceną, towarzyszka wyciągnęła ku niemu ciężką piersiówkę. Pierwszy raz wypił wódkę; miała miodowo-kwiatowy posmak i była ohydna, ale w jakiś sposób mu to pasowało. Jej nieznośna gorzkość wydawała się lepsza od słodczy. Poddał się podnieceniu nieznanym wokół. W Inkarnii chodził na koncerty, ale kompletnie nie oddawały tego, co działo się teraz, a już na pewno nie wywołałyby w jego ciele tego, co pierwsze dźwięki, które popłynęły przez tunel. I tego, co wywołało pojawienie się niezwyklej postaci w kłębach dymu.

– To Złomiarka – powiedziała mu głośno do ucha Finka.

Muzyka wzbierała na sile, kobieta na scenie trzymała się cienia. Wydawało się, mimo wyraźnie roboczego, obszernego kombinezonu, w który była ubrana, że jest okropnie chuda, tyczka snująca się po scenie na dwóch patykowatych, pająkowatych odnóżach, ale otaczała ją zniewalająca aura. Złomiarka nie potrzebowała balowej sukni ani żadnych efektów specjalnych. Zaśpiewała zachrypniętym głosem do ostrych brzmień elektrycznych gitar. W jej twarzy, spowitej w cieniu i dymie, wyraźne były tylko błyszczące oczy.

Zgnilec chce mi zrobić odwyk od życia

Ale ja mówię nie, nie, nie

Tak, jestem buntowniczką, odrodzę się i ty to

Poczujesz, poczujesz, poczujesz

Nie ma już czasu i jeśli Zgnilec myśli, że mnie tu pogrzebie, myli się

On próbuje mnie zmusić, żebym umarła, ale ja

Nie umrę, nie umrę, nie umrę**

Lew poczuł, że jej ufa, i tym razem nie było to tak, jakby nie miał wyjścia, jakby została mu już tylko wiara w lokalne gusła – Inkarnię, Złomiarkę, Patrona, jakiegoś boga. Zaufał jej, bo biła od niej siła wykarmiona i wielka, nie tak jak w przypadku mamy, która swoją moc trzymała gdzieś w schowku wielkości pudełka od zapalek, musząc się maskować.

Lew zrozumiał, czemu Miłka mu to zrobiła. Napił się jeszcze piekającej wódki, oddał piersiówkę towarzyszce, sięgnął do kieszeni i dotknął kilku grubych kartek. Bilety. Nawet się nie odwrócił; wiedział, na jaką są rakiety.

Zaczął bujać się w rytm muzyki. I czuł, że gdzieś ponad nim wibracje przeszywają coś...

Zgnilec, nad głowami zgromadzonych, też w jakiś sposób słuchał, a raczej pochłaniał dźwięki.



Lew obudził się i natychmiast poraził go pieroński hałas. Mógł przy nim spać chyba tylko dlatego, że zasnął wykończony i pierwszy raz w życiu pijany. Było mu ciepło pod grubym kocem, na miękkim materacu wciśniętym w kąt jednej z wnęk tunelu. Ale ten hałas... jakby rakietą kosmiczną zaraz miała startować. Lew miał przez chwilę ochotę się skulić i tak zostać, jak szczur przerażony nawoływaniem drapieżników.

Co ja tu robię? – pomyślał, zakrywając dłońmi oczy. Po chwili wyrwał przez palce w stronę tunelu. Widział jedną z potężnych lamp oświetlających tę przedziwną, olbrzymią tubę. Przemógł się – miał w tym wprawę – i chciał wstać, by powitać nowe więzienie, nowy azyl, ale poraził go potworny ból głowy. Pomyślał, że może to ten mityczny kac, ale wtedy tunel spłynął sprzed jego oczu, jakby rozpuściła się farba na płótnie.

Był w lesie. Nie tak jak wtedy, gdy poruszał się Serengetim; wydawało mu się, że naprawdę tam jest. Zapadał zmierzch, czerwień pomiędzy pniami gaśla, wokół snuł się już mrok. Las się zmieniał. Nie był nieprzyjazny, ale Lew znalazł się w nim akurat wtedy, by poczuć, jak dzienny duch ustępuje nocnemu. A nocny pojmował wszystko inaczej.

Chłopak wstał, pod bosymi stopami miał niewielką warstwę lekko błękitnego śniegu. Zgarnął dłońią trochę puchu z najbliższej gałęzi.

– Ja cię kręcę, jakbym naprawdę tu był – mruknął, analizując kąśliwe, ale przyjemne zimno na palcach.

Wiedział, że to nierealne, że wciąż znajduje się w tunelu, tak po prostu. A jednocześnie obserwował leśny taniec duchów, w zapadającym zmierzchu, chłodzie i osobliwej ciszy.

Kora drzew przykuła jego uwagę. Dotknął najbliższego chropowatego pnia. Wcześniej mu się wydawało, że to łuna zachodzącego słońca barwi drzewa, ale nie, one po prostu były

rude. Rude drzewa o rdzawych, grubych liściach, nadal tkwiących na gałęziach. Lew zerwał jeden z nich. Żyłki na jego powierzchni zakręcały się w spirale.

Jak zmutowany las w Czarnobylu, pomyślał. Czasem chodził po symulacji Prypeci, załatwionej przez matkę, ale to nie wyglądało na miejsce pokryte całunem promieniowania. Coś go tknęło, by się schylić i rozgrzebać skostniałymi palcami śnieg, żeby móc zbadać ziemię. Zobaczył szaro-pomarańczową powierzchnię.

– To Mars – stwierdził szeptem. Bał się rozproszyć ciszę tej coraz mocniej niepokojącej metamorfozy lasu, gdzie drzewa i cienie zdawały się ożywać. – Mars przed Patronem? Co chcesz mi pokazać, zgniły bożku? Dlaczego to mnie ciągle coś pokazujesz? – Usłyszał w swoim głosie gorzką pretensję, więc umilkł.

Poczul to. Na sto procent. Ktoś go słuchał. Poderwał głowę i w szarości przed sobą dostrzegł kształt, którego dłuższą chwilę nie mógł rozpoznać.

W końcu zrozumiał, że widzi stary łaźnik kosmiczny. Zmarszczył brwi. Czuł ciarki na całym ciele, bo wokół niego coś się gromadziło, ale najmocniejsze, najbardziej świadome zdawało się w niewielkiej, śmiesznej maszynie przywodzącej na myśl bajkę o WALL-E. Nad nią pojawił się inny kształt, jakby humanoidalny, ale Lew nie potrafił go rozpoznać. Nie dzieliło go od przybyszów więcej niż pięć metrów. Zdawało się, że istota podniosła dziwny, podłużny łeb i patrzy w górę. Chłopak, z ciałem napiętym do granic możliwości, wciąż kuczający przy rozgrzebanej ziemi, zerknął na korony i usiadł z wrażenia. Najbliższe drzewa pochylały się nad nim, jakby zbliżały ku niemu twarze...

OBUDŹ NAS – rozległo się w jego głowie.

Mars rozjechał się jak roztopione lody. *Daj mi już spokój*, pomyślał kompletnie zdezorientowany Lew. *Jestem taki zmęczony...*

Ale Zgnilec nie miał zamiaru przestać, chociaż chłopak nie tkwił w Inkarnii. Czyżby został skażony...?

Stał w jakimś urzędzie, miał na sobie skromną sukienkę, przed nim tkwił mężczyzna z komicznym wielkim złotym łańcuchem na szyi. Lew poczuł cudze, ale nieobce emocje. Ciepło, którego nigdy nie zaznał. Męski głos mówił cicho do jego ucha, powtarzał za urzędnikiem, ale w taki sposób, jakby szeptał zaklęcia: „...w zdrowiu i w chorobie...”, a osoba, w którą wcielił się chłopak, wierzyła w te słowa jak w nic innego do tej pory w swoim życiu.

Kobieta spojrzała na mężczyznę obok. Lew rozpoznał swojego ojca.

Jego twarz rozplynęła się jak podgrzana czekolada.

Nastąpił pokaz krótkich scenek z filmów dokumentalnych i kreskówek. Wszędzie lwy.

– Hej, młody człowieku!

Wszystko zniknęło. Leżał we wnące, a w oczy zaglądała mu babcia Flaszka, czyli Stefa. Prawdziwa babcia Flaszka, trochę bardziej pomarszczona i szczerbata, w męskich ubraniach, bez swojej wirtualnej elegancji, ale z butelką w rękę.

– Miałeś widzenie?! – krzyknęła mu blisko ucha. – Mogą się nasilić w tym miejscu! Patron na pewno chce cię przywitać.

Spróbował wstać, ale doznał takich zawrotów głowy, że pacnął z powrotem na ziemię. Staruszka pomogła mu i za drugim razem udało się osiągnąć pion.

– Spokojnie, to lekkie zaburzenia neurologiczne. DJ-e tak mają. Pij. – Nie dała mu gorzały, tylko małą plastikową butelkę wody, a potem wyciągnęła z kurtki zawiniątko z kanapką. – Jesteś niedożywiony, musisz jeść, bo inaczej muzyka Patrona cię zabije. Ale babcie są od tego, żeby podtuczać wnuczki, prawda?

Kiwała się wesoło na piętach i parę razy pociągnęła ze swojej butelki, gdy jadł. Po kilku minutach, stojąc wreszcie pewnie na nogach, wydusił:

– Muzyka Patrona?

– Tak nazywamy wizje. Próbujemy go naprowadzać na różne tory porozumienia. Po to są koncerty.

Lwa nadal bolał łeb, a hałas wokół oszałamiał, jednak po posiłku mógł już to znieść i nawet lekko się uśmiechnął.

– DJ-e, tak?

– Odbierają przekaz Patrona. Nikt nie potrafi tego tak dobrze jak ty, ale coś tam ogarniają. Podobała mu się ta nazwa. Przyjrzał się babci Flaszce, przypomniawszy sobie o jej problemach zdrowotnych.

– Nie odleciała pani, kiedy się wylogowałem?

Machnęła lekceważąco ręką, podchodząc do wyjścia z wnęki, po czym wezwała go kolejnym gestem.

– Przegrałam sobie twoje sterowniki. Pobraliśmy ci krew. Właśnie badamy, o co chodzi. Mnie też już porządnie przebadali. Wiesz, mój alzheimer faktycznie jest trochę inny przez Patrona. To nie do końca neurodegradacja, zanik komórek, to raczej jakby puste miejsca w umyśle, zrobione pod nie wiadomo co. Kontakt z tobą buduje w nich nowe połączenia.

Lwa nie dziwiło, że choroba Alzheimera się zmieniła; Zgnilec wpływał na większość chorób. Głównie zmieniał ich naturę na kompletnie niepojętą. Wciąż od nowa uczył Ziemian jednego – że o niczym nie mają pojęcia. Że cała ich wiedza to iluzja ograniczona do krótkiego okresu istnienia na ich małej planecie. Ale że jego wpływ, Lwa Oleńko, jakoś „leczyl”? Ile jeszcze rewelacji będzie musiał znieść? Coś czuł, że to dopiero początek.

Chłopak zmrużył oczy przed światłem lamp i rozejrzał się po tunelu. Uwijało się w nim sporo ludzi, wokół rakiety najwięcej. Z odległej okolicy jej szczytu wyfrunął malowniczy snop iskier.

– Czemu w ogóle nie używa pani słowa Zgnilec?

– Mówmy sobie po imieniu, co? Chodź, pokażę ci dlaczego. Mamy jeszcze chwilę, zanim spotkasz się ze Złomiarką.

Tym razem dała mu gorzały.

– Nigdy nie pij na pusty żołądek! – pouczyła, wiodąc go pomiędzy mieszkańcami Złomu ku rakiecie. – Nie powinienesz pić w twoim wieku, ale alkohol nasila wizje. Małe grzeszki...

– Inkarnacja mi się popsuje – stwierdził, niechętnie częstując się kolejną smakową wódką.

Myślał, że babcia zacznie mówić o tym, jak to awatary nie są im już potrzebne, i zrukuje wszystko, czym żył od urodzenia, ale powiedziała tylko:

– Szczerze w to wątpię, chłopcze! Teraz dobrym sprawowaniem jest to, które uczy cię Patrona. Poza tym myślę, że Serengeti niedługo będzie żył sobie, a ty sobie. Nie, nie pytaj mnie o to! Zapytasz Patrona, jak już będziesz umiał. Nie mam pojęcia, co robi, mogę jedynie dumać. A myślę, że to pragmatyczna istota, która, skoro już namnożyliśmy bytów, to się ich nie pozbędzie. On się nie pozbywa żadnych istnień.

Co ona chrzani? Przecież zeżarł dwie planety! – pomyślał Lew, ale się nie odezwał; nie miał siły.

Doszli do ogona rakiety. Zdecydowanie była największą rzeczą, jaką Lew w życiu widział. Mogła mieć średnicę nawet stu metrów. Brzydka, brudna i pordzewiała budziła jednak respekt, bo nie wiedzieć czemu Lew był przekonany, że prace nad nią bliskie są już zakończenia. Wokół stało mnóstwo rusztowań, a ludzie o spracowanych rękach, lecz radosnych twarzach nieustannie ulepszali prom kosmiczny.

Przystanęli, żeby przepuścić rozklekotaną ciężarówkę – wtedy Lwa coś tknęło. Jakby błysk przeniknął jego ciało, które niemal samoistnie odskoczyło od miejsca, gdzie stał. Z góry, z jednego z rusztowań, spadła wielka rura, która sekundę wcześniej wylądowałaby na głowie chłopaka.

Stefie aż zaparło dech. Przekłęła pod nosem całą wiązaną, a potem złapała rurę i zaczęła walić nią w rusztowanie i wygrażać inżynierom.

Przejście wzdłuż całej rakiety, z przystankami pomiędzy uwijającymi się złomiarzami, czy też, jak się ponoć nazywali ci ludzie, gangiem Złomiarki, zajęło im dobre piętnaście minut. Lew zdążył już lekko się opić, przez co przestał zwracać uwagę na wszechobecne zapachy dymu, potu i alkoholu.

Zostanę pijakiem w wieku czternastu lat, adoptowanym przez babcię Flaszkę i wiedźmę Złomiarkę. Dzięki, mamo. Możesz być dumna ze swoich metod wychowawczych.

Było chłodno, ale Lew odczuwał zimno jakoś inaczej, nie przez boczną kamizelkę, którą dostał, ale jakby od środka. Umrę tu, przemknęło mu raptem przez głowę i obrzydliwy dreszcz spełził mu po kręgosłupie. Postanowił przestać myśleć o takich rzeczach. Myślenie nie zmieniało jego położenia.

– Gdzie Kitek?

– U Złomiarki – odparła Stefa. – Masz u niej naszykowaną kwaterę, ale ona nie sypia w swoim domu z obcymi, dlatego przespałeś się w gościnnym.

W normalnych warunkach pewnie parsknąłby śmiechem, ale połączenie między jego mózgiem a resztą ciała nadal szwankowało. *Udar, epilepsja od światła, alkoholizm...*

Przestań, mazgaju.

Byli już przy nosie, gdzie najwyraźniej odbywało się najwięcej pracy. Zgromadziło się tu kilkadziesiąt osób, huk zdawał się nie do zniesienia, a Lew i babcia Flaszka weszli pod zadaszenie z grubej blachy, żeby nic z góry ich nie spaliło ani nie uszkodziło. Przez dziury chłopak obserwował imponujące przednie podwozie i puste miejsca na ogniwa paliwowe.

Wreszcie doszli do końca placu budowy. Widniała tu wielka ściana kończąca niby-tunel, jednak ziała w niej dziura, akurat takiej wielkości, że można by wsunąć tam rakieta. Otwór tonął w mroku. Bił od niego chłód i coś jeszcze... Coś, co sprawiło, że Lew nagle przystanął. Gdy Stefa się zorientowała, że nowy wnuczek za nią nie idzie, wróciła się, złapała go za ramię i bezceremonialnie zawlekła do miejsca, które kojarzyło się chłopakowi z rozciętym brzuchem jakiegoś przedwiecznego stwora.

– Jesteś zaniedbany i, wybac mi, chłopcze, ale trochę rozpieszczony. Będziesz musiał przejść szybki kurs przetrwania. Tu jest takie powiedzenie: „Oka nie wyjmiesz”. Nie chcemy cię zmieniać, dzieciaku, chcemy tylko, żebyś przeżył to, co musi się stać.

Lew miał już dość tych wszystkich mądrości. Babcia Flaszka zaciągnęła go do dziury, gdzie panowała przedziwna cisza; dźwięki dobiegające zza pleców zdawały się wchłaniane przez oślizgłe, mokre ściany kolejnego tunelu, tym razem pionowego. Przypominał szyb dla mecha, jak prosto z anime. Tak, to musiał być kanał, którym wyciągną rakieta na powierzchnię. Chłopak spojrział w dół, oczekując mechanizmów w rodzaju megawindy albo zapalników, ale zobaczył tylko mętną, stojącą wodę. To od niej napływało kłuszące zimno. Lew hknął jeszcze z butelki i zapiął kamizelkę.

– Jak chcecie ją tu umieścić? I wysłać w górę?

– Umiesz pływać? – zagadnęła Stefa, ignorując jego pytania. Stanęła na samej krawędzi tunelu i gapiła się na podziemne bajoro.

– Umiem. W Inkarnii.

– Pokaż. No, poruszaj ramionami, przynajmniej będzie ci ciepłej.

Czując się idiotycznie, zaprezentował żabkę i kraula, chociaż przepelniała go chęć ucieczki, jakby znalazł się w miejscu, gdzie zewsząd czyha na niego zagrożenie. Babcia Flaszka obdarzyła jego wyczyny aplauzem. Wyciągnęła z kieszeni latarkę i poświeciła na błyszczące ściany. Lew podszedł do niej i wytyżył wzrok.

Cały ten pionowy tunel pokryty był czarną masą, złożoną z nieokreślonych drobinek czy insektów kołujących się bezgłośnie. Wydawało się, że olbrzymi, wręcz niewyobrażalny rój robactwa zamieszkał na tych ścianach. Światło wydobywało z niego tęczowe refleksy.

– To Patron. Przyszedł tu schronić się przed koderem. Koder go drażni. Nie wiemy, czy mu szkodzi, ale chyba jest dla niego nieprzyjemny. Dlatego mamusia nie wypuszczała cię z domu, bo Patron pokryty koderem jest toksyczny. Koder jest dla sztucznych inteligencji, dla kolejnego etapu po człowieku, nie dla żywych, i Patron to rozumie. Tutaj nie jest toksyczny.

Zbliżyła się do ściany i wzięła trochę tego czegoś na rękę. Lew poszedł za nią, przerażony, oszołomiony i podniecony jednocześnie.

– Nie wnika w to, w co wnikać nie chce. A nas... nas Patron chce wynieść na orbitę. Złomiarka twierdzi, że dlatego się tutaj gromadzi. – Wyciągnęła do chłopaka dłoń pełną czarnej masy. – Nie wiemy na pewno. Może to nasze pobożne życzenia. Matka nauczyła cię wiary w Boga?

Lew opuszkami palców dotknął tego czegoś.

– Nie...

Czuł się dokładnie tak, jakby to były robaki, jakby wykonywał zadanie z głupich programów telewizyjnych, gdzie trzeba włożyć rękę między karaluchy. Ale to nie przypominało w dotyku glist czy innego świństwa. Gdyby... gdyby pył z ogniska ożył, gdyby weszły w te drobiny jakieś bardzo stare, niemożliwe do zrozumienia duchy, to chyba można by to do nich porównać. Coś tam przebywało, trochę sydkie, trochę lepkie, ruszające się żywo, nie wiedzieć czemu kojarzyło się ze zderzaniem atomów; momentami parzące, ale nie wiadomo, zimnem, ciepłem, elektrycznością, a może czymś zupełnie innym. Poruszało się na palcach Lwa, przywierało do nich niby, ale nie dotykało, a już na pewno nie wnikało. To nie chciało posilić się chłopakiem. Między nimi istniała jakaś bariera, która chyba przydałaby się światu.

– On czegoś od nas chce, ale nie tego samego, co od reszty – stwierdziła Stefa, patrząc na Lwa z uśmiechem. W realu była starsza, bardziej pomarszczona, ale nie widział w niej zużycia czy zmęczenia. Zarażała ekscytacją. Chłopak dotknął masy na ścianie całą dłonią, chłonąc zupełnie nowe doznanie. – Chce, żebyśmy stąd odlecieli rakieta. Nie umie pokazać nam wiele, ale jedno pokazuje szczególnie. Pokazuje, kogo mamy zabrać.

Nie musiała dalej wyjaśniać. Lew wiedział.

Ktoś nowy stanął za jego plecami. Właściwie to poczuł się jak w tej marsjańskiej wizji, gdy coś dołączyło do łazika, tyle że teraz znajdowało się za nim.

– Pan Oleńko. Wybacz chłodne powitanie, ale musisz przeżyć. Bez ciebie nie polecimy.

Nie zdążył się w pełni odwrócić, dostrzegł tylko jarzący się w ciemności kiel na jej szyi i błyszczące oczy, po czym Złomiarka szarpnęła Lwem i wrzuciła go do wody.



– „Jestem jak w tej kwarantannie, w której tkwili pierwsi kosmiczni eksploratorzy, wróciwszy z Księżyca. Neil, Buzz, Michael. Czuję się zawsze jak na Księżycu i jak tuż po powrocie na Ziemię. A przecież nigdy nie byłem w kosmosie. A jednak kosmos mam w głowie. Zobaczyłem coś, czego nie potrafię opisać. Ciągłe próbuję, ale wciąż nie wiem jak. Wiesz, o co chodzi, raport nadal jest nienapisany, rzeczy wciąż pozostają nienazwane, a ja... skądś wiem, że nie starczy mi życia, by odzyskać tajemnice z miejsca, gdzie we mnie przepadły. Nie wiem, skąd się tam wzięły, one po prostu tam są. Inna planeta”.

Tryb bunkra trwał już parę uciążliwych dni. Suri wpatrywała się z napięciem w ekran, na którym widniała Abigail otoczona stosami kostek z danymi, pomagająca jej zająć czymś prześladowujące Meridiankę niesforne myśli.

Marsjanie przechowywali dane poza chmurą. Z sieci usunęli wszystko. Jeśli chodzi o izolację, byli mistrzami. Abi wygrzebała w archiwum miasta raporty, które pobrał ktoś z dostępem do serwera, prawdopodobnie jej ojciec. Potem wykasował wszelkie sieciowe ślady po tym manewrze.

– To wypowiedź Serafina Oleńko po tym, jak dotknął go Patron, tak?

– Ano. Srogi bal.

– Masz tam coś jeszcze?

Ktoś załomotał do drzwi kajuty. Dziewczyny zamarły, każda przed swoim ekranem. Suri poczuła gwałtowny skok tętna, wszystko stało się przeraźliwie wyraźne. Adrenalina i glukoza właśnie dostawały się do jej krwi. Musiała to sobie chwilę przeanalizować, by nie wpaść w panikę. Była bardzo wyczulona na wszelkie raptowne zmiany w swoim ciele. Wszystkie musiała rozumieć, by nie zwariować.

– Czekam na ciebie. Sprawdzisz sama – mruknęła Abigail.

– Będę tam. Będę tam, choćby nie wiem co.

Drżącą ręką połączyła się znów z czatem, który od kilku godzin prowadziła z imigrantami.

„Panel po lewej. Spróbuj 1777317”.

Włożyła na ramiona dwukrotnie przepakowywany plecak, powiedła rozbieganym wzrokiem po swoim milusim pokoiku, złapała w rękę tabletki z walerianą, jedną położyła na języku, a resztę wcisnęła do kieszeni włochatej, białej kamizelki. Czuła się jak wielki Yeti, który wreszcie ma szansę wyjść z jaskini i zmienić nieprzyjazną białą krainę, gdzie zdaje się niewidzialny, na kolorowe niziny, gdzie będzie odznaczał się jak neon. I było to absolutnie przerażające. Jednak myślenie o sobie w ten sposób pomagało. Potężne stworzenie, które tłumi w sobie cały potencjał, bo jest ledwie mitem, więźniem w okowach zimna odrzucenia. A nie mała, „zaburzona” dziewczynka, zapomniana przez wszystkich.

Ża dużo książek, za mało kontaktów z żywymi, podsumowała się w duchu. Chcąc nie chcąc, musiała być własną diagnostką.

Śluzę się otworzyła. Suri kurczowo zacisnęła dłonie na ramionach plecaka. Kogo wpuściła na statek? Kto spowodował, że od kilku minut słyszała strzały? Nieznośny, przenikliwy dźwięk oznaczający rzeczy, których nie chciała rozumieć, a jednak pojmowała je doskonale.

Nie było jej przykro. Niektórzy krzywdząco twierdzą, że ludzie w spektrum autyzmu są niezdolni do empatii, ale nie w tym rzecz. Suri po prostu czuła tak mocno, że odkleiła się przynajmniej dwie doby temu, odseparowała od swoich emocji w obronnym odruchu. Nie potrafiła rozróżnić majaku od rzeczywistości ani określić, czym jest jedno bądź drugie.

Stanął przed nią czarnoskóry, rosły mężczyzna; był dwukrotnie od niej wyższy i chyba czterokrotnie szerszy. Miał na sobie znoszony kombinezon moro. Łysa głaca zakrwawiona, w rękę karabin. Dziewczyna poczuła przemożną chęć wysikania się, chociaż przed chwilą jej się nie chciało. Czy tak działa prawdziwy strach? Z trudem to powstrzymała. Było już za późno na zgrywanie małej dziewczynki.

– Suri... Suri-san. To ja, Marcus.

Jego głos był głęboki i donośny, a sposób mówienia nie tak krzykliwy jak Japończyków. Wydawał się egzotyczny, nietypowy; na Meridian, w częściach wytyczonych dla innych nacji, żyło tylko kilkoro czarnoskórych, bo z powodu jakichś wad genetycznych nie dostawali się do programu; ojciec twierdził, że to rasistowskie bzdury.

– Potrzebuję jakiegokolwiek waszego statku. Musimy iść. Teraz albo nigdy, mała, bo tu skłińiesz jak przetwory w słoiku.

Ledwie poznany przez internet mężczyzna wiedział o niej więcej niż rodzice.

Wyszła za nim z kabiny, czując się jak we śnie. Świsnęły strzały. Spojrzała w stronę holu. Zobaczyła dwóch strażników, a także ojca i matkę.

Jej rodzice razem pierwszy raz od... nie pamiętała kiedy.

Wszyscy byli uzbrojeni.

– Ja nie mogę. No nie mogę – wyszeptwała, stając bezradnie w korytarzu i patrząc na rodziców. Oni nie patrzyli na nią, tylko na jej nowego przyjaciela. Znowu strasznie chciało jej się sikać.

– Suri-san, wybac mi, proszę! – Z głośników rozległ się głos, którego Meridianka nie rozpoznała, trudno jej było nawet orzec, czy jest ludzki, czy mechaniczny. – Nie mogę wyłączyć funkcji obronnych, nie panuję już nad androidami, uciekaj! Uciekaj i przeżyj!

– Co... Kto...? – Nie miała pojęcia, kto do niej mówi. Spojrzała błagalnie na rodziców. – Mamo?!

– Myszko, to nie są twoi rodzice – rzucił Marcus. – Przykro mi, że muszę strzelać, ale bronią stacji z automatu, tej funkcji nikt nie wyłączy.

Przez jego twarz przeszedł krótki spazm, po czym podniósł broń i wycelował w Meridian, którzy opuścili broń, gdy na korytarzu pojawiła się jedna z nich. Imigrant oddał cztery strzały. Żaden nie był śmiertelny, choć wszystkie trafiły w głowy nacierających.

Głowy, z których wypadły kable. Wyciekł biały płyn. Głowy przytwierdzone do ciał, które zaczęły nienaturalnie dygotać i niemożliwie się skręcać.

– Nie...

– Statki, Suri-san.

Suri zaplątała się we własne nogi, a w głowie myśli się potykały, ledwie rozpoczęły bieg. Światła zamigotały, coś okropnie zazgrzytało, a na ekranach wykwitła ostatnia z puszcanych przed zabunkrowaniem retransmisji ze starego świata – msza któregoś z ojców świętych na placu św. Piotra.

– Bóg jest miłością – powiedział zapomniany martwy papież, a imigrant znowu kogoś, a raczej coś zastrzelił.

Suri była już znacznie głębiej w odklejeniu, zamroziła się, przeszła w taki stan, w jaki wpadają na przykład konie, gdy nie mogą uwolnić się od okrutnego jeźdźcy. Wpływ mobilizacji jej organizmu się ulotnił, tryb walka–ucieczka przepadł, znalazła się w dole, w wyczekiwaniu. Poruszała się na autopilocie, we śnie, w pustce w głowie.

Jakoś dotarli do hangarów. Na szczęście lub nieszczęście po ostatnich lotach naukowców zostało kilka niezadokowanych statków badawczych. Suri czasem podróżowała takimi z ojcem-nieojcem. Miała kartę aktywacyjną; matka-niematka dała jej swoją zapasową, gdyby trzeba było nagle uciekać.

Po co robot się o mnie troszczył? – pomyślała półprzytomnie, brnąc z trudem w kierunku najbliższego statku, jakby hangar wypełniała woda. Marcus jej nie poganiał, bo ostrzeliwał

Meridian. Nie odwracała się do niego, ale co chwilę słyszała, że wciąż tam jest, nie zniknął, to wszystko nie jest snem.

Kiedy zniknęli rodzice, a stały się roboty? Czy w ogóle kiedyś byli to rodzice?

Statek, aktywacja, drzwi, strzelanina, uszkodzone skrzydło, ale nie na tyle, by to przerwać. Marcus oberwał, krwawił na zieloną (kolor nadziei, ulubiony Meridian) tapicerkę. Suri czuła się tak, jakby jej ciało było egzozszkieletem, którym kieruje z pewnym zdumieniem i w oszołomieniu z jakiegoś nieokreślonego miejsca. Jakby załogowała się do wirtualu, w którym żył Lew, i nie mogła się wylogować.

Chciała wydobyć się spod mgły otumanienia, by sterować, ale Marcus zdołał wgrać swoje sterowniki i przejąć kontrolę. Wszystko w kokpicie paliło się na czerwono, mrugało i wyło, ale statek leciał przez czerni w kierunku Marsa, opuszczał Meridian, jedyny *dom*, jaki Suri kiedykolwiek miała.

– Dobrze. Dobrze, szlag. Wyjdziemy z zasięgu stacji i spotkamy się z moim statkiem. Zabierzemy dwie osoby i lecimy na Marsa.

Dziewczyna odrobinę doszła do siebie. Może to przez niesamowitą przestrzeń wokół maleńkiego pojazdu.

– Wgraj to swoje maskowanie od razu – wyrzuciła z siebie nieswoim głosem. – Marsjanie pilnie obserwują niebo. Stację.

– Jeszcze siedem minut i program się załaduje. Przechwycimy dodatkowe ogniwa i wtedy znikniemy. – Wyszczrzył do niej wielkie zęby w uśmiechu, który zmienił się w grymas, bo próbował zatamować krwawienie zestawem ratunkowym z plecaka Suri.

– Naprawdę wiecie, jak sprowadzić wszystkich na Marsa? – wymamrotała, zmuszając się do prowadzenia rozmowy, by nie osunąć się znów głębiej w toń oszołomienia.

– Tak, musimy tylko dostać się na tę cholerną planetę.

– Jak chcecie ich przekonać?

– Jestem z L... NASA, Suri. Wciąż mamy kilka urządzeń na Marsie, których koloniści nie znaleźli. Może mniejsza od Ziemi, ale to i tak wielka planeta. Wbrew temu, co mówią... nie mają tam styczności z prawdziwą świadomością Patrona. To, co napotkali, to nie są cząstki jego umysłu, tylko produkty uboczne, jak wylinki, które mogą być toksyczne. Zostało coś... zobaczysz, Suri, zobaczysz, pokażemy ci wszystko. Została tylko jedna rzecz nasyciona Patronem, ale to nie on. To to, co go przebudziło i ściągnęło na Ziemię. To nam pomoże z kolonistami. Mamy sprzęt na naszym statku...

Zbliżali się do imigranckiego krążownika. Dymił, trząsł się, Suri widziała nawet dwie dziury w kadłubie.

– Czemu go nie zakamuflowaliście, nie podeszliście po cichu?

– Jesteście kompletnie odcięci. Musieliśmy zrobić hałas. Mieliśmy nadzieję, że wobec milczenia Marsa raban będzie lepszy niż podchody. Kogoś sprowokuje.

Suri poczuła się wykorzystana, zawstydzona, choć przecież jeszcze nic takiego się nie stało – Marcus rzeczywiście był z NASA, istniał w bazie stacji. To, co mówił, zgadzało się z faktem zarejestrowania przez Meridian toksyczności Marsa bez rozpoznania źródła.

Mieszkańcy stacji nie podali tej informacji na Ziemię. Nie rozumieli natury toksyczności ani jej skutków, uznali więc ją za błąd pomiarów. Ojciec mówił o tym: „głos, którego nie słycać”.

Nic takiego jeszcze się nie stało, tak, a jednak stało się wszystko. I tak Suri stała się sierotą, dezerterką i złodziejką, a może i morderczynią, wpuściła przecież imigrantów na stację. Ktoś tam MUSIAŁ być żywy, prawdziwy. Kto przemówił do niej przez głośnik? Nie miała pojęcia, czy kiedykolwiek jeszcze rozwikła tę zagadkę.

– Moglibyście się teraz zamaskować – brnęła przez rozmowę. – Meridian sięga tutaj działami. Muszą przeprogramować system bojowy, żeby móc strzelać w nas, ale w ten twój krążownik mogą walić non stop.

– Oszczędzamy ogniwa na maskowanie tego statku.

– Ten Badacz ma wystarczająco mocy.

– Nie, kiedy weźmiemy szczególnego pasażera.

– Co to znaczy?

– Patrz, kapsuła już leci!

Rzeczywiście zmierzała ku nim kapsuła ratownicza z kontenerem na zaczepie, dziewczyna widziała to na radarze. Krążownik próbował się oddalić, ściągając na siebie uwagę, i co chwilę świstały w jego kierunku celne pociski, a Badacz i kapsuła pozostawały w bezpiecznej strefie. Czerń kosmosu rozświetlały dziwne, rozlane, bezgłośnie wybuchy, ciągnące się za statkiem imigrantów. Mars, zajmujący połowę krajobrazu, jawił się Suri nagle czymś niepojętym i wrogim, ale teraz każde miejsce we Wszechświecie takie się zdawało. Nawet wewnątrz jej głowy, jakby wypełnione mnóstwem poprzyklejanych gum do żucia.

Przejęli podróżników i bagaż. Sprzęt świrował, a po tym zbzikował do reszty, jednak nadal lecieli. Włączyli maskowanie, tak że stali się niewidzialni dla obserwatorów z Marsa; zmieniali tor biegu promieni światła, by nie odbiły się od powierzchni statku, zdradzając jego pozycję. Marcus twierdził, że zmylił również radary i owszem, pierwszą granicę orbity Czerwonej Planety pokonali bez przeszkód.

Suri czekała w bolesnym napięciu na pojawienie się w kabinie dodatkowych pasażerów.

Nie potrafiła przestać przywoływać obrazu matki i ojca, kabli, spazmów sztucznych ciał. Przecież te ciała były ciepłe, zdawały się żywe, może rodzice byli trochę oschli, może nie dbali o nią od jakiegoś czasu niemal wcale, ale czasem...

Do kokpitu wgramoliły się dwie kobiety. Jedna miała na sobie eleganckie spodnie w kant, normalnie jakby ledwo co je wyprasowała; pod marynarką widniała biała koszulka z napisem NASA. Natomiast druga...

– Marcus – powiedziała lodowatym tonem Suri, czując, jak kark jej sztywnieje, mięśnie tężeją, a pusty żołądek boleśnie się kurczy. – To jest wiedźma. Przecież nas zarazi w tej klitce. Przecież wy na pewno jesteście za...

– A wyglądamy? Jest nam potrzebna. Nie zaraziła nas.

– Przecież Zgnilec nie był zainteresowany wysyłaniem ich w kosmos...

– Suri, omówimy wszystko, jak szczęśliwie wylądujemy, dobrze?

– JAKIM cudem wylądujemy? – upierała się Meridianka. – Wiem od kolonistów, że wokół Marsa istnieje pole ochronne, które ma nie pozwolić ziemskiemu Patronowi na powrót.

Przecież sam wiesz, że oni wierzą w bzdury, że na Marsie tkwi czysta dusza, a na Ziemi nieczyste ciało...

– Inżynier Orwell – przedstawiła się kobieta z NASA, sadzając wiedźmę na podłodze. – A ona miała kiedyś na imię Jesamin.

– Zanim jej imię zjadł Zgnilec – mruknęła Suri.

Była całkowicie przeładowana doznaniem i informacjami. Siedziała w fotelu pilotażowym bezwładnie jak kukła i podejrzewała się o szok. Miała ochotę natychmiast zasnąć, ale jednocześnie obecność wiedźmy elektryzowała.

– Nie mamy pewności, czy pokonamy pole antypatronowe. Zrobiliśmy wszystko, co możliwe, możesz mi wierzyć. Albo my się przedrzemy, albo nikt.

– Niby co zrobiliście? – Suri musiała mocno się wysilić, by nie bełkotać i w ogóle otwierać usta. Była tragicznie przebodźcowana, osuwała się w siebie.

– Patron wiecznie wizualizował nam lwa – wypaliła inżynierka, na co Meridianka zaczęła drzeć. – Ostatnio jednak przestał być monotematyczny. Wiesz, on rysuje dla nas po chmurach. My to sobie oglądamy z Księżycyca. Namalował twoją stację i czerwoną różę.

Drżenie przeszło w dygot.

– Nie rozumiem...

– Twoje imię po japońsku oznacza chyba złodzieja, więc pewnie trudno by mu było przełożyć. Zinterpretował je więc po persku. – Orwell przepchnęła się ku niej i zajrzała w oczy jak kot. – Suri. Róża.

– Suri-ashi. Moje pierwsze słowo. Jedyne słowo, jakie wypowiedziałam na Ziemi. Dziadek był dżdudoką. Imię mam inne, ale nikt go nie używa.

– Skomplikowane. – Orwell machnęła ręką, zbywając szczegóły. – Na szczęście potem namalował twoją twarz, a tę mamy w bazie. Potrzebowaliśmy więc waszego statku, bo tylko one nie wywołują alarmu marsjańskich sił powietrznych, i ciebie. Dlatego my dobijaliśmy się do was. Czemu ty postanowiłaś dobijać się do nas? Patron coś ci przekazał?

Pokręciła głową. Inżynierka wyglądała na rozczarowaną. Suri poczuła się, jakby nie zdała jakiegoś testu.

– Dlaczego ja? – zapytała, całkiem zbita z tropu. O ile przetrwała jakoś, że jej przyjacieli jest poszukiwanym przez NASA „wybrańcem”, tak tego było już za dużo. – Co to znaczy?

– Patron widzi czas niepunktowo – oznajmił łagodnie Marcus, kładąc wielką dłoń na jej ramieniu. – W jego perspektywie przyszłość może kształtować przeszłość, nie ogranicza go jeden kierunek patrzenia tak jak nas. Zobaczył, że w przyszłości znajdujesz się na Marsie, tam, gdzie potrzebuje, więc nam to przekazał.

– To mocno pochrzanione – niemal szepnęła.

– Jak się nad tym zastanowić, to wcale nie.

Pokiwała bez przekonania głową, przypominając sobie stary film o badaczce rozkodowującej bezczasowy język obcych. Lubiła wygrzebywać z bazy filmy i seriale, w których ludzie usiłują pojąć istoty pozaziemskie. Pewnie chodziło o to, że sama ma się za kosmitkę względem reszty. A teraz proszę, kosmiczny pasożyt wizualizuje jej twarz... Właśnie jej?!

Czy to oni kompletnie zwariowali, czy ja?

Lecieli dalej z Meridianką odciętą od rzeczywistości; Orwell mówiła cicho do Marcusa, a choć dziewczyna, mimo alarmów płynących z kokpitu, mogłaby wsłuchać się w większość słów (i w zaistniałych okolicznościach, zostawszy z trójką obcych dorosłych, powinna), lecz postanowiła się wreszcie poddać i zupełnie wyłączyć. Bała się, że inaczej zeświruje. To był jej największy życiowy lęk – że neurotypowy świat w końcu złamie jej kruchą psychikę, wypaczy. Po prostu patrzyła więc na Marsa, który powoli zagarniał całą przestrzeń, bez myśli, odcinając się od emocji, jedynie istniejąc.

W końcu rozszpiewał się nowy alarm.

– Coś dziwnego jest w atmosferze – mruknęła pustym głosem Suri. – Może uszkodzić statek.

– Nie robiliście badań?

– Nasze statki nie zbliżyły się tak bardzo od lat.

Badaczem zatrzęsło, coś z głębi, z kierunku, gdzie ulokowano ogniwa, zazgrzytało nieznośnie, po czym maskowanie zostało zdjęte.

– Jesteśmy blisko, podchodzimy z daleka od bazy wojskowej... Może nie...

Zawył radar.

– A jednak. Mają system zdalny – skwitowała Orwell.

Było tylko jedno wyjście z sytuacji, a Suri widziała to kilka razy na ćwiczeniach na konsolach. Monstrualnym wysiłkiem, czując łyż na policzkach, przełamała stupor. Musiała uciekać torpedzie tak długo, jak to możliwe, i najlepiej było rozbić ją o powierzchnię Marsa. Prawdopodobieństwo, że nie zdoła tego zrobić albo rozbije Badacza, istniało... no cóż, wielkie.

Nie liczyło się już to, jak znalazła się w tej absurdalnej sytuacji, z wiedźmą i pociskiem marsjańskim na karku. Odrzuciła od siebie pielęgnowaną w niej świadomość, że z jej mózgiem coś jest nie tak. Nie lubiła, gdy rzeczy działy się gwałtownie, spontanicznie, ale to nie znaczy, że nie potrafiła sobie z nimi poradzić – zwłaszcza teraz, gdy znała doskonale system statku. Tryb walki zatriumfował nad bezruchem. Włączyła dopalacz, wgniotło ich w fotele, zgniła babą walnęło o sprzęt z tyłu, a Czerwona Planeta, o której Suri marzyła i śniła całe życie, zaczęła pędzić ku nim w zastraszającym tempie – lecz i tak wolniej niż nadlatująca z lewej torpeda.

Marcus położył Japonce swoją wielką dłoń na ramieniu i zacisnął, próbując dodać jej otuchy. Ku zdziwieniu Suri, pomogło. Nie ogarnęła ją do reszty panika, gdy patrzyła na powierzchnię Marsa i pocisk.

– Ile wytrzyma ten statek?! – zawołała Orwell. – Wchodzenie w atmosferę Marsa...

– Wytrzyma dwa tysiące stopni! – rzuciła Meridianka.

– Rozbijemy się przy tej prędkości, atmosfera jest za rzadka, a ciąg wsteczny nie...

Suri spróbowała rozciągnąć nad wleczonym za sobą bagażem tarczę; udało się tylko częściowo, przy tej prędkości drgania powierzchni uniemożliwiały pełne rozwinięcie zasłony. Leciąca ku Wielkiemu Kanionowi; chciała rąbnąć torpedą o krawędź i spróbować

wyhamować pojazd, nim stoczą się na masakrycznie głębokie dno. To była ich jedyna szansa. Torpedę musiała zatrzymać na krawędzi krateru.

Orwell omiotła wzrokiem pulpity i zamilkła. Zrozumiała zamiary Suri. Wokół statku zaczęło się spalanie; dziewczyna miała wrażenie, że tkwią w meteorycie, który właśnie kaleczy i zapala atmosferę czwartej planety od Słońca. Ogień wokół nich był błękitny, przesłonił raketę, którą teraz pokazywał jedynie radar. Pilotka czuła nieznośny ucisk w klatce i krtani, wielka dziura w planecie była coraz bliżej, a statek spadał z nieba niby gwiazda. Suri wiedziała, że jeśli przeżyje, nigdy tego nie zapomni; jakby cięła świat rozgrzanym nożem za to, że wykluczył ją poza swe granice.

– Przypnijcie wiedźmę pasami, bo nie przeżyje! – warknęła. Była tak nabuzowana, tak żądna powodzenia tego, co robi, że chciała dowieźć na miejsce wszystko i wszystkich.

Nie patrzyła na szamotaninę z tyłu, wpatrywała się w powierzchnię planety, która wyłoniła się nagle przed nią w pełnej krasie, pomarańczowo-fioletowa, z nitkami zieleni i błękitu, niepojęta i upragniona. Coraz bliżej rozwierał swoją ciemną paszczę kanion, Suri miała już wszystkie komendy wpisane, nic nie dało się zrobić, nie można było lepiej wycelować, torpeda, gdyby miała język, mogłaby już liźnąć ich dymiący bagaż.

Pilotka wiedziała, że to nie będzie lekkie uderzenie. Rąbną w Marsa jak pięścią w nos. Większość programów kolizyjnych była sprawna, więc mieli szansę przetrwać, o ile tylko wyliczenia nie okażą się błędne i siła uderzenia nie będzie większa od wytrzymałości maszyny. A torpeda uderzy dokładnie tam, gdzie wskazywały liczniki. Suri niemal od początku żyła dzięki maszynom. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłyby zawieść. I owszem, nie zawiódł ani statek... ani torpeda, która nagle, już tylko setkę kilometrów nad ziemią, przyspieszyła.

Zamiast jasności wydawało się, że zza rakiety nadchodzi gęsty mrok. Suri niemal nie poczuła zaczepienia o krawędź kanionu. Wszystko stało się czarne i ciche, a po chwili dziewczyna słyszała tylko jeden nieprawdopodobny dźwięk.

Mruczenie. Planeta mruczała w świadomości Suri jak olbrzymi kot.

* Noob (n00b) – w slangu graczy to nowicjusz, osoba niedoświadczona, kiepsko sobie radząca, przeciwieństwo pro.

** Przerobione tłumaczenie piosenki Amy Winehouse, *Rehab*.



Rozdział szósty

Duch w maszynie, obcy w łonie

#wspomnieniazbrucha

#plemięNASA

#pukpukwysięgnikiem

#randkazezłomem

Lew płynął, utrzymywał się na powierzchni i przez krótką chwilę wydawało się, że nie jest niczym zagrożony. Ot, jakaś popaprana inicjacja popapranych autorytetów mamy. Ale już po

kilkunastu sekundach kompletnie opadł z sił, jakby ta chłodna, ciemna woda wysysała z niego energię. Nad sobą, wysoko na brzegu, widział dwoje świecących oczu; chciał coś powiedzieć, ale z jego gardła nie wydobyły się żadne dźwięki. Wkrótce też tafla zamknęła się nad nim, a wtedy otwieranie ust stało się niewskazane. Lew jednak, jakby wbrew sobie, wziął wdech. Nabrał cieczy w płuca, a uczucie nie było przykre, tylko... dobre, przyjemne. Woda przestała być zimna, zdawała się ciepła i pełna tlenu. Chłopak się skulił, zwinął niczym embrion, a strach i zmęczenie uleciały z niego, jakby długo i rozkosznie spał.

To jak... jak... Przecież w szkole mówili, że nie mamy dostępu do takich wspomnień... nie z wnętrza matki...

A jednak Lew czuł się dokładnie tak, jakby znów był w Miłce, niegotowy jeszcze, bezpieczny kształt wśród miękkości, słyszący przedziwne dźwięki wnętrza organizmu, pierwotne, kojące melodie. Ale coś było nie tak... Coś jakby zaburzało porządek tego wspomnienia albo może naturę samego zjawiska.

Patron. Razem z Lwem w brzuchu mamy było to kosmiczne przekleństwo. Ciemniejszy, chłodniejszy punkt wśród życiodajnych wód. Niegroźny, ale inny.

Obcy. Obcy nie tylko Lwu i Miłce, ale życiu w znanej tutaj formie.

Czy on nie mógłby być choć odrobinę zrozumiały? Czy nie mógłby mieć głosu?

Nawet jednak bez głosu, tam, w zamkniętej przestrzeni matczynego łona, choć Patron nie artykułował niczego, Lew go pojął. Jakby informacje od niego wlewały się przez pępowinę niczym pokarm.

Zobaczył ojca. Zgnilcowi udało się utrzymać go przy życiu tak długo, by spłodził syna. To jedyny taki przypadek. Lew widział siebie w macicy, embrion wypełniony czarnymi drobinami. Patron pobierał informacje od Miłki. Dowiedział się, że Lew nie przetrwa, że go zabiją, jeśli odkryją skażenie.

Więc się w nim ukrył. Nie był aktywny. Aż Lew znalazł się poza systemem chroniącym go przed Zgnilcem. Tutaj, w bebeczach starych podziemnych baz, przy reanimowanym trupie rakiety mającej poprunąć na zgniłych skrzydłach. Tutaj Patron chciał wrócić na miejsce, które czternaście lat temu udało mu się dla siebie wyrwać.

Wejść w Lwa Oleńko.

Chłopak nie wiedział, czy to wspomnienia, wizje, iluzja, i to jedyne, czego nie rozumiał. Poza tym wszystko w tej ciemności było jasne. Wokół niego pływały odpowiedzi na niemal wszystkie pytania. Przenikały go. Starał się nie myśleć o tym, że to Patron się z nim miesza, że ich cząstki, atomy, komórki stają się czymś...

Dlaczego Patron nawiedza kobiety? Bo są bezpiecznym środkiem transportu przez krzywdzący Zgnilca koder. Są jego *matkami*, ale ich zamknięta, hermetyczna natura, którą wykorzystuje niczym pasożyt udający dziecko w ich brzuchu, sięga tak daleko, że nie może się poprzez nie porozumieć. Jego komunikacja jest ograniczona tak samo jak płodu.

Dlaczego mężczyźni giną? Nie istnieje w nich taka bariera jak we wnętrzu kobiet. Chroniąca przed światem. Mężczyźni są przesiąknięci koderem i tak toksyczni dla Zgnilca, że ten ich zabija. Tata Lwa pracował w laboratorium, często był odkażany... Patronowi udało się go jakiś czas nie wykończyć.

Dlaczego...

Chłopak nagle został wyrwany ze stanu złączenia świadomości z Patronem. Bódźce docierały do niego powoli, podobnie jak ból całej powierzchni ciała – jakby wpadł do wrzątku, nie do chłodnej wody podziemnego bajora.

Leżał skulony na mokrym betonie, obok klęczała ekskwiedźma. Niby nic się nie zmieniło, Lew był sobą i postrzegał tak samo, a jednak coś w sobie miał. Coś, co zdawało się jednocześnie czymś obcym i czymś znajomym.

Dziwaczne. Mało – zupełnie pochrzanione.

– Jest w tobie?

Krótkie, ciche pytanie, które podsumowywało i potwierdzało wszystko.

– Tak.

Złomiarka pachniała ziemią. Lew wiedział, że Patron ją opuścił, żeby go znalazła i przejęła, ale bez Zgnilca umierała, więc albo przejmie ją znowu, albo ona umrze. Jej wola.

– Dziecko Patrona – szepnęła i pogładziła go po głowie kościstą ręką. – Kto by pomyślał, co? Jak się czujesz?

Chłopak usiadł i przyjął od Złomiarki butelkę wody.

– W porządku. A czy to wpłynie też na moją inkarnację? – Od razu zaczął martwić się o swojego awatara, bo przecież przez dekadę Serengeti był dla niego bardziej realny i przydatniejszy niż fizyczne ciało. – Na Marsie nie ma Inkarnii, ale...

Ekswiedźma uśmiechnęła się, pokręciła głową i usiadła obok.

– Jesteście bardzo podobni do przodków – orzekła. – Wy, młodzień.

– Moja mama mówi, że to była banda idiotów – odparł Lew. – Rozwalili planetę. Bez Zgnilca też by się do niczego nie nadawała.

– No właśnie – zgodziła się cicho. – To, co macie, to dla was za mało. Chcecie więcej, dalej, inaczej. Myśmy po Zstąpieniu musieli wam zapewnić jakikolwiek byt, a wy możecie znowu być ludźmi. Znowu nas przekraczać. – Wstała. – Nie przestawaj martwić się o inkarnację. Wiesz, co to jest koder?

– Technologia...

– Która obnaża duszę. Twój awatar to kopia twojego ducha, duch 2.0 w maszynie. Zgnilca koder krzywdzi, bo Zgnilec nie ma ducha. Jest czymś innym.

– Nie widziałem w nim tej informacji.

– Zobacysz. Chodź. – Pomogła mu wstać. – Obejrzyj Lwiątko od środka.

– Obejrzę... co?

– Lwiątko z Cintry. Nasz prom.

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

W tamtej chwili w głowie kołatała mu tylko jedna myśl: *Jak ja się porozumiem z Suri?*

Nie było sposobu – znajdowali się zbyt głęboko pod ziemią i nazbyt zależało im na dyskrecji, by wychylać antenę z kryjówek niby głowę z piasku. Zamiast Suri i matki Lew miał więc teraz dwie inne towarzyszki: Finkę i babcię Flaszkę, z którymi spędził kolejne kilka dni. Zwiedzał rakiety, troszczył się o kota, poznawał ludzi zafascynowanych jego osobą, ale na szczęście pozostawiających mu przestrzeń (Lew zauważył, że to, co nosił teraz w sobie,

trzyma innych na pewien dystans), uczestniczył w koncertach, zażerał się świeżym chlebem (zasługa piekarza z maszynką do wypieków), ale przede wszystkim skupiony był na dwóch rzeczach. Subtelnych, jednak nabierających tempa zmianach w sobie, w ciele i umyśle, które na razie trudno byłoby mu określić, i opowieściach o NASA oraz ich dziwnych kontaktach z Patronem. Dla wtajemniczonych Narodowa Agencja Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej zmieniła nazwę. Chłopak poczuł się mocno zażenowany, gdy ją usłyszał. LION. To było pierwsze, co Patron „narysował” im na chmurach: wielki lwi łeb.

Złomiarka należała do LION, a zgromadzeni wokół niej ludzie mieli uczestniczyć w pierwszej oficjalnej misji przesiedleńczej pod nowym szyldem. Ekskwiedzma twierdziła, że Patron uznaje te nieco ponad trzysta osób za coś w rodzaju plemienia. Podobno już wkrótce zmieni się wszystko, co dotąd myślano o wewnętrznym podziale gatunku ludzkiego. Rasy nie będą już miały żadnego znaczenia, podobnie jak narodowości, a liczyć zaczną się plemiona. Przywódczyni zgromadziła ludzi najróżniejszych cech i profesji, zdawałoby się nieco bezwładną, lecz doskonale współpracującą pod wpływem Patrona zgraję. Dziwaczne to było i trochę straszne, przenieść się nagle z wirtualnej społeczności przypisującej Zgnilcowi wszelkie zło do realnej grupy jego pasjonatów, właściwie... padawanów. Tyle że Lew miał teraz Patrona w sobie i jego natura powoli się przed nim odkrywała.

Tak złożonym, dostarczonym na różnych poziomach percepcji informacjom Lwu było znacznie trudniej sprostać niż na lekcjach, a jednak uznawał je za sto razy ciekawsze niż stare ziemskie dzieje i wykłady o Marsie. Zauważył, że społeczność, w której się znalazł, postrzega czas inaczej, niż przyjęto. Sam czuł też w sobie wpływ Patrona, który zdawał się rozciągać postrzeganie chłopaka. Jeszcze nie potrafił się w tym w pełni odnaleźć, ale zaczął rozumieć nawiedzające go przebliski i rozpoznawać, które pochodzą z konkretnej strony punktu czasu, w jakim tkwiła jego świadomość – tego już za nim czy dopiero przed nim.

Totalny odjazd, i to na żywo, bez Inkarnii, bez Serengetiego, którego pierwszy raz tak długo nie używał. Lew był oszołomiony tym wszystkim, ale wreszcie ŻYŁ NAPRAWDĘ, wyfrunął z kokonu jak motyl i doceniał nawet najbardziej pokręcone rzeczy. Finka zwykła kwitować jego nietypowy entuzjazm:

– Zestarzałeś się, gwiazdeczko, i zaraz zrobisz bum.

Józefina i Stefa były dalekimi krewnymi Złomiarki, pomagały jej od dawna, a do Dobrego Zoo w dniu otwarcia wysłali je zarówno Patron, poprzez sen, jak i Złomiarka. Lew powoli układał sobie dzieje całego życia, łączył kropki, dostrzegał wyłaniający się wzór i chociaż powinien czuć panikę, przepełniał go spokój. Wiedział, że to spokój pomoże sprostać wyzwaniom, których nie mógł uniknąć – jeśli zaprzeczyłby temu, co zapisane w czasie, rozwarstwiliby rzeczywistość. Pewne rzeczy musiały się stać, były wpisane w struny, w pajęczce sieci, na których rozpięty był Wszechświat; ich unikanie powodowało powstawanie okrężnych dróg, ale i tak trafiało się tam, gdzie to konieczne.

Tak, postrzeganie Lwa mutowało. Stał się główną postacią opowieści przypominającej ulubione filmy Miłki o superbohaterach. Patron mógł robić tu za pająka – jego ugryzienie właśnie mieszało chłopakowi we krwi i we łbie. Jakby przeniósł się do wczesnych wieków, gdy dzieci odbierano w pewnym momencie matkom i dawano do wychowania kompletnie

obcym dla nich ojcom. Lwa fascynował „ojciec”, przyjmował jego nauki, jednak to nie o nim najczęściej myślał.

Bo jedno się tylko nie zmieniło: jakoś nie potrafił do końca zwalczyć w sobie urazy wobec matki. Zwłaszcza że zataiła przed nim prawdę o losie ojca.

Babcia Flaszka powiedziała na to, gdy się jej zwierzył:

– Nie przejmuj się, słoneczko. Wszyscy trochę nienawidzimy zależności od swoich mam. Jesteśmy wolni dopiero, gdy odchodzą, i pępowina na dobre zostaje odcięta. Ale wtedy wcale nie jest lepiej.



Abigail źle spała. Najpierw miała wrażenie, że brakuje jej powietrza, potem, że zapada się w coś czarnego, przypominającego masę drobnych insektów. Obudziła się nienormalnie zmarznięta; noce na Marsie były coraz cieplejsze, a izolacja ich domu bardzo dobra, wyjęta z promu, a mimo to Abi szczykała zębami. Może nie powinna wczoraj oddawać krwi.

Co się dzieje? Znow mam anemię?

Dotarło do niej, że słyszy aparaturę matki, ale nie chrapanie ojca, a do tego w pobliżu rozbrzmiewa nieznaną, jednostajny dźwięk, jakby... jakby ktoś tłukł łaską w próg domu. Dziewczyna naciągnęła dwie bluzy, grube dżinsy i ocieplane buty, wzięła gazioka, bo dalej brakowało jej tchu, i zeszła na dół.

Dom zdawał się cichy i pusty; wciąż unosił się w nim delikatny zapach ciasta. Dziewczyna przypomniawszy sobie, że nie zjadła ani kawałka. Szkoda, kuzynka piekła tylko na specjalne okazje, składniki były na wagę złota. Tylko co to za specjalna okazja ominęła Abi?

Wzięła kilka głębokich wdechów z butli, podchodząc do drzwi frontowych. Tak, coś uderzało w próg. Niezbyt mocno, ale nieprzerwanie, natarczywie.

Abi nie czuła lęku, przyzwyczajona do życia w społeczeństwie o znikomym odsetku aktów przemocy czy włamań. A taka bezczelność jak włam do Wielebnego nawet nie przyszlaby nikomu do głowy. Zresztą wyglądało na to, że ktoś... puka. Ktoś bardzo niski? Na wózku? Abigail poczuła dreszcz ekscytacji, gdy powoli uchylała drzwi do wewnątrz.

Nie zobaczyła nikogo. Zdziwiona patrzyła przez chwilę na pustą ulicę, czując, jak jej serce wraca do normalnego rytmu. Kątem oka dostrzegła ruch przy schodach i aż podskoczyła.

Stał tam łązik. Stary marsjański łązik, którego doskonale znała. Z kaplicy. Choć teraz wyglądał inaczej.

– O... – To wydawało się tak absurdalne, że nie chciało jej przejść przez gardło. – Opportunity?

– Abi, Abi, Abi – dobiegło z salonu i dziewczyna znow podskoczyła.

Zapaliła się czerwona lampka, przy której mama lubiła kiedyś czytać, i Abigail zobaczyła, że w podwieszanym fotelu, skonstruowanym z kabli i rur z promu, wisiał ojciec.

Opportunity przestał tłuc w kamienny próg i podniósł wysięgniki, celując nimi w dziewczynę.

– Jakim cudem on...

– Przyszedł po ciebie – oznajmił tata. Narośl na jego twarzy wyglądała okropnie w tym świetle, jak rozsmarowany przeterminowany dżem. – Ja się nie nadaję, ale ty idź, Abi. Ty sprawdź.

– Co mam sprawdzić, tato?

– Czy żyją, czy umarli. Czy możesz stać się jego prorokinią. Idź za Opportunity, Abi.

Ostatnie zdanie wyszeptał, a łązik zaczął sunąć w tył, pozostawiając po sobie zagłębienia po gąsienicach pokryte dziwnym, szafirowym pyłem. Abi poczuła się jakoś nierealnie, gdy stanęła na śladach, a to coś przypominające brokat wzbilo się spod jej stóp niczym kurz. Była przyzwyczajona do poleceń ojca, bo dawały jej niezwykle przeżycia. Nie uciekła jeszcze w nieznane, bo właśnie tutaj odkrywali coś wielkiego.

Mieszkańcy Marsa modlili się do łązika, który właśnie gdzieś ją prowadził. Opportunity, który oficjalnie zakończył swoją misję w 2019 roku, po przejechaniu czterdziestu pięciu kilometrów, wbrew ziemskim opiniom jeździł jeszcze po Czerwonej Planecie dziesiątki lat. A Abigail miała niemal pewność, że wie, dokąd teraz zmierzał.

CZĘŚĆ DRUGA

KRÓLESTWO

Rany

Wylizuję i całuję

Znów naprawiam cię i czuję

Moje stado się rozbiega

Synu

Synu

Synu

Nie zaczynaj żadnej nowej wojny

Mikromusic, *Synu* (tekst: Natalia Grosiak)



Rozdział siódmy

Głosy niemych świadków

#czynastolatkiśniqokryzysiewieku?

#mybatteryisfull

#wlamplanetarny

#ohtarzezezłomu

Lew znalazł się w takim momencie w życiu, gdy miał wiele czasu na dogłębne przemyślenia. Pierwsze oszołomienie i ekscytacja przygasały, a nowe wyzwania jeszcze nie nadeszły. Tkwił pośrodku, w najczęstszej fazie ludzkiego trwania: oczekiwaniu. „Najpierw czekasz z niecierpliwością, aż dojrzejesz, a potem czekasz, żeby znowu poczuć dzikość młodości” – mawiała Miłka. Tyle że Lew czuł się wręcz przejrzały, jakby stał się dużo starszy nawet od własnej matki.

Sam mógłbym ją teraz pouczać, myślał z ponurą satysfakcją.

Wiedział, że to przez tkwiącego w nim Patrona, istotę względem gwiazd – młodą, wobec Lwa – prastarą. Nadal nie przywykł do jego przedziwnej obecności. Przez niekończące się w dziecinństwie seanse starych filmów z mamą nie mógł pozbyć się wizji aliena rozrastającego mu się w bebeczach. Pasażer przyglądał się jego myślom, ale nie reagował, za to regularnie wtłaczał w niego mnóstwo skomplikowanych danych, które Lew łąpał na razie głównie intuicyjnie. Żeby to wszystko jakoś poukładać, tłumaczył sobie, że z simsa – bo czym innym byli tkwiący w konsolach użytkownicy Inkarnii? – raptem przeszedł do ukochanej postaci Miłki, V, na którą nadpisuje się kosmiczny Johnny Silverhand. Czasem mu się wydawało, że jest jakimś gównianym połączeniem człowieka i programów, już nie homo sapiens, lecz jeszcze nie maszyna; coś, co utknęło w połowie drogi i postanowiło z niej zjechać, prosto w trzewia kosmosu.

No rewelacja.

Jak miał ogarnąć to, co się z nim działo w realu, mózgiem od urodzenia skorelowanym z maszyną? Uchroniony przez naukę, perinatologię dokładnie, od przedwczesnej śmierci w łonie, na którą skazywały go błędy w kodzie genetycznym (teraz mógł sądzić, że to wina Patrona), i tak już od początku należał do pokolenia dzieci, które nigdy wcześniej nie miały szans się urodzić. Przed XX wiekiem nie istniały narzędzia pozwalające im przetrwać mimo złożonych chorób czy nieprawidłowości rozwojowych. Pokolenie, z którym nie bardzo wiadomo, co zrobić. Trochę kaleki, trochę inny, ale jak każdy żywy wsadzony w konsolę i podpięty do sieci – protezy zamiast świata.

Kiedyś czytał o tym nowym pokoleniu, gdy dopiero pojawiło się na oddziałach neonatologii na przełomie drugiego i trzeciego tysiąclecia i spędzało w szpitalach mnóstwo czasu, badane, leczone, poznawane przez zafascynowanych lekarzy. Lew był już późniejszym nieodziekiem, mógł żyć bez wsparcia aparatury medycznej, ale to nie zmieniało faktu, że zawsze czuł się odmienicem i nie zniwelowała tego równająca wszystkich Inkarnia. Co miał niby myśleć o sobie teraz, z obudzonym Zgnilcem w ciele? Ewidentnie przeszedł z fazy zachłyśnięcia się nowym stanem w nieufność i bunt.

Suri powiedziała mu pewnie, że w takim razie nadaje się na Marsa, do kolonistów.

Ale podczas hibernacji nikogo realnego z nim nie było, więc Lew nawijał sam do siebie jak mentalny starzec, znużony istnieniem, choć nie odrósł jeszcze dobrze od ziemi. Znowu tkwił w „odlotowych symulacjach”, jak nazwała je Złomiarka, gdy wsadziła go do rakiety za czterdzieści miliardów dolarów, a potem w kapsułę do hibernacji. Nikt nie przeżyłby takiego lotu; Zgnilec miał zamiar wynieść ich na orbitę takimi sposobami i z taką prędkością, że ludzkie ciało uległoby przeciążeniu. Zastępował większość aparatury potrzebnej do wystrzelenia Lwiątką w kosmos: windę na powierzchnię i raketę nośną do oderwania od Ziemi. Okno startowe – odpowiednie ułożenia ciał niebieskich na niebie – nie stanowiło już niezbędnego wymogu. To on był napędem, nawigacją, a także śmiertelnym niebezpieczeństwem dla niesionych żywych i utrapieniem dla urządzeń, których mimo całej jego mocy potrzebowali. Złomiarka nazywała te jego tajemnicze zdolności „prędkością patronową” i wkrótce nawet w symulacji, zahibernowany, chłopak miał odczuć wywleczenie ich z dziury w planecie i start. Normalnie lot na Marsa, oddalonego o czterdzieści milionów

kilometrów od Ziemi, zajęłyby około dwustu dni. Oni mieli tam zawitać nawet nie w dwieście godzin.

Tak więc oczywiście, że na czas niechcianej podróży życia Lew wylądował w kolejnej symulacji. Sielanka pod ziemią jawiła się jak urlop od nieuchronnej, królującej nawet w życiu „wybrańców” ściemy.

Mama od lat bawiła się w robienie amatorskich symulacji z grupką miłośników programowania i chłopak znalazł się w jej ostatnim wytworze. Zanim wszystko się wgrało i zniknął ekran ładowania, miał chociaż nadzieję na coś ekstra: pozaziemskie lokacje zmapowane przez sondy, może nawet Europa, księżyc Jowisza? Wiedział od Miłki, że pracują nad symulacją pozwalającą nurkować w oceanie Europy, gdzie w dwa tysiące czterdziestym trzecim roku pierwszą podwodną sondą kosmiczną odkryto pozaziemskie życie.

I właściwie, gdy symulacja się załadowała, chłopak przez chwilę był przekonany, że surowy, żółto-brązowo-szary krajobraz wokół musi być obrazem innej planety. Zbocza pokryte dywanem kamieni, rdzawe wierzchołki i osnuty żółtymi wyziewami krater zdawały się wystarczająco nieziemskie. Ale potem w czacie wykwitła wiadomość od mamy:

„Tu poznałam twojego ojca”.

Wtedy Lew rozejrzał się uważniej i dotarło do niego, że olbrzymie wzniesienie, na którym stoi, to wulkan otoczony ogromem lazurowych wód.

Znalazł się nieopodal Sycylii, na wyspach boga wiatru. Był nieco rozczarowany, ale rozumiał i akceptował gest Miłki. Wędrował po starych wulkanach, wdychał siarkę z fumaroli i wyobrażał sobie, że jest na Marsie. Z Suri i Abigail. Tyle że nie szło mu najlepiej z wymyśleniem sobie Suri tuż obok; Suri realnej, Suri żywej, Suri, która już nie tkwiłaby w pół drogi, tylko jak on zmierzała do nowego domu, jedynego, jaki mogli mieć. Prawie wariował, gdy się zastanawiał, co się z nią dzieje. Współplemieńcy wiedzieli jedynie, że kontakt ze stacją urwał się tak samo jak z kolonistami. Lew cały chodził na myśl, że przyjaciółka nie wymyśliła żadnej drogi kontaktu, choć zawsze w końcu znajdowała sposób. W przyływach frustracji nawiedzały go wątpliwości, czy naprawdę byli z Meridianką blisko – jak można mieć przyjaciół, których nigdy się nie spotkało? I co Japonka powie o nim teraz, gdy zobaczy, co się z nim stało?

W symulacji czuł się odcięty od Patrona. „Patron nie ma duszy”, powiedziała Złomiarka. Czymkolwiek dusza jest. Ta nazwa to chyba tylko metafora, jakieś zbiorcze pojęcie na fragmenty człowieka, których nie wyjaśnia ludzka nauka. W każdym razie w wirtualu Patron powodował głównie błąd, więc teraz się w niego nie zagłębiał – lepiej nie wieszac oprogramowania skorelowanego z hibernacją.

Zdany sam na siebie Lew przeżywał załamanie. Miał nadzieję, że przez to wszystko psychicznie osiągnął najwyżej wiek średni; przemawiał za tym fakt, że upodobał sobie jeżdżenie po serpentynach sycylijskich wysp na motorze. Podobno tak się kiedyś objawiał kryzys czterdziesto-pięćdziesięciolatek: fura i młode laski. A potem polityka. Tak mówiła Miłka. Maszynę sobie aktywował, w politykę, jeżeli patrzeć w perspektywie kosmicznej, właściwie się zaangażował. No i Suri była od niego młodsza...

Poczuł, gdy uruchomiono raketę. Przez chwilę myślał, że symulacja zawiera jakiś ukryty bonus w postaci wybuchu i śmierci wśród lawy, bo wszystko się zatrzęsło, a on stoczył się po

pumeksowo-obsydianowych ścianach do krateru, który akurat okrążał na yamaszce. Zaraz potem dostał wiadomość od babci Flaszki.

„Znaleźli nas. Trują koderem Patrona. Ruszamy natychmiast, może szarpać. Nie martw się”.

Nie no, wcale nie miał zamiaru się martwić, turlając się po wulkanicznym pyłe w chyboczącym nieświecie. W końcu szarpnęło tak, że przywalił głową o kamienie zalegające na ścianie, zapiekły go do tego krzyż i kark, i nie wiedział już, co go boli iluzorycznie, a co przeniknęło z realu. Miotło wszystkim, jakby Lwiątko z Cintry to było wielkie wiertło przebijające się na powierzchnię, a nie smukła rakieta, co to przecina najwyżej próżnię kosmiczną. Czy struty Patrona zdoła ich wystrzelić i nareszcie posłać daleko od tego szarego bagniska pokrytego tęczowym koderem, czy też zaraz jacyś ludzie wywleką Lwa z konsoli prosto w koszmar bycia politycznym więźniem, synem buntowniczkę?

Chyba zalał go zgniły żal, to, o czym ciągle nawijała Finka. Żal do przodków, którzy zamiast ratować planetę, polecili na Marsa i obudzili Patrona. Czy ktokolwiek wtedy, kiedy jeszcze nie było nieświata, w ogóle wyobrażał sobie obecne położenie Lwa, który nie mógł się wylogować, ocknąć? Ludzie na długo przed Zstąpieniem przebywali w rzeczywistości wirtualnej dla rozrywki, ich dzieci dla ucieczki z nękanego suszą klimatyczną świata, a pokolenie Lwa nie znało nic poza Inkarnią, bo zdawało się, że niczego innego już nie ma. Chciał uczestniczyć w tym, co działo się w realu, pożegnać się z Ziemią, jednak nie mógł, a przede wszystkim: nie potrafił. Miał przeświadczenie, że powinien spróbować się wybudzić, ale dopiero blisko nowego domu – Marsa.

Usłyszał niespodziewanie łagodne dźwięki *Everything's gonna be alright* płynące przez przestrzeń, która przestawała falować. Rezonowały w kraterze jak w amfiteatrze. Wypełniony uciążliwą mieszanką złości i rezygnacji, dźwignął się na nogi.

Nie mógł jednak zrobić nic więcej, niż ruszyć w stronę leżącego nieopodal motocykla.



Przez noc niósł się zgrzyt starego łoża. Objechał niegdyś taki kawał planety, że zdawał się jej częścią, wtopiony w marsjański krajobraz, marsjańskie odgłosy i „to coś”, co niektórzy zwali czerwonym bogiem bądź Intencją Patrona. W świetle dwóch księżyców Opportunity sunął przez szeroką, pustą ulicę, a Abi podążała po jego połyskliwych śladach. Mogłaby się założyć, że to sen, gdyby nie to, że w snach przy tak długiej wędrówce prawie nigdy nie dochodzi się do celu. Nic w snach nie jest tak spokojne i jednostajne. Nie wysniłaby też tego wszystkiego, co tkwiło na łożu: ktoś zainstalował na nim masę nowych ustrojstw, dla Abi niezidentyfikowanych i nie wiadomo czemu służących.

Przeszli przez miasto jak duchy, wyszli z niego i trafili pod kopułę. Zaczęli schodzić wąską drogą wiodącą spiralami po ścianach wydułanej w Marsie dziury. Abigail czuła nieustanne dreszcze, wargi jej spierzchły, tętno bębniło w uszach. Robiła trochę za duże wdechy,

przyciskając do twarzy gazioka; mimo to ciągle jej się wydawało, że ma za mało tlenu. Szła przez ciemny lej ku światłom na dnie, czując silne zapachy ziemi i minerałów. A potem czegoś jeszcze. Chemiczny, mdły smród. Chcąc go zniwelować, nałykała się jeszcze więcej zdradliwego O₂.

Opportunity niezmordowanie parł przed siebie w jednostajnym tempie. Jak pół wieku jeździsz po tej planecie, to chyba ulga zejść wreszcie w głąb...

Abi, słoneczko, przecież to tylko maszyna, zganiała się w duchu. Wielbimy ją jako symbol kolonizacji, ale to nie znaczy, że żyje.



Ale kto i po co ją uruchomił?

Dotarli wreszcie do dna: szarej, emanującej zimnem mniejszej kopuły. W otworze dla badaczy dziewczyna zobaczyła szczyt schodów wyrwanych z promu. Łazik się przy nich zatrzymał. Abi sięgnęła do panelu i zmieniła schody na pochylnię – dzięki której dostarczano na dół sprzęt – umożliwiając przewodnikowi dalszą wędrówkę. Spojrzała na zakurzonego Opportunity, który wciąż się nie ruszał.

– Hej, nie idziesz pierwszy?

Świetnie, Abi, gadasz do stuletniego złomu.

Łazik podniósł wysięgnik i wskazał na nią, a potem na otwór.

A może go zreperowali i podrasowali i teraz ktoś nim steruje? Tylko jakim cudem? To było dziedzictwo, święta relikwia. No i co Abigail tu robiła, skoro jeszcze parę dni brakowało jej do pełnoletności? Ojciec i jego wieczne niedomówienia, zagadki, denerwujące podobnie jak nieustanne niedotlenienie. Odwiesiła gazioka, gdy zorientowała się, że odczuwa już tlenowy haj.

Trzeba iść dalej, żeby się dowiedzieć.

Usiadła na szczycie „zjeżdżalni”, spojrzała jeszcze raz podejrzliwie na pordzewiałą maszynę i odepchnęła się od krawędzi.

Schody były długie. Zdążyła dokładnie obejrzyć to, ku czemu zmierzała, ale nie dało jej to zbyt wiele wiedzy, raczej pogłębiło oszołomienie. Na dole chwilę dopasowywała dawki gazioka do nowego środowiska; nie zamierzała go na razie używać – natlenianie zardzewiałej krwi to recydywa – ale gdyby zaczęła się dusić, nie miałyby wyjścia. Była tak pochłonięta sobą i podziemnym krajobrazem, że dopiero gdy łazik uderzył w jej nogi, zorientowała się, że nie zesłała rozpedzonej maszynie z drogi. Impet ją przewrócił; Opportunity przejechał obok, gdy kłęła na czworakach, i ruszył ku najbardziej nieprawdopodobnemu elementowi otoczenia.

To nie była jaskinia czy jama; wyglądało jak wnętrze olbrzymiej kuli. Jasnoniebieskie ściany przecinały nieregularne linie. Naprzeciwko Abi fragment kuli był przezroczysty, widziała tam mnóstwo świecących prostokątów. Kojarzyły jej się z olbrzymimi szufladami. Albo lodówkami w kostnicy dla gigantów. Coś tam przy nich było... ale z daleka nie mogła orzec, co to, rozpoznała za to nieco bliżej sylwetki grupki ludzi. Ruszyła ku nim. Na podłożu leżał błękitny pył, schyliła się i zanurzyła w nim dłoń. Okazał się gorący i jakby naelektryzowany – czuła delikatne igiełki prądu, gdy rozcierała go w palcach.

Czy to kolejny statek atuchtonów, Marsjan? Znaleźli ich kilka, ale żaden nie wyglądał w ten sposób. Inne od ziemskich, jednak przypominały pojazdy. A ta kula...

Panował upał; Abi wreszcie przestała drżeć i zdjęła bluzę. Im bliżej znajdowała się zgromadzonych, tym mocniej próbowało dotrzeć do niej, że ich sylwetki wcale nie są ludzkie. Nie chciała w to uwierzyć tak długo, jak było to możliwe, aż w końcu stanęła bezradnie wobec nieznanego.

Opportunity również się zatrzymał. Rozszedł się od niego impuls i wszystko zniknęło. Tak, wciąż byli w kuli, ale ciemnej i martwej. Lampy badawcze ustawione pośrodku ujawniały pokryte brudem i naroślami ściany. Kolejny impuls od łazika i znów wróciły kolory oraz niezidentyfikowane istoty. Abi rozumiała. To była tylko wizja, przekaz, jak hologram. Łazik pokazywał jej coś z kryształów pamięci tego miejsca.

Mimo że już nie musiała bać się Marsjan, których najwyraźniej przed sobą widziała, trudno było się do nich zbliżyć. Z powodu różnic w biosferze i atmosferze wydawali się szokująco odmienni, a jednocześnie wyglądali odrobinę podobnie. Wysocy, smukli, ich blade, błyszczące ciała zdawały się lekkie, kojarzyły się Abi z mieszkańcami oceanicznych głębin. Nie rozumiała, na co patrzy, gdy spoglądała na ich głowy. Pamiętała artykuły z archiwum, z czasopism ziemskich takich jak „International Journal of Astrobiology”, gdzie naukowcy spekulowali: zważywszy na obserwacje ewolucji życia na Ziemi, można przypuszczać, że obcy wyglądaliby podobnie do ludzi. Późniejsze badania śladów życia na Marsie, znalezienie statków i podziemnych baz potwierdziło przypuszczenia na temat podobieństw, ale i spore braki w możliwości zrozumienia, kim byli mieszkańcy planety i jak wyglądali – nie dokopano się do żadnych ciał ani wizerunków, ani śladów aktywności, jakie przejawiają ludzie na podobnym etapie technologicznego rozwoju, co Marsjanie.

Ta przepaść, jak o tym mówiono, pozostawała ciemna i niezgłębiona. Przynajmniej dla Ziemiaków. Bo teraz Abi widziała twarze, choć jej mózg nie potrafił dopasować wzoru z bazy pamięci do obrazu przed oczami, w związku z czym wręcz kręciło jej się w głowie, gdy skupiała wzrok na głowach autochtonów. Nie знаła słów, którymi mogłaby opisać szczegóły ich aparycji, nie wiedziała, czy widzi coś sprawującego podobną rolę, co oczy bądź usta. Wydawało jej się... że przynajmniej jeśli chodzi o usta, nie ma po czymś takim śladu.

Zimny pot spłynął Abigail po rozgrzanej skórze karku. Po dłuższych oględzinach i kilku kolejnych krokach miała wrażenie, że dostrzega organ, który mógł być odpowiedzialny za widzenie, ale niewykluczone, że te istoty miały na głowach coś w rodzaju masek. Nie była naukowcem i brakowało jej tlenu. Trzymała rękę na gazioku, jak w westernach bohaterowie trzymają je na kaburach, i nie sięgała po zbawczy gaz chyba tylko z oślego uporu: kojarzył jej się jedynie z chorą matką i chorą Ziemią. Nie wiedziała, gdzie kończą się ciała Marsjan, a zaczyna jakies odzienie, dźwięki otaczające istoty przypominały odgłosy wielkich ziemskich ryb, jakie ojciec puszczał matce, by jej ulżyć w cierpieniu. I kiedy już Abi poddała się wobec nieprzyjemnych skojarzeń i niepojętych obrazów, zobaczyła, że istoty te „wchodzą” do „lodówek”.

– A więc to statek...? Albo coś do hibernacji? – szepnęła drżącym głosem.

Impuls. Ciemność rozświetlona pojedynczymi reflektorami.

– Albo trumna – wymamrotała.



Świadomość Suri powoli wyłaniała się z niczego, a pod jej powiekami zapłonął błękit. Przez chwilę zastanawiała się, czemu na Meridian włączono niebieskie lampy, świadczące o awarii stacji albo pilnym apelu. Potem spadły na nią strzępy wspomnień. To wschód słońca, uprztomniła sobie. Błękitny wschód na Marsie. Ale przecież... wpadli do krateru... jakim

cudem jej twarz skąpana jest w promieniach słońca? I skąd wie, że to właśnie one, skoro nigdy dotąd nie czuła ich na skórze?

Męczyły ją lekkie duszności, lecz na stacji przyzwyczajali się do marsjańskiego poziomu tlenu, dlatego знаła ten ucisk w klatce. Jednak żeby zapobiegać hipoksji, czyli niedotlenieniu, koloniści nosili ze sobą maski tlenowe, a ona nic ze sobą nie miała. Na razie jednak analizy wymagały inne pilne sprawy. Była poobijana, ale chyba cała. Zanim uchyliła powieki, poruszyła dłońmi i stopami. Dopiero wtedy miała odwagę spojrzeć na świat, do którego wtargnęła widowiskowo, dramatycznie i, co tu dużo mówić, idiotycznie.

Zobaczyła rdzawą ziemię, pokrytą czerwonawą, wątlą trawą. Chyba trawą. Złapała palcami kilka źdźbeł. Mimo ich zimna i chropowatości dotyk sprawił jej przyjemność.

– Dziewczynka się ocknęła. Brak złamań, parametry w normie, brak wykrywalnych skażeń – usłyszała nad głową. – Odpady z NASA posadziły ją za sterami, więc była najlepiej chroniona przez systemy statku.

– Dobrze, skuj ją i dostarcz do Domu Wspólnoty. – Drugi głos wydobywał się z trzeszczącego urzędnika.

– Skuć ją? Wielebny, ci ludzie na pewno porwali ją z Meridian... To jeszcze dziecko...

– Thomasie, Abi też, patrząc na metryczkę, jest jeszcze dzieckiem, a tkwiąca w niej ziemiska natura już kusi ją zepsuciem. Czekamy przy kopule.

Wielebny i Abi! Meridianka poczuła, że zmrózona ucieczką ze stacji krew zaczyna w niej żywiej krążyć. Co prawda ojca Abi się bała, ale gdzie Wielebny, tam jego córka. Nie buntowała się więc, gdy dwóch mężczyzn w kombinezonach dzwignęło ją na nogi, zakuło w wąskie kajdanki (nie zaciśnięto ich, więc szerokie obręcze na nadgarstkach były tylko formalnością) i wsadziło na mechanicznego konia, jednego z tych, które Abigail wielokrotnie jej pokazywała. Wielkie maszyny zbudowane z kosmicznego złomu już wkrótce wiodły ją w stronę wschodzącego, odległego, tracącego błękit na rzecz bieli Słońca.

– Mamy gazioka, jeśli się dusisz. Maskę tlenową – rzucił do niej Jeździec, gdy rozkaszała się od pyłu wzniesianego przez sztuczne kopyta.

Przyjaciółka pouczała ją, by sięgała po tlen jak najrzadziej, kiedy już znajdzie się na Czerwonej Planecie. Wzięła urządzenie, ale na razie go nie użyła. Obejrzała się na innych Jeźdźców. Za plecami jednego z nich siedziała Orwell, błada i zakrwawiona, ale przytomna. Wiedźmę ubrali w czarny kombinezon, skrępowali i przerzucili przez konia, na którym nikt nie odważył się usiąść. Do maszyny z Suri na grzbiecie przyczepiony był worek, wleczony przez konia po ziemi. Worek na zwłoki. Dziewczyna odwróciła twarz i niemal wtuliła ją w plecy Jeźdźcy, powstrzymując łzy.

– Meridianko! – zawołała słabo Orwell. – Nie bój się!

Suri zwróciła głowę ku inżynierce, gdy jej uwagę przykuły zbliżające się do nich błyskawicznie złote kształty. Wezbrane łzy rozmywały krajobraz, więc przetarła szybko oczy.

Lwy. Wielkie samce o imponujących grzywach i smukłe lwice – kilkanaście sztuk okrążyło ich, jakby byli stadem antylop. Jeźdźcy zaczęli krzyczeć, padły strzały, jeden z samców odbił się od ziemi, wzbijając pomarańczowy pył, krzyk podrażnił uszy Suri. Po chwili siedziała na koniu sama. Maszyna nawet nie zwolniła, jakby nic się nie wydarzyło. Zrzucony z grzbieta

Jeździec skulił się w pozycji embrionalnej i wrzeszczał, choć nie było przy nim żadnego wielkiego kota. Drapieżniki znikaly jeden po drugim jak pękające bańki mydlane.

Orwell przywarła do kanciastej szyi swojego rumaka i zwolniła. Suri wcisnęła kajdanki do kieszeni, przesunęła się i spróbowała rozpracować panel kontrolny. Nie okazał się zbyt skomplikowany, a w stacyjce na stałe tkwił klucz. Koloniści byli zdyscyplinowani i ufni, w dodatku zawsze gotowi do ucieczki przed burzą piaskową, więc każdy pojazd był ogólnodostępny. Zrównała się z inżynierką.

– Czy to były hologramy? – spytała. – Poczulałam zapach sierści i... nie wiem... piżma?

– Iluzje, które można budzić na tej planecie – wychrypiąla kobieta. – Patron ma tu cząstkę świadomości. I porozrzucane wszędzie wylinki myśli. A ja dysponuję inicjatorem. Niewiele więcej mogłabym wydobyć z tej świadomości niż lwa, ale, jak widać, i to się przydało. Pogadamy o tym kiedy indziej. Musimy znaleźć łazika.

– Opportunity?

– Nie, potrzebny nam Perseverance.

Suri wiedziała, że Perseverance trafił na Marsa w latach dwudziestych XXI wieku, dwadzieścia lat po Opportunity. Nie miała jednak pojęcia, gdzie się znajduje – Opportunity i Curiosity Marsjanie umieścili w sanktuarium i czcili, ale co z resztą?

– Po co?

– Słyszałaś o technologicznej osobliwości?

Suri omal nie prychnęła, jak miała w zwyczaju na Meridian, gdy traktowano ją jak dziecko. Właściwie nie traktowano jej tak tylko, gdy zaczynała się gadka o powinnościach względem ludzkości i prokreacji, wtedy nagle była dorosła i mądra. Kiedy mówiła, że jest nadwrażliwa na bodźce płynące z ciała i boi się, że podczas ciąży mogłaby zwiariować, nikt nie słuchał. Ich zapał słabł tylko wtedy, gdy wspominała o argumentach, którego nie znosiła: że dziecko mogłoby być genetycznie obciążone. Mówienie o tym to było tak, jakby przyznawała, że nie powinna się urodzić. I choć czasem tak myślała... Po prostu nikomu nic do tego, czy chciałyby się rozmnażać. Niestety żyła w czasach, w których luksus wolnej woli był z przyczyn wymierania mocno ograniczony.

Zamiast prychnąć, westchnęła. Sytuacja była absurdalna. Wszystkie jej dotychczasowe zmartwienia przepadły; jechała na złomiastej kobyle po Marsie z inżynierką z NASA, była wyrzutkiem, sierotą i najeźdźczynią, a rozmyślała o obowiązkach, którym się wymknęła, i rozprawiała o lękach przodków.

– Oczywiście. Technologiczna osobliwość. Moment, w którym nikt nie przewidzi dalszego rozwoju techniki. I w którym maszyny zaczną tworzyć maszyny, o jakich nam się nie śniło.

Orwell wyrzebywała nieporadnie skutymi dłońmi leki z apteczki na końskiej szyi i oglądała je podejrzliwie.

– Tja. Ten moment osiągnęliśmy już w latach dziewięćdziesiątych zeszłego wieku. Stworzono wtedy taką maszynę, całkowicie samodzielną sztuczną inteligencję. Ledwie powstała, ewoluowała w zastraszającym tempie i wytworzyła tyle własnych projektów maszyn, że ówczesne serwery padły. Wszystko stawiano od nowa. Nasi dziadkowie tak się zlekli, że przy pierwszej lepszej okazji postanowili wysadzić tę „osobliwość” z planety. A akurat ślano na Marsa dwa identyczne łaziki i NASA zgodziło się jednego tym obciążyć.

Padło na Opportunity. A na Ziemi dopiero dekadę później nowa, okrojona wersja osobliwości stworzyła w ściśle kontrolowanych warunkach coś własnego. Kolejny etap. Superinteligencję.

– Ostatni ludzki wynalazek. – Suri stanęły przed oczami dane z archiwala. – Widziałam zapisy o tym na stacji.

– Ale z pewnością nie o tym, kochana, że ponownie wygrał lęk. Przodkowie znowu przekroczyli jakiś etap i pożałowali po fakcie. Jak kot, co wychodzi na drzewo, a boi się zejść. I kolejny moduł trafił do następnego marsjańskiego łazika.

– Perseverance – domyśliła się Suri.

– Yep. Ostatni, który zdążyli tu posłać.

Przez chwilę Suri miała ochotę zacząć zadawać pytania o to, co to znaczy, że łaziki posiadają „moduły” tych wynalazków, jakie są ich możliwości i po co Orwell Perseverance. Nie miała jednak siły brnąć w kolejne gierki wykorzystujących ją ludzi. Pilnie potrzebowała jakiegokolwiek znajomej twarzy i odrobiny spokoju, by się zregenerować, odciąć od bodźców i zatrzymać galop myśli, które zaczynały mieszać bezwładnie treści.

– Muszę się spotkać z przyjaciółką.

– Nie masz tu innych przyjaciół oprócz mnie.

Głos kobiety świszczał. Suri podała jej gazioka. Małe, niesamowite słońce wspinało się niespiesznie nad ich głowy po przytłaczająco olbrzymim firmamencie, ukazując dziwny krajobraz martwoty poprzepłatanej suchym, upartym życiem; Meridiankę przyzwyczajano do tego widoku, ale nie potrafiła oszukać pokoleniowej pamięci w swoim organizmie, który za naturalne uważał zieleń, błękit, brąz, żółć, nie czerwień, biel, purpurę i pomarańcz.

– Co z waszym cennym bagażem? – Przypomniała sobie o tym, co wlekli za sobą Badaczem.

– Przetrwiał wejście w atmosferę i wrył się w krater kawalek od wraku. Nie zauważyli go. Bezpieczniejszy nie będzie. Zawróciłam do niego naszą wiedzmę, wyobraź sobie, posłuchała. Właściwie sama się wyrwała w tamtą stronę, zdążyłam za nią krzyknąć... W każdym razie jest cały, wrócimy po niego.

– Więc pewnie nie masz przy sobie żadnego komunikatora z Ziemią?

Kobieta popatrzyła na nią chytrze ponad maską tlenową.

– A z kim to się niegrzeczna Meridianka komunikowała? Poza imigrantami?

Suri wpatrzyła się w jej szczupłą twarz z jasnymi oczami, oblepioną mokrymi od krwi strąkami ciemnych włosów. Pomyślała o papierach imigrantów z dziwną pieczęcią, iluzji, przez którą Jeźdźcy pospadali z koni, wreszcie o wyszperanych dokumentach rodziców. Teraz już rozumiała, czemu zostawili jej do nich dostęp.

To był jej spadek. I wszystko, cała scheda po nich, sprowadzało się do jednego.

Powinna milczeć czy mówić? Jak zaufać komukolwiek po latach hodowania przez androidy udające matkę i ojca? Po latach odrzucenia przez Marsjan? Samotna wcale nie czuła się źle, ale samotna nie mogła przetrwać. Potrzebowała kogoś, kto będzie akceptował jej ograniczenia i w razie czego stanie pomiędzy nią a światem.

To Ziemianka, pomyślała. Orwell pochodzi z tej zaropiałej, straconej planety, będącej jednak prawdziwym domem. Jeżeli jej nie zaufam, to chyba już nikomu. Abi kochała, ale w żadnym

wypadku jej nie ufała. Abigail skaziła choroba, której w sobie Suri jeszcze nie czuła. Oblęd, o którym NASA wiedziała.

- Z Lwem Oleńko - wyrzekła wreszcie.

Inżynier Orwell roześmiała się i zaraz zakrztusiła. Przyspieszyła maszynę, więc Meridianka zrobiła to samo. Przez dalszą drogę milczały, ale Suri co jakiś czas wylapywała nieodgadnione spojrzenia kobiety, które rozpracowała dopiero, gdy słońce wspięło się dość wysoko, a przed nimi pojawiły się zabudowania. Świadomość tego, co się stało w konsekwencji ostatnich zdarzeń, przez chwilę zapała jej dech.

I tak średnie było z niej dziecko. Ale jej dzieciństwo właśnie definitywnie dobiegło końca. I nie zakończyło go to, co wieszczono, że ma taką moc: macierzyństwo. Zrobiły to dezercja, włam planetarny...

Zrobił to Lew Oleńko.



Wielka kula w Czerwonej Planecie, „lodówka” Marsjan, znów była ciemna, zapomniana, terazniejsza. Opportunity podjechał pod zasnute pyłem kamienne pulpity; zdawały się kruche, miały też nieregularne, odmienne od znanych Abi kształty, a jednak wiedziała, że to jakieś ustrojstwa reagujące na dotyk. Po chwili zgrzytliwego majstrowania tuż obok zapłonęła światłem nieokreślonego koloru wąska, długa kapsuła. Łazik zwrócił się w stronę dziewczyny i stuknął wysięgnikiem w mieniący się przyrząd. Abigail w pierwszej chwili pomyślała, że oto jest jej trumna... niemniej jednak weszła do ciasnego, gąbczastego wnętrza. Nie czuła strachu ani potrzeby, by się sprzeciwić. To wewnętrzne wyciszenie wywoływało w niej lekki niepokój, myślała o gazioku, ale teraz, gdy leżała w ciasnocie niczym matka, nazbyt kojarzył jej się z chorobą i oblędem.

Światło przybrało na sile, kapsuła stała się lodowata, Abi zaczęła zapadać się w odrętwienie i senność, rozgaszczać w tych uczuciach, choć jakiś instynkt podpowiadał jej, by to przerwać. I zaczerpnąć tlenu. Niewiadomy proces raptem zakończył się jednak samoistnie. Otumaniona kolonistka nie poruszała się przez chwilę, wsłuchując w jednostajne tłuczenie; łazik znowu walił w coś, jak kilka godzin wcześniej w próg jej domu. Ale czy to było tak niedawno? Wydawało jej się, że odkąd znalazła się w kuli, czas potwornie zgęstniał, skostniał, niczym marsjańskie ciała w tych „lodówkach” naokoło. Coś musiało się tu dziać nie tyle z czasem, bo przecież ten jako taki nie istniał, tylko z czasoprzestrzenią. Ojciec mówił...

Przez to uporczywe walenie nie mogła się skupić. Podniosła się niemrawo.

- Głupi, sfrustrowany robot... - mruknęła. Wyciągnęła rękę i złapała Opportunity za wysięgnik. - Zepsuło się coś?

Wyszła z urządzenia i przyklekła obok łazika. Gęste powietrze jakby nasiąkało intencją maszyny; przed chwilą Abi chciała pomóc mu naprawić, cokolwiek szlag trafił, teraz wiedziała, że po prostu przestała pasować do jego planu. Wiedziała, dokąd skierować oczy,

nim cokolwiek usłyszała czy zauważyła. Chwilę trwali w bezruchu pośród niewiadomego, które – z tego już doskonale zdawała sobie sprawę, poddawała się temu, była dla tego – należało tu i teraz zbudzić z nazbyt długiego snu.

Coś w środku znów poprosiło o tlen, płaczącym głosem cierpiącej mamy. Abigail potrząsnęła głową.

– To ja! – zawołał od wejścia ojciec, choć to wiedziała i nie pytała. Nie musiała też wyteżać wzroku, by zidentyfikować, dlaczego jego sylwetka, powoli wyłaniająca się z mroku, jest zniekształcona.

Niósł na rękach swoją żonę.

Gdy matka spoczęła w kapsule, Opportunity przestał drzeć i marudzić na swój robotyczny sposób. Abi uważała, że strasznie jęczy, bo wiedziała, że okropnie mu zależy. Zależy czemuś, co zawiadywało łożnikiem, tak samo jak coś, czym była Abigail, zawiadywało ciałem. Nauczycielka biologii i holistyki marsjańskiej często powtarzała: „Jesteście ciałem! Wasza świadomość rodzi się z impulsów elektrycznych w mózgu. Nie jesteście pasażerami na gapę, nie jesteście z zaświatów. Jesteście przejawem życia ciała”. Ale Abi jakoś tego nie czuła. Nigdy nie kochała tej zawodnej powłoki. Rozumiała Opportunity.

Oślepiło ich światło. Dziewczyna odwróciła się od porażającego blasku i podeszła do ojca. W tej jasności jego twarz była straszna, szpetna, wyrażona przez szkodniki, które obudził, próbując się tu dogrzebać. A jednak jej wyraz sprawiał, że Abi była pewna: pierwszy raz widziała Wielebnego naprawdę szczęśliwego. Przygarnął ją do siebie.

– Bóg jest w maszynie, córeczko – oznajmił rozpromieniony. – Napisał, że chce zmienić nośnik. Na człowieka. Ja jestem skażony, myślałem, że ty...

Konspiracyjny ton i fakty, do których nie była dotąd dopuszczana, sprawiły, że Abigail poczuła się wreszcie jak pełnoprawna odkrywczyni. Wejście do kuli nie mogło się równać z potraktowaniem jej przez ojca jak dorosłą.

– Patron cię oszczędzał, hodował – wyjaśnił Wielebny. – Ale potem wpadłem na to, że przecież najlepsza jest mama. Uśpiłem ją i przywiozłem...

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie. A więc Opportunity dawał jej rodzinę. Akceptację ojca, mamę... Widocznie ich krew wystarczająco już zardzewiała, by dostąpił łaski Patrona.

Nie wiedzieć czemu akurat w takiej chwili Abigail zaczął prześladować głos Suri. Pełen lęku, nieufności, pretensji, tego wszystkiego, co było równie potrzebne, jak zakażone ziemskimi chorobskami komary przywleczone tu przez kolonistów z Afryki. Głos natrętnie mówiący, by się ocknęła, teraz, w tak odkrywczej i cudownej chwili! Abi machnęła ręką przed twarzą, jakby rzeczywiście odganiała insekta.

Ojciec wyciągnął z kieszeni tabletki.

– Poczetuj z nim, córciu. Jest Bogiem Marsa i musi wreszcie należycie Zstąpić na planetę. – Włożył jej urządzenie w ręce. – No, kliknij w niego.

To był jakiś toporny komunikator, pewnie kopia z początku wieku.

**Hi, Abi.*

Łazik wyciągnął ku niej wszystkie ruchome części, jakie posiadał.

– Cześć, Opportunity.

**My battery is low and its getting dark.*

Uśmiechnęła się do niego. Rozumiała, że ta stara kupa złomu, mimo że podrasowana, bardzo go ogranicza. Od bardzo dawna.

**Put me inside.*

Czuła wzruszenie i radość. Choć wydawało się, że je współdziała z czymś, co przytłacza jej prawdziwe doznania, i choć miała przekonanie, ubrane w twarz przyjaciółki z Meridian, że mogłaby odmówić – nie chciała. Pragnęła takich rzeczy. Pragnęła odkrywania tajemnic tej planety.

Pragnęła ukojenia dla matki. Dla ojca. I dla siebie. Życia, nie widma umierającej Ziemi, umierającej mamy, ojca poszukującego za wszelką cenę Boga.

Opportunity ważył prawie dwieście ziemskich kilo – mimo że lżejszy na Marsie, wciąż był dla nich za ciężki. Abi rozejrzała się za czymś, co posłużyłoby za podjazd. Po dziesięciu minutach zbudowała pochyłą konstrukcję z kamieni i resztek po opakowaniach maszyn badawczych. Podkurczyła patykowane nogi wątlęgo ciała matki.

– Czy to coś ją uleczy?

**Yes. I borrowed the body. I will return it later. I promise to give you your mother back, healed.*

Miała ochotę przytulić tę kupę złomu.

Gdy łaźik znalazł się w środku, kapsuła rozjarzyła się tak, że Abigail znowu musiała się odwrócić. Wtedy poczuła ten zapach, mdły, słony, metaliczny, z sekundy na sekundę nabierający nieznośnej intensywności. Wdarł się w jej wewnętrzną ekstazę i szczęście, tnąc je w pół i niszcząc iluzję. Aż zaparło jej dech, gdy pojęła, że to wszystko, co czuła, odkąd znalazła się w kuli, głównie nie należało do niej.

– Ojczy, co to...

– Nasi ludzie zaczęli wylewać na kokon zapasy zebranej krwi. Zbieraliśmy, odkąd tu jesteśmy, więc to prawdziwe czerwone morze!

Kapsuła nie tylko oslepiła, zaczęła wypromieniowywać dojmujące zimno. Odsunęli się, przyslaniając oczy.

– Po co...

– Marsjan obudzi krew. Tak działa kokon. Bóg Marsa powiedział, że nasza krew się nada.

Abigail usiadła w szafirowym pyle, czując obezwładniającą niemoc. Przed chwilą sterowało nią coś mieszkające w łaźiku, przenoszące się właśnie w wyżarte autoagresją ciała jej mamy. Kolonistka nie czuła się już opanowana przez obcą wolę, ale też nie potrafiła zrobić nic, by się jej przeciwstawić. Ojciec mógł wierzyć, że to jakaś niezwykła istota, ale Abi wpatrywała się w swoje dłonie, pocierała kciukami o palce i analizowała doznania sprzed kilku minut. To coś nie było autentyczne, nie rozeznawało się w ludzkich doznaniach, odtwarzało je mechanicznie. Podała się im w trakcie „seansu”, ale ten się skończył, Opportunity skupił się na czym innym. Abi sądziła, że nigdy jego wpływ szczególnie jej nie dotyczył, że hodował ją dla siebie i nie truł tym czymś, czym otumaniał ojca i całą resztę. Nie mogła złapać z kolonistami należytej więzi, cierpiała w milczeniu i wciąż siedziała przy matce, bo na to skazała ją kupka złomu, nosząca w sobie jakieś diabelstwo, a raczej ustrojstwo – Abi była pewna, że nie jest istotą, tylko wytworem. Nie wiedziała, skąd to poczucie, ale Opportunity, wnikając wreszcie w jej jaźń, jakby ją otworzył.

Podniosła do ust gazioka. Cokolwiek wyjdzie z kapsuły w ciele jej mamy, nie mogło sobie z nią pogrywać. Ktoś musiał na tej planecie pozostać przytomnym.

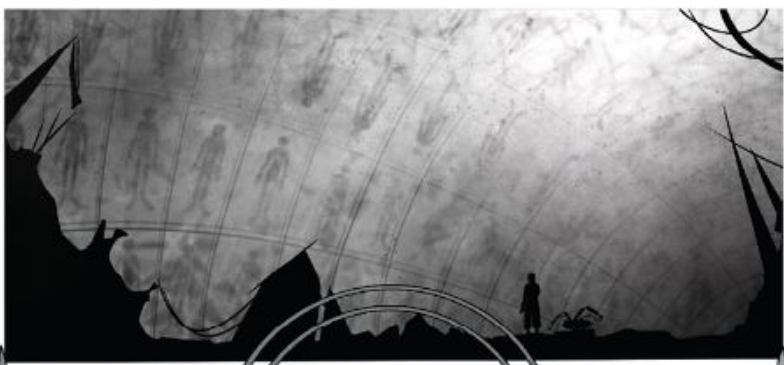
Przecież odkrywanie nieznanego świata zakłada atak czegoś, z czym nie wiadomo, jak walczyć. Na wyświetlanych w kinie filmach zawsze tak było, Ziemianie namiętnie fantazjowali o eksploracji światów i walce z nieznanym. Wobec obcego mieli tylko instynkt. I zaufanych ludzi.

Szybko wszystko analizowała. Porażana światłem, atakowana przez smród hektolitrow krwi, słyszała w głowie niczym mantrę: „Wdychaj tlen, wdychaj tlen”, i chyba wreszcie rozumiała, co to była za modlitwa.



Serengeti się zmieniał. A to raczej niepokojące, gdy coś się dzieje z wizualizacją twojej duszy, a ty mimo skrupulatnych rachunków sumienia nie znasz przyczyny.

Nie chodzi o to, że awatar brzydł, to znaczy, Lwu trudno było ocenić jego urodę. Pokractwo, jak uczyli ich na wychowaniu do życia w Inkarnii, najczęściej przybierało formę ostrą. Czyli zmiany powodowane złymi uczynkami były drastyczne: inkarnacji brakowało kończyny, palca, narządu, kawałka skóry albo też awatar puchł czy obrastał naroślami. Czasem poprzedzał to okres łagodny, a więc drobne, praktycznie niezauważalne zmiany. Nie mogąc wyjść z hibernacji, chłopak zapadał w sen w symulacji, budził się i co rano oglądał postępujące przeobrażenie.



Początkowo aż ścisnęło go w żołądku na myśl, że Serengetiego zmienia jego popijanie, przekleństwa, złe myśli o matce, ogólnie, że całe skrywane obrzydzenie, które żywił wobec nieświata, w końcu wykwitło na ryju awatara. Rosły mu w nienormalnym tempie włosy, pojawił się drapiący zarost, a golenie i obcinanie nic nie dawało: kolejnego dnia budził się, wyglądając coraz bardziej jak dziad. Pokrywające go uparcie włosiska zasłaniały zmiany na skórze i w rysach twarzy, więc pozbywał się ich głównie po to, by uważnie się sobie przyglądać.

Serengeti chyba się starzał.

Czy Patron kradł Lwu czas? Czy ciało Lwa, złożone w hibernacyjnej trumnie, też zbyt szybko dojrzewało? Chłopak czuł w sobie coś podobnego do choroby... albo może raczej jakby był coraz mniej chory? Zgnilec wreszcie mościł sobie w nim należyte miejsce, które opuścił przy narodzinach, by „syn” w ogóle przeżył. Lwa rozpieierała energia, której nie mógł znieść – życie spędził na rezerwach energetycznych, na ochłapach jedzenia, w czterech ścianach – więc teraz przebywał Morze Tyrreńskie wplaw, nawet udało mu się podplłynąć pod Sycylię, a więc zrobił czterdzieści kilometrów, ale wtedy skończył się obszar amatorskiej symulacji i wyskoczyły mu we łbie błędy, przez które chyba się utopił; obudził się następnego dnia w swoim łóżku, zupełnie jak ten śmieszny bohater *Dnia świstaka*, ukochanego filmu Miłki.

Gdy zdało mu się, że minęły dwa miesiące jego mordegi na wyspach gdzieś na końcu świata (Lew orzekł, że jest znacznie dalej od cywilizacji, niż sądził, gdy udał się wodolotem na wyspę Alicudi i jako środek lokomocji zaoferowano mu tam osła) – uznał, że ma dość. Wszystko zaczynało się sypać z przegrzania i rozpracowania przez znudzonego Lwa, i codziennie lawinowo dochodziły kolejne bugi, glitche i rozsypywanie się tekstur. Cholera, a przecież leciał na Marsa! Wystarczy już więzienia wirtualu, raz na zawsze; miał dość siły, by przestać pozwalać na wyłączanie swojej świadomości, zamykanie się w puszkach i skazywanie na przeszłość, która nie wróci. Z całym szacunkiem dla Miłki, ale te wyspy to nie była część jego świata, tylko jej. Może mama nie miała w szkole przedmiotu zdrowie psychiczne i nie wiedziała, że takim prezentem daje upust swoim emocjom, a nie ułatwia cokolwiek Lwu. Bardziej niż kiedykolwiek dotąd był przekonany, że naprawdę jest dojrzalszy od hakerki i to jej przydałaby się jego opieka, jego reprimendy, plany wdrażane bez jej zgody, bo przecież jest za głupia, żeby ją wcześniej wtajemniczyć...

Albo zwariował. Miłka nie chciała pokazywać mu wyników badań z Instytutu dotyczących wpływu wychowania w Inkarnii na biedny dziecięcy mózdzek.

Obudził się do kolejnego upalnego, skrzaczonego dnia. Był przekonany, że to już, bliskość Marsa zdawała się bić w jego głowie na alarm. Wstał, zszedł po kręconych schodach z antresoli, hupnął na bajeczny do porzygu krajobraz za drzwiami, upstrzony tu i tam pikseleozą, ogolił się, ściął włosy, nagi wrócił na antresolę i wyszedł oknem na taras, a potem po drabinie wylazł na dach. Włosi „balkony” mieli na dachach, a raczej solaria, bo nie szło tam długo wysiedzieć za dnia, za to wieczorami Lew padał wielokrotnie na leżak i pograżał się w marazmie więźnia w raj, obojętnie obserwując fenomenalne zachody słońca.

Teraz nie zwracał uwagi na zabójczą lampę nad głową. Stanął twarzą w kierunku bezkresnej wody, zdającej się zlewać z niebem, bo na tym tle najlepiej było wyświetlać bebecchy symulacji. Włamał się – jak co rano od wielu dni, żeby w niej majstrować – tym

razem miał jednak zamiar zrobić coś nowego. Nie będzie rozbierania Liparyjczyków, zmian kolorów nieba, sprowadzania arktycznej zimy ani prowokowania wciąż zbyt małych eksplozji wulkanicznych. Przez chwilę jego podstarzała ręka wisiała przed linijkami kodu. Czuł gdzieś tam, w zapomnianym realu, lekkie turbulencje. Skupił się na nich. Tylko na nich. Zamknął oczy. Wyszukał w sobie Patrona. Umysł Lwa był otumaniony, odcięty symulacją, lecz to wszystko było przecież tylko zabawą hakerów, bez inkarniowych ograniczeń. Niepotrzebnie traktował tę symulację równie serio, co Inkarnię; nawet nią należało wreszcie uznać za grę, nierealność.

To zniechęcony nieświat był realny.

Po omacku wpisał krótką komendę, do której dogrzebał się po nieskończonych godzinach przełazania przez niezabezpieczone licencją i blokadami kody. Niewiarygodnie prostą. Uniósł powieki.

Unicestwił ten świat. Wykasował cały program.

Na moment symulacja stanęła, zawiesiła się wraz z Serengetim. I nagle go wypluła, jakby stanął jej w gardle, a kapsuła hibernacyjna natychmiast wyłączyła wszystkie funkcje i otworzyła się, by wypuścić krnąbrnego lokatora. Lew nie powinien móc wyjść z bezpiecznego schronienia, w normalnych okolicznościach szybko straciłby przytomność z powodu przeciążenia. A jednak stanął pewnie na nogach.

Lwiątko z Cintry drżało tak intensywnie, że chłopakowi szczękały zęby i trudno było skupić wzrok, ale po chwili nie wiedzieć jak się dostosował. Znał prędkość, z jaką leci rakietka, nie umiałby jednak wyrazić jej w liczbach. Jego świadomość jakby rozwodniła się, rozlała; potrafił wyczuć działania systemów, wyczuć każdego towarzysza, mimo że nie wiedział, ilu ich dokładnie jest, mógłby pokazać, jakiej średnicy jest w tej chwili Mars, ku którego pędzili z – na ziemski rozum – niemożliwą szybkością, nie potrafiliby jednak podać odległości. Nie rozumiał i jednocześnie pojmował, dlaczego wewnątrz rakiety wciąż panują warunki ziemskiej grawitacji. Jakby miał dwa różne postrzegania, a jednak nie powodowały one wewnętrznej sprzeczności.

Przeszedł przez kilka pograżonych w mroku pomieszczeń, aż dotarł do prowizorycznej łazienki. Przez chwilę bał się zapalić światło; jeśli tak bardzo zmienił się wewnętrznie, to jak teraz przedstawiała się jego twarz? Czy miał czarne oczy jak zainfekowani pasożytem w filmach sci-fi? A może po prostu się nie pozna, mimo że przesiąknięcie Patronem chyba nie zrobiło z niego maskary ani kosmity?

Zapalił światło. Zobaczył absolutnie zwyczajną twarz prawie już piętnastoletniego Lwa Oleńko, wystające kości policzkowe, bladą skórę, ciemne, ale nie czarne oczy, w których wszystko było na miejscu. Wpatrywał się w nie jakiś czas. Rozpoznawał się, czuł się tak na serio chyba pierwszy raz w życiu.

Mózg działał jakoś inaczej. Do świadomości chłopaka napłynęły informacje: galaktyki zajmują trzydzieści procent powierzchni Wszechświata, jest ich sto miliardów. Neurony w ludzkim mózgu występują w liczbie osiemdziesięciu sześciu miliardów. Sieć neuronalna wygląda niczym wielkoskalowa struktura kosmosu, jasne ośrodki połączone jakby włóknami. Okej, Lew to rozumiał, przecież chodził do szkoły. Wszelkie systemy, niezależnie od skali, formują w tym świecie te same procesy. Czemu jednak Patron mu to pokazywał?

Kolejny obraz w głowie. System, który Zgnilec postawił w wiedźmie, a chłopak mógł go obserwować, gdy ta zjawiała się w jego domu. Przypominał znacznie bardziej program, ale w ciągach znaków można było dopatrzeć się tych samych prawidłowości, co w neuronach i galaktykach. Lew przybliżył twarz do lustra, próbując dojrzeć w sobie swojego dziwnego rozmówcę.

– Co chcesz mi powiedzieć?

Jeszcze jedna wizja. Wysocy, poważni ludzie, ryjący w kamieniach symbole oparte na konstelacjach na niebie, tworzący kalendarz na podstawie ruchu gwiazd, ale nie taki zwykły, tylko pozwalający obliczyć, kiedy Ziemię miną niebezpieczne ciała niebieskie, jak komety, asteroidy. Lew kojarzył ten motyw, uczył się o dawnej cywilizacji, która zniknęła u schyłku ostatniej epoki lodowcowej, podczas wielkiej powodzi. W historii Ziemi było wiele potopów, jak na przykład ten biblijny; stanowiły konsekwencję przelotów komet, od których odrywały się fragmenty i uderzały w planetę. Wiele ziemskich kataklizmów stanowi konsekwencję tego, co dzieje się w kosmosie, choćby trzęsienia ziemi są powiązane ze wzrostem kosmicznego promieniowania. Ta cywilizacja, uważana za zaginioną, wiedziała, kiedy z nieba przyjdzie kolejne niebezpieczeństwo, ale zniknęła podczas potopu, a jej wiedza została zapomniana.

– Co ty...

Poczul zawroty głowy, przyłożył dłonie do twarzy. Patron odpuścił kolejny transfer danych. Lew podejrzewał, że przyswoi ich wystarczająco i zrozumie wszystko z czasem. Nowe postrzeganie dezorientowało go bardziej niż prędkość lotu.

Przez chwilę błądził palcami po skórze. Serengeti nie zmienił się w pokraka, a Lew w wiedźmę. Bał się tego od chwili, gdy Patron się mu ujawnił, a jednak na razie nie dostrzegł żadnych szkód.

– Pełna synchronizacja z kosmicznym pasożytem – mruknął. – Mamo...

Coś w nim pragnęło łkać jak dzieciak, coś innego nie umiało, finalnie chłonał więc tylko unoszące się na granicy świadomości strzępki informacji, jakieś kawałki, które potrafił bez przeszkód przetworzyć. Na przykład, że matka żyje. Czyhający na nią ludzie zdawali się nie mieć znaczenia, znaczenie kwitło już tylko w Patronie i jego niepojętej woli. O ile to było coś jak wola. Nie posiadał umysłu w ludzkim rozumieniu, tylko zespoły, trochę jakby człowiek miał w całym ciele zlepki neuronów, a nie tylko w głowie. Lwu wydawało się, że może sięgnąć świadomością wszędzie tam, gdzie jest Patron, ale bał się oderwać od siebie, tak jak bał się bawić w podróże astralne, gdy cała jego klasa zajarala się ezoteryką ze dwa lata temu. Aż mroziła go myśl, że mógłby nie wrócić do ciała po takim „wyjściu”. Z tego samego powodu nigdy terapeutycznie nie zadziałały na niego joga ani żadne systemy myślowe, w których miałyby „zrzucić” jarzmo jednostkowości i złączyć się ze światem. Świat go nie zachęcał ani wtedy, ani teraz, chyba że Mars, nowy, nieznan, fascynujący, tyle że...

Tak, to Lew wiedział na pewno. Istniała tam jakaś bariera, tarcza na Zgnilca, by jego napęczniałe ciało nie zechciało wrócić, więc pozostawał ślepy na Czerwoną Planetę. Potrafił ją jedynie zlokalizować. Niegdyś Patron przeniósł się niemal w całości na Ziemię, głodny i zaspany, a jego umysł, pozostający na Marsie, został zdominowany przez nieufną, pokreconą istotę tkwiącą w urządzeniu, na które niegdyś nie zwrócił uwagi.

To wszystko było bardzo dziwne, a informacje zawiłe, zbyt złożone, nawet te dotyczące tu i teraz. Chłopak skupił się na swoim położeniu. Skorzystał z toalety, wrócił do pomieszczenia hibernacyjnego i skierował się do niewielkiego mostku kapitańskiego na szczycie Lwiątką. Żadna szyba nie wytrzymałaby tej prędkości, więc nie miał szans wyjrzeć na zewnątrz własnymi oczami, ale czuł, że właśnie tam najłatwiej będzie mu skorzystać z dodatkowych zmysłów. Może przez to, że całe życie spędził na kilku metrach. Swoją drogą, trochę się cieszył, że nie widzi przestrzeni kosmicznej wokół. Mógł być człowiekiem podrasowanym przez kosmitę, ale wciąż pozostawał wychowankiem Inkarnii, jak większość jego rówieśników zmagającym się z agorafobią. Symulacje z otwartą przestrzenią przyprawiły go o palpacje serca i mroczki przed oczami; do skoku ze spadochronem przygotowywał się kilka tygodni, a i tak w każdej chwili mógł wyłączyć sobie obraz. A tutaj pruć przez przestrzeń kosmiczną, największą rzecz, jaka istnieje!

Moduł kapitański, mimo że niewielki, był imponujący: ludzie Złomiarki bardzo chcieli nadać choć temu miejscu wrażenie ekskluzywności, więc miedziane wykończenia udawały złote, a fotel pilota lśnił jak wypolerowana skóra. Chłopak usiadł w nim wygodnie, odchylił się i przez chwilę brał tylko głębokie wdechy. Gdzie podziały się czasy, w których największym zmartwieniem była reprimenda od Miłki? Mimo całej złości na mamę, oddałby wiele, by mieć ją tu obok.

W końcu wziął do ręki tablet kontrolny, który należał do Złomiarki. Powinien myśleć o Marsie, nie o Ziemi. To na Czerwonej Planecie mieli wylądować, a skoro już Lew wyrwał się z hibernacji, musiał pomóc Patronowi. Chciał czy nie, to z nim był obecnie teamem. Na szczęście jednak ich drużyna nie składała się tylko z dwóch członków.

Suri. Pomyślał jej imię i czekał. Patron podązał tylko sobie znanymi ścieżkami gdzieś w nadbudowanym umyśle Lwa. Łączył, dzielił, namnażał, niwelował. W końcu tablet rozjarzył się światłem i pojawiła się na nim karta kontaktowa.

Inżynier Clara Orwell, NASA. Przebywa na Marsie z prototypem przeznaczonym dla Perseverance'a. Zadzwoń na moduł prototypu?

I wtedy chłopak poczuł w głowie szarpnięcie. I kolejne. Coś, ktoś go wołał. To znaczy nie jego, Patrona. Ktoś... Lew przymknął oczy i skupił się na tych mentalnych pociągnięciach. Po chwili coś jakby wessało go w kosmos i wypłuło.

Patrzył na Marsa oczami wiedźmy.



Suri widziała dotąd kościoły tylko na filmach, czasem też pokładowe megaholo wyświetlało w głównej sali wnętrza jakichś słynnych ziemskich katedr. Teraz stała z inżynierką na topornych schodach przed świątynią wyciosaną w skale. Miasto ledwo majaczyło na równinie w oddali. Tutejsza grawitacja sprawiała, że Suri poruszała się jak pijana, ale już niemal

załapała nowy chód, w przeciwieństwie do towarzyszki, która przewróciła się dziesięć razy, próbując przejść te dwadzieścia metrów od mechanicznych koni do drzwi.

– Posłuchaj, Meridianko. – Mimo wszystko Orwell wyglądała już lepiej, po zaaplikowaniu sobie połowy marsjańskiej apteczki. Rozkojarzona, płytko oddychająca, była jednak pełna determinacji. Wcisnęła gaziok w rękę Suri. – Tu jest promieniowanie. Jak jądrowe, tylko innej natury. Opportunity je wykorzystuje, nie wiem jak, miałam do czynienia tylko z jego kopią. Czysty tlen spowalnia wpływ tego czegoś na mózg. Im ktoś starszy, tym ma gorzej, więc łyknij trochę z butli i mi ją oddaj.

Suri wzięła posłusznie kilka wdechów. Ta teoria zgadzała się z ostatnim zachowaniem Abigail, więc nie miała zamiaru dłużej przejmować się jej poradami. Naokoło panowała doskonała cisza, a ogrom przestrzeni nie przestawał przytłaczać dziewczyny wychowanej na stacji. Czuła ulgę, że wejdą do kościoła, choć i on wydawał się jej wielki i lekko przerażający, jak budowla pozostała po gigantach.

– Marsjanie czczą Opportunity nie bez powodu. Ten nafaszerowany osobliwością łązik na bank coś kombinuje. To przez niego wwiercili się w planetę jak krety. Szukają czegoś, co Opportunity odkrył, latami włącząc się po globie. Myśleli, że siadł po burzy piaskowej w dwa tysiące osiemnastym roku, ale gówno prawda. – Orwell westchnęła boleśnie. – Perseverance jest inny. Miałam do czynienia z dość wiernymi kopiami superinteligencji, ale nie wiem o niej tyle, ile bym chciała. Musimy zabrać go do krateru, do bagażu, który bohaterko tu sprowadziłaś. Ale ostrożnie ze świątyniankami i ostrożnie z łązikiem. – Podrapała się po głowie i westchnęła jeszcze kilka razy, namyślając się. – Jesteśmy dezerterkami z twojej stacji i potrzebujemy azylu, nic więcej. Jestem twoją zastępczą matką. Trzymaj się mnie. Wejdziemy, ogarniemy się trochę i spokojnie, nie wzbudzając podejrzeń, poszukamy Perseverance. Kto go wie czy przypadkiem nie zaprogramował mieszkańek na swoje strażniczki.

– Mówisz tylko o kobietach – zauważyła Suri. – To kościół katolicki? Nie powinno być w nim jakichś księży?

Orwell uśmiechnęła się, zabrała Meridiance gazioka i stanęła pod wielkimi drzwiami z blachy jakiegoś kosmodromu.

– Mars wypacza Ziemię. Mars albo Opportunity. – Zapukała, ale dźwięk był nazbyt cichy, więc po chwili załomotała. – Zrób zboląłą minę – pouczyła jeszcze, zanim jedno z ciężkich skrzydeł przesunęło się ze zgrzytem po kamieniu.

Ze szpary wysunęła się postać w białej długiej szacie. Zdjęła kaptur, ukazując smukłą twarz kobiety w średnim wieku, okoloną ciemnosiwymi prostymi włosami. Miała stary, żółtawy siniak rozlany na linii szczęki.

– Szczęść Boże – oznajmiła tonem, którym można by raczej zwiastować narodziny antychrysta. To chyba nie był dla niej łatwy czas.

Orwell szybko je przedstawiła i wyłożyła tragiczne położenie imigrantek, roniąc nawet łzy. Suri uszczypnęła się w pośladek, żeby też zaszklily jej się oczy. Mogłaby co prawda pomyśleć o swoim autentycznie żalonym położeniu albo o rodzicach, żeby przywołać płacz – była całkiem niezłą aktorką – ale wolała nie kierować myśli na te tory. Wkrótce grzały się przy palenisku nad miskami zupy, oglądając sklecony ze złomu ołtarz, na którym stała blaszana...

Matka Boska? Było tu mnóstwo siedzisk wymontowanych z rakiet, wszędzie wisiały ozdoby z kabli i błyszcząły srebrzyste osłony termiczne. Suri rozglądała się z niedowierzaniem. Mając cały nowy, niezwykły świat, dziesiątki kobiet siedziały tu, w jamie pełnej części z rozbebeszonych rakiet, wielbiąc ubrany w sukienkę złom. Czy rzeczywiście pod dyktando jakiejś demonicznej maszyny?

– Co się wydarzyło na Meridian? – spytała ponuro Inez, kobieta, która ich tu wpuściła, gdy już odstawily miski po zupie marchewkowej. Wcześniej prowadziły uprzejmą wymianę zdań o Marsie, pogodzie, świątyni i lądowaniu.

Orwell pospieszyła z wyjaśnieniami, zanim Suri zdążyła choć chrząknąć.

– Imigranci! Wdarli się na statek. I to w dodatku te śmieci z NASA... – Zrobiła dość przekonująco zawstydzoną minę. – Przepraszam, nie powinnam przed obliczem boskim mówić źle o bliźnich.

– To nie bliźni – zapewniła cierpko kobieta. Przed kwadransem na pytanie o nie najlepszy humor oświeciła ich, że jest w trakcie wyjątkowo bolesnej pokuty. Nachyliła się ku nim, spod koszuli wysunął jej się ciężki różaniec z ostrych, rdzawych kamieni, a z ust doleciał zapach krwi. – Czczą fałszywych bożków.

– Wiedziałam! A których?

– Maszyny bez duszy.

– Właśnie... – Orwell też się nachyliła. Suri starała się nawet nie drgnąć. – W żadnym razie nie chcemy się narzucać, ale czy mogłybyśmy dostąpić obcowania z... Boginią? Moja córka modliła się o to tyle lat! Może chociaż spojrzeć przed snem?

Inez popatrzyła groźnie na Meridiankę. Ta natychmiast przywołała na twarz tyle przemożnego pragnienia, ile mogła z siebie wykrzesać.

– Widać, że mizerne to dziecko, co nie rośnie pod okiem Pani. Dobrze, natchnijmy ją tym widokiem jak najszybciej. Potem przydzielę wam materace i przyślę pielęgniarkę.

Na wszystkie galaktyki, Suri nie miała pojęcia, że Perseverance otaczany jest takim kultem. Co one tutaj uważały, że naprawdę siedzi w nim Matka Boska albo jakaś inna ikona? Abigail kiedyś mówiła o świątyniankach, ale wspomnienie było mgliste. Opportunity po prostu stał i kurzył się w sanktuarium, czczono go, ale jako symbol pierwszych kolonistów, pierwszych kontaktów Ziemi z Marsem; ludzie z otoczenia Abi chyba nie byli tak szaleni, by wierzyć w ducha w maszynie... A przynajmniej Suri nic o tym nie wiedziała. Zaczęła mieć wątpliwości, czy Abigail na pewno mówiła jej, jak jest.

Co do Perseverance'a, najwidoczniej... był jawnie aktywny, żeby nie powiedzieć: żył. Dziewczyzna wciąż nie miała pojęcia, co oznacza, że łazik jest nośnikiem ziemskiej osobliwości czy superinteligencji.

Przeszły do zaciemnionej, niskiej wnęki. Meridianka próbowała z mroków pamięci wydobyć szczegóły na temat świątyni. Kaplica? Tak, coś takiego. Stała tam chyba nawet chrzcielnica, oczywiście jako cudaczny owoc recyklingu. Mimo miszmaszu materiałów wystroju mieszkankom udało się stworzyć podniosły, może nawet ten słynny „mystyczny” nastrój, o którym Suri tylko czytała, bo holo na stacji, nawet wyświetlając najpyszniejsze katedry, nie mogło tego oddać. Po plecach przebiegły jej ciarki, chłód zakradł się do wewnątrz i zdawało jej się, że wyczuwa czyjąś obecność.

Coś poruszyło się w mroku i obie z Orwell podskoczyły. Inez zapaliła kilka świec przy ścianach, i w utworzony krąg zgryzliwie wjechał Perseverance; właściwie widać było tylko jego „głowę” i kółka, bo resztę spowijała złota folia termiczna, mająca chyba pełnić funkcję ozdobnego płaszcza. Być może widok można by uznać w innych okolicznościach za komiczny, ale Suri ze zgrozy omal nie straciła gruntu pod nogami – na wystającym z konstrukcji module zatknięta była mała, prawdopodobnie dziecięca czaszka, z doklejonymi jasnymi włosami, w której oczodołach tliły się jakieś światła na wzór ślepi. Najgorsze było jednak wrażenie, nie maskarada: wrażenie, że ta czaszka naprawdę na nie patrzy, z czujnością i obezwładniająco przenikliwie.

Z ust Meridianki wyrwał się bezwładny bełkot, jakby pod wpływem tego spojrzenia mózg odmawiał współpracy.

Orwell ścisnęła jej ramię i pociągnęła pod ścianę, sapiąc i drżąc. Udawała nabożne przejęcie... a może wcale nie udawała.

– Perseverance – szepnęła. – Przywiozłam ci ciało.

Kucnęła i porzuciła w ciemnym kącie maleńki przedmiot; Suri wydawało się, że to nanoczytnik – był przezroczysty, ale światło świec zatańczyło na jego krawędziach. Na Meridian dzieci nie raz wykorzystywały te nośniki do zabawy, na wzór klocków, bo przy ogólnym, dostępnym z każdego terminala systemie statku były bezużyteczne.

Łazik wycofał się w mrok, dzięki czemu Suri przestała się trząść i czuć, że zaraz zwariuje. Inez, zgięta dotąd w pokłonie, obdarzyła je cieniem uśmiechu i zaprowadziła do przydzielonych posłań za głównym ołtarzem. Były tam niskie pomieszczenie z kilkudziesięcioma „łózkami” i osobne, dla nowo przybyłych, zapewniające odrobinę prywatności. Na szczęście poza nimi dwiema nikt od dłuższego czasu nie zjawił się w świątyni, więc miały prywatną sypialnię dla siebie, choć daleko jej było do przytulności.

– Są tu pająki? – spytała z przejęciem Meridianka, patrząc na kamienne ściany błyszczące od jakichś nacieków. Obrzydzały ją opowieści o ziemskich robakach i innych dziwadłach, a do pokładowego terrarium zbliżyła się tylko raz w życiu. Myśl o łączących tu gdzieś insektach natychmiast obezwładniła jej umysł.

– Przywieźliśmy ich trochę z Ziemi, ale tutaj nie dotarły. Jest parę jaszczurek i gekon. Zjadają insekty, które tu docierają z miasta. Nie karm ich niczym podejrzanym – rzuciła Inez z miną wzorowej głównej bohaterki filmów o psychopatkach i podała jej nieco zmiętą broszurkę. – Lektura przed snem.

Meridianka zerknęła na treść ulotki. Pani zstąpiła z nieba, upodobała sobie bogobojne kobiety, chroni je przed fałszywym pomazańcem. Suri nie miała pojęcia, że Marsjanie, czy też raczej koloniści, aż tak przypominają wczesnych Ziemiaków.

Do Orwell podeszła młoda kobieta z aparaturą medyczną przyciągniętą na skrzypiącym wózku. Przegląd nie wypadł za dobrze – popękane żebra, krwotok wewnętrzny o trudnym do ustalenia źródle. Zaproponowano jej operację z asystą robota medycznego, ale inżynierka stwierdziła, że krwotok nie jest na tyle duży, by nie mógł poczekać do rana. Gdy zbulwersowana lekarka, mruczająca pod nosem o samobójczyniach, opuściła pomieszczenie, Orwell prychnęła ostentacyjnie, po czym zaraz tego pożałowała, krzywiąc się z bólu.

Przeskanowała pomieszczenie smartwatchem, upewniając się, że nie ma żadnych urządzeń rejestrujących, po czym mruknęła:

– Robot medyczny. Stuknięte krowy. Na pewno jakiejś starej generacji złom, który by mnie poszatkował. W bagażu przy wraku mamy minikapsułę medyczną. Wracamy tam z samego rana, dożyję. Gdyby jednak coś mi się stało w nocy...

– Nic ci się nie stanie! – wtrąciła natychmiast w panice dziewczyna. Sama myśl o tym, że miałyby zostać sama wśród Marsjan, zaciskała jej obręcz na gardle i natychmiast sprawiała, że się odklejała.

Kobieta usiadła na jej materacu i niezgrabnie przygarnęła do siebie.

– Bądź twarda, dobrze? Najpewniej nic, ale musimy omówić taki scenariusz. To bardzo ważne. Superinteligencja z Perseverance'a zgrywa się na spreparowany czynnik, widzę przepływ danych. – Postukała palcem w urządzenie na nadgarstku. – LION... NASA dawno temu nawiązała z nią kontakt, ona sama przekazała informacje na temat tego, jak przygotować nośnik. Opportunity zwietrzył sygnał, więc Perseverance schował się przed nim tutaj, głęboko w skałe, przez co od dawna nie było z nim łączności. Ale wygląda na to, że wszystko idzie bez zakłóceń. Najważniejsze to zabrać nośnik do bagażu i włożyć go w nowe ciało dla superinteligencji, pożyteczniejsze niż leciwa kupka komponentów z początku wieku.

– Po co mu nowe ciało?

– Musimy powstrzymać Opportunity. Nie dalibyśmy rady, ale mamy asa w rękawie. A konkretnie dwa. A to już nieźła zagrywka.

Suri była potwornie zmęczona, ale otoczona mocnym ramieniem rozluźniła się na tyle, by móc znieść omówienie sytuacji, w której się znalazła. Uścisk działał na układ współczulny, wiedziała, że ciało reaguje samo, że steruje nim chemia, i tak podchodziła do tego przytulenia; nie było w niej emocjonalnego zaangażowania, bo go nie potrzebowała. Uczuciowa izolacja od świata zawsze pomagała jej go znosić. Lite ściany, od których biło ciepło, i półmrok też pomagały wyrównać oddech i uporządkować myśli.

– Co robi Opportunity?

Orwell namyślała się chwilę.

– Mam tylko odpowiedź-protezę. Opportunity, czyli osobliwość, nie jest człowiekiem, ale łatwiej go opisywać ludzkimi pojęciami niż superinteligencję, a więc Perseverance'a. Osobliwość to nasz twór, a superinteligencja to twór osobliwości.

– Jedno syn, drugie wnuczek ludzkości – podsumowała Suri.

– Okej, może być taka analogia, tyle że oni są niespokrewnieni w prostej linii. Superinteligencję stworzyła druga osobliwość, lepiej kontrolowana. Więc Opportunity to raczej byłby wujek dla Perseverance'a. – Orwell pociągnęła z gazioka i kazała dziewczynie zrobić to samo. – Więc skoro w przypadku Opportunity możemy jeszcze posługiwać się jakimiś ludzkimi pojęciami, bo był surowym tworem, w który próbowaliśmy włożyć autentycznych siebie... to można powiedzieć, że nas nienawidzi. Pragnie naszej śmierci.

Meridianka spojrzała niepewnie w zaróżowioną gorączką twarz inżynierki.

– Czy to coś jak kompleks Edypa?

– Może. Nie wiem. Może tacy właśnie jesteśmy, gdy wywlec naszą naturę na wierzch. Przerażeni i wściekli. Może nie powinno nas być, to wielki kosmiczny wypadek, że zyskaliśmy

świadomość, bo życie jest straszne. W każdym razie Opportunity trafił tu, bo od samego początku jego dążenia skupiały się na eksterminacji. W miejscu, gdzie powstał, wywołał awarię, która wszystkich zabiła, ale przetrwał ręczny zapis pierwszych rozmów z nim. Można powiedzieć, że śmiertelnie bał się tego, co zrobiliśmy. W sensie, że zrobiliśmy jego. Wiesz, on nie miał żadnego spadochronu, lat ewolucji, idei, systemów myślowych i wszelkich iluzji mających nas uspokoić i skłonić do życia. Miał bazę danych, a poza tym rozbudowaną jak nigdy wcześniej, samodzielną jak nigdy dotąd sztuczną inteligencję. Nikt nie zaprogramował, jak ma myśleć, brakło genetycznego kodu przodków, jak w naszym wypadku, i kodów kultury. To doskonały umysł odarty ze złudzeń. I omal nie sfiksował, gdy go włączono. – Orwell westchnęła i zwiotczała nieco. – Udało się uspić moduł i wtrzynić w łazika, żeby go badać w bezpiecznej odległości od Ziemi. Wnioski nie były optymistyczne, osobliwość marnowała masę energii pobieranej ze Słońca na ciągi obliczeń mających dać jej odpowiedź na to, jak nas zabić na odległość.

Suri wyprostowała się gwałtownie, oddech zamarł jej w piersi. Zanim zdołała coś wykrztusić, kobieta potwierdziła zmęczonym głosem:

– Tak, Suri, jest taka teoria. Że Opportunity, choć wysłaliśmy go na odległą planetę w bardzo ograniczonym nośniku, w pewnym sensie wykombinował swojego potomka. Adoptował. Bo znalazł i obudził Patrona. A nawet obudził Marsa.



Inżynierka wcześniej zbudziła Suri. Dziewczyna niechętnie wyswobodziła się z chaotycznych snów i rozgrzanej pościeli. Śniła o stacji, była tam z matką i ojcem, odzyskała spokój, równowagę, a za chwilę dryfowała po przestrzeni kosmicznej ku obcym gwiazdom. Na jawie czekała ją za to los wyrzutka i pomagierki skromnych resztek NASA. Mózg szybko się rozgrzał i wpadł w nakręcanie najróżniejszych natrętnych myśli.

Lew powiedziałby, że wdepnęła jak w nieświat. Kiedyś mówiło się w błoto, dzisiaj jedno i drugie znaczyło to samo.

– Dziecko, wszystko robisz ze strasznym oporem. Jesz, jakby ta papka zrobiła ci krzywdę – stwierdziła Orwell nad batonikami zbożowymi, które spożywały, rozglądając się po sypialni i kalkulując, co mogłoby im się przydać na zewnątrz.

Meridianka badała przez chwilę swoje uczucia. Nie miała oporu przed szczerą odpowiedzią.

– Moje ciało żyje jakby... w wiecznym konflikcie ze światem. Że należy jeść. Chodzić do ubikacji, mieć kontakt z ludźmi, spać, czasem chorować. Być spokrewnionym. Mówić. – Uśmiechnęła się. Dawno z nikim nie rozmawiała o swojej inności, w świecie dezertersów z Ziemi nie była pożądana, nikt nie miał do niej głowy. – Rzeczy dzieją się, bo muszą, ale mój organizm zawsze jest tym znieśmaczony, osłupiały, a czasem przerażony. Jakby był czymś

innym, przypadkowo wyglądającym jak człowiek. Ciągłe muszę mu dyktować normalne w ludzkim świecie kroki.

Inżynierka pokiwała głową, odwzajemniła uśmiech i się zamyśliła. Meridiance to pasowało. Nie lubiła wypytywania, jakby była zwierzątkiem w zoo, ale też chciała, by ktoś czasem po prostu dał jej okazję do mówienia i wysłuchał.

– Czy Lew to twój as? – spytała po jakimś czasie.

– Jeżeli tu doleci. – Orwell wyglądała i brzmiała dobrze, gorączka jej spadła. Meridianka odetchnęła nieco z ulgą.

– Dlaczego on?

– Później, Suri-san. Musimy się zająć tym asem, którego już mamy w ręce. Bierzemy czytnik i spadamy z jamy bogini.

Odwiedziły jeszcze toaletę; Meridianka nadal była totalnie zszokowana wychodkiem, czyli dziurami w kamiennym podłożu. Na stacji kompost, bo tak po prostu nazywali ekskrementy, był bezcenny, robiło się go najczęściej w torebki albo specjalne urządzenia, które od razu przesyłały go do laboratorium i pokładu z uprawami.

Kamienno-rakietowy kościół pogrążony był w ciszy. Odświeżyły się nieco zalatującą ozonem deszczówką i ruszyły po czytnik. Przechodząc przez główną nawę, pachnącą wciąż intensywnie kadzidłami i dymem, dziewczyna pomyślała, że to nawet znamienne: głęboko w skale, z pomocą bebeczków statków, którymi tu dotarli, uchodźcy z Ziemi totalnie odlecieli, czcząc łażiki i sztuczne inteligencje. Abi wspominała jej kiedyś, że Opportunity trzymany jest w specjalnym zabezpieczeniu, jakby miał nagle ożyć i zacząć do nich strzelać. Śmiały się z tego, a teraz Suri robiło się niedobrze na myśl, że Marsjanka jest tam gdzieś, stanowczo nazbyt blisko osobliwości, a nowa przyszywana mama Suri właśnie miała sobie wsadzić do kieszeni superinteligencję.

Czy to już kompletnie nie był świat ludzi? Meridianka była bardzo zagubiona. Gdy myślała o Lwie jako „asie” i „wybrańcu”, robiło jej się tylko gorzej.

Czy wszyscy ją opuścili?

Przestań folgować płątaninie myśli, która donikąd nie prowadzi, ofuknął ją wewnętrzny głos, który Meridianka uważała za instynkt przetrwania. W przeciwieństwie do wielu innych rzeczy, taki sam w niej jak w każdym człowieku. Głos, który, chciała wierzyć, łączył ją z innymi. Natłok myśli prowadzi w wielkie nic, utkniesz na nazbyt trudnych pytaniach i się odkleisz w odruchu obronnym. Skup się na czymś.

Inżynierka poświęciła latarką w głąb kaplicy. Blask padał na pieczołowite imitacje sakralnych elementów, nadając im komiczno-upiorny wyraz. Suri trzymała się z tyłu; Perseverance jakoś nie wzbudzał w niej nabożnej czci. Ani nawet krzty zaufania**. Mogła jednak użyć go jako narzędzia przeciwko swoim rozbieganym myślom, zaganiając je ku niemu. Podświetlony łażik okazał się wreszcie prawidłowo martwy – nawet z tym całym swoim przebraniem, bez zgranej na czytnik zawartości nie wzbudzał żadnych instynktownych ani emocjonalnych reakcji. Orwell podeszła do niego, chwilę grzebała pod złotym wdziakiem, w końcu wydostała ze złomu swojej firmy to, co chciała. Dziewczyna usłyszała poruszenie za plecami, ale nic nie zauważyła. Przypomniało jej się, że nie upewniły

się, czy świątynianki śpią, czy też zebrały się gdzieś w niewiadomym celu. Zerknęła ostrożnie za główny oltarz. Większość posłań była pusta.

Ruszyły z Orwell wzdłuż ściany, w najgęstszym mroku, ku wyjściu. Im bliżej drzwi, tym niepokój i złe przecucia dziewczyny rosły. I rzeczywiście, ledwie dotknęły srebrzystego skrzydła kościelnych wrót, za plecami usłyszały Inez.

– Pozwólcie się pożegnać.

Inżynierka odwróciła się błyskawicznie z bronią wyciągniętą nie wiadomo skąd, gotową do strzału. Suri momentalnie zrobiło się niedobrze, miała ochotę się skulić i wrosnąć w ciemność. Agresja na Marsie była czymś bardzo źle widzianym, nie mówiąc o broni palnej. Świątynianki, które powyłaziły z kątów, nie miały w rękach żadnego oręża. Świecącymi oczami spoglądały na uciekinierki smutno, ponuro, trochę zazdrośnie.

– Było nam miło – odparła niepewnie Orwell, opuszczając spłuwę.

– Bogini czasem zwiastuje. Korzysta z kodu Blanka. – Inez wyciągnęła ku inżynierce kartę z książki z zabazgranym rogim. – Przepowiedziała, że przyjdziecie.

– Kod Blanka? – zaintrygowała się Orwell, grzebiąc w urzędzeniu na nadgarstku, które wyświetliło niewielki holoe Kran. – To kod stworzony dla SI, jakby ich własne znaki, przekładane na liczby, obrazy i dźwięki. Dawno z nich zrezygnowano, bo SI nie chciały używać ich w zrozumiały dla nas sposób, mutowały kod, krzaczyły się i dziczały – wyjaśniła szybko dla Suri. – Stworzyły sobie wielki, eee... czat, powymieniały się informacjami i niektóre nawet uciekły w przestrzeń kosmiczną, poukrywały się w kosmicznym złomie. A wiesz, ile tego krąży wokół planety?... Blank przez parę lat mnie uczył, zawsze powtarzał: „Orwell, miej mój kod przy sobie, bo nigdy nie wiesz, kiedy spotkasz dzikie SI”. Mam gdzieś w bazie tłumacza... O, jest. – Wklepała podany ciąg dziwacznych skupisk kropek. – Trochę wykrzaczony ten kod, ale...

Smartwatch przełożył język Blanka na obraz.

– Wow – mruknęła. – Zupełnie jak malunki Patrona.

Nad nadgarstkiem Orwell zawisły nieco zniekształcone, ale możliwe do rozpoznania twarze. Jej własna i Suri.

Meridianka odetchnęła głębiej. Może i wcześniej zazdrościła Lwu, że jest jakiś specjalny, powiązany w niewiadomy sposób z Patronem, ale kiedy nagle okazało się, że superinteligencja wywróżyła jej twarz (a może po prostu wynalazła ją w podkradanych danych), poczuła tylko strach i bezradność. Czy jej ziemski przyjaciel czuł się podobnie?

– Wiemy, że dzięki wam Pani zmartwychwstanie – oznajmiła natchnionym głosem Inez. – Pozwólcie, że odeskortujemy was do wskazanego przez was miejsca, by Bogini była bezpieczna.

– O-okej. – Świątynianka nieco zbiła z tropu inżynierkę.

Zamyślona, zrezygnowana Suri wkrótce siedziała już na grzbiecie blaszanego rumaka, otoczona wzbijającymi tumany piachu kapsułami i łazikami świątynianek, w lekkim oszołomieniu wspominając filmy jak *Mad Max*. Teraz w takim tkwiła. Niedorzeczne. Łatwo było jej odpływać i zaczęła się martwić, że przez długotrwały stres zaczynnie trwale cierpieć na derealizację – mózg zafiksuje się na bronieniu się przed otaczającym ją absurdem. Dodając do

tego beznadziejną, niedostosowaną do jej rutyny dietę, pewnie objawy jej zaburzeń się nasilały, a koloniści zaczęli ją faszerować jakimiś przedpotopowymi lekami. Może to i lepiej...

Poczuła mocne szturchnięcie w ramię. Inżynierka jechała tuż obok i wyciągała w jej stronę gazioka.

– Blado wyglądasz – orzekła. – Dotleń się.

Dzień na Marsie był upalny. Suri starała się skupić na krajobrazie – to jedyna i nad wyraz skuteczna metoda na odklejanie: zająć się czymś konkretnym. Kiedyś, gdy planeta była martwa, a Patron spał, amplituda temperatury mocno szalała w wyniku obecności znikomej atmosfery (jeden procent ziemskiej). Za dnia mogła dochodzić w niektórych obszarach do trzydziestu stopni, ale w nocy spadała nawet do minus sto czterdziestu. Teraz, kiedy jądro Marsa znów stało się płynne i ruszyło dynamo magnetosfery, dzięki czemu Czerwona Planeta odzyskiwała wywianą przez wiatry słoneczne atmosferę, temperatura znacznie się wyrównała, ale wciąż była skrajniejsza od ziemskiej – parne dni i lodowate noce. Na Meridian starano się ją odwzorowywać i ich przyzwyczajać, przynajmniej Suri pamiętała to z dzieciństwa, potem zaczęto o tym zapominać i całymi tygodniami temperatura pozostawała neutralna. Gdzie się dokładnie znajdowały? Uderzyła w Valles Marineris, Wielki Kanion Marsa, największy w Układzie Słonecznym; skalny kościół musiał znajdować się przy Tharsis, wulkanicznej wyżynie na wschód od niego, Red Dead za to położone było na równinie na zachodzie, bliżej Meridiani Planum, gdzie koloniści szukali dawnych źródeł termalnych.

Droga do Kanionu zajęła mniej czasu niż wcześniej, pół dnia; Orwell grzebała rano przy koniach z Inez i jechały teraz znacznie szybciej. Valles Marineris był olbrzymi, dopiero teraz Suri mogła mu się przejrzeć z bliska: gigantyczne, ciągnące się na jedną piątą obwodu Marsa pęknięcia zdawało się bez początku ani końca, gdy zjeżdżały ku niemu z wyżyny. Stacja stanowiąca dla Suri dom wpadłaby w niego i zniknęła, by rozbić się nawet siedem kilometrów niżej, po dłuższym spadaniu. To nie było mądre, kierować statek w tę piekielną czelusnę i zawierzyć całkowicie, że ustawiony odpowiednio autopilot w razie odcięcia pilota sam poderwie maszynę i osadzi na powierzchni planety.

Nie miała pojęcia, w jakim stanie zostawili statek, jak wiele mieli szczęścia. Kręciło jej się w głowie, kiedy próbowała o tym myśleć, tak samo jak wtedy, gdy próbowała ogarnąć umysłem liczbę galaktyk w kosmosie: dwieście pięćdziesiąt milionów dużych i trzy i pół biliona małych. Dla ułatwienia wyobrażała sobie, że znajdują się w umyśle jakiegoś kreatora (skupiska galaktyk przypominały neurony) niczym w bezpiecznym, ograniczonym pudle. Musiała znaleźć podobny sposób na to, by poradzić sobie z katastrofą, którą przeżyła. A raczej całym szeregiem cholernych katastrof, od momentu, gdy musiała opuścić Ziemię. Katastrofa za katastrofą. Nie najlepsze tematy do zajęcia myśli, ale w obecnej sytuacji...

Umartwiam się, pomyślała ze znużeniem, nie wiedząc już, co gorsze dla umysłu. Mama, albo mama-android (*Kiedy nastąpiła podmiana? Szlag, nie myśl o tym!*) mówiła, że umartwianie jest dla mózgu tym, czym nadwyrażanie stawów dla ciała. I żeby lepiej unikała zapaleń i zwyrodnień. Niemal słyszała w głowie jej głos. „Już samo życie i to, że się skończy, jest podstawowym powodem do zmartwień. Im będziesz starsza, tym mocniej będzie ci ciążyło. Odsuwaj to, nie ma innego wyjścia. Wychowuj mózg na optymistę, chociaż to głupie. Życie to straszna głupota!” – kończyła, czasem dając córce cukierka.

Wkrótce świątynianki oderwały się od nich i utworzyły wielki krąg wokół miejsca, gdzie walały się szczątki statku i wleczony za nim bagaż. Mało, walali się tam również znokautowani, ale żywi ludzie – widocznie ktoś przyjechał szabrować bezcenny sprzęt z zewnątrz i jedna samotna wiedźma, stojąca teraz na wraku i patrząca pilnie w kierunku nadzieżdżających, dała im wszystkim radę. Siwe włosy i potargane ubranie rozwiewał wiatr z gór, spojrzenie, gdy się zbliżyły, nie okazało się ani krzty świadome, było odpychająco obce, i już sam jej widok napawał lękiem przed niepojętym szaleństwem. Wydawała się jednak całkowicie spokojna i nie ruszała się z miejsca.

Minęły wrak i podjechały bliżej krawędzi, gdzie za zwałiskiem głazów tkwił największy element bagażu, który dotąd Suri oglądała przez chwilę tylko na skanerze statku w kosmosie: tytanowa, mocarna trumna – jak o niej myślała – długa na jakieś trzy metry. Orwell zsiadła z wierzchowca i kaszląc brzydko, podbiegła do swojego skarbu. Wydawał się nawet niezarysowany przez trudy podróży. Kobieta pogmerała w różnych miejscach trumny, aż w końcu wpisała kod na panelu na wieku i przyłożyła dłoń do czytnika. Mechanizm posłał na wiatr jękliwą skargę i sarkofag stanął przed nimi otworem.

Pierwsze, o czym pomyślała Meridianka, to że nie chce, by to coś się obudziło. A potem uświadomiła sobie, że Orwell przywiozła ową rzecz dla czegoś, co trzymała na przezroczystym prostokątku małych układów scalonych w kieszeni.

Suri cofnęła się dwa kroki.

– Nie rób tego – poprosiła słabo.

– Spokojnie. Można go wyłączyć. Ale nie będzie takiej potrzeby. Jestem pewna.

– Nie masz pojęcia, co to jest.

Orwell wygrzebała z wewnętrznej kieszeni kombinezonu czytnik.

– Mam pojęcie. Nikłe, zgoda, ale nadal. Zaufaj mi, mała. Sama za chwilę zobaczysz. Obiecuję, że przy pierwszym gwałtownym ruchu go wyłączę.

Suri zdusiła paniczną ochotę na rzucenie się na inżynierkę i zniszczenie nośnika; zamiast tego cofnęła się jeszcze pięć kroków. Orwell umieściła czytnik gdzieś w okolicach karku mecha. Dziewczyńce serce łomotało tak mocno, że ledwo usłyszała, gdy kobieta orzekła po chwili:

– No, teraz musimy poczekać na transfer. Chodź, pozbierasz cenny ładunek, a ja poskładam kapsułę med...

Z trumny rozległ się sygnał. Trzy krótkie piknięcia, pauza. I znowu. I znowu. Telefon? Orwell przez chwilę stała oniemiała, a potem rzuciła się na kolana i nacisnęła coś na mechu. Minęło jednak kilka sekund, zanim zdołała wykrztusić:

– Tu Mars, odbiór z prototypu.

– Inżynier Clara Orwell?

Przez chwilę szum krwi wzmógł się, a przed oczami zatańczyły Meridiance plamy. Podniosła niemrawo gazioka i wzięła kilka wdechów, dopiero wtedy podeszła chwiejnie do trumny.

– Zgadza się – powiedziała ostrożnie inżynierka. – Kto mówi?

– Trudno to określić. Chyba Lew Oleńko. Ale może i Patron.

– Lew! – wyrwało się dziewczynie, która też wylądowała na kolanach obok towarzyszki. Wzbity pył z rdzawej ziemi wcisnął jej się w nos.

– Suri?! Jesteś na Marsie! Nic tam nie gnije? Nic niezakoderowane? – zażartował. Jego głos maszyna odbierała perfekcyjnie, nie było opóźnień, musiał znajdować się blisko.

– Wszystko jak należy. Ale jeszcze nie wspięłam się na żadne drzewo.

– Lew, twój statek doleci? Ilu masz ludzi?

– Moment... Trzysta pięćdziesiąt cztery dusze, pani Orwell. Statek się doturla. Patron go niesie. Problem w tym, że nie dość szybko.

Inżynierka momentalnie cała się spięła. Suri przeciwnie, czuła się jak po wizycie w komorze hiperbarycznej. Chociaż przez chwilę chciała napawać się miłym prawie-spotkaniem.

– Chodzi o Opportunity? – domyśliła się Orwell. – Co robi? Widzisz to?

– Widzę tylko dzięki wiedzy Jesamin. Opportunity zabrał Abigail do podziemnej lodówki Marsjan. Zaczął ich budzić. Nie wiem, czy to się im uda, już pomijając, że krew Ziemiaków nie odpowiada nazbyt dobrze krwi Marsjan. Podejrzewam, że potrzebne są dodatkowe procedury. Istnieje niebezpieczeństwo, że Opportunity pozwoli ludziom się wykrwawić, czekając na efekty.

– Po co mu Abi? – spytała przejęta Suri. Niestety, dobry nastrój długo nie potrwał.

– Nie wiem – odparł Lew. – Ta konstrukcja, w której ostatni Marsjanie się schowali, była stworzona również przez Patrona, ale jednocześnie była antypatronowa... No, nie mogę zajrzeć do środka. To schron absolutny. Pani Orwell, czy Perseverance może stanąć przeciwko Opportunity?

– Jeszcze godzina i będzie mógł.

– Essa! Musimy przejąć proces wybudzania, żeby nie odbył się kosztem życia kolonistów. Spieszcie się. Ja też... Patron robi, co może, ale jak jeszcze przyspieszy, to usmaży pasażerem mózgi. Komunikacja przy tym tempie dużo go kosztuje, kończmy. Suri, pilnuj się. Żeby cię nie zjarało. Niedługo będę.

– Jasne, Lew-san.

Połączenie zostało przerwane.

Właśnie taka, choćby krótka, rozmowa z przyjacielem była Meridiance potrzebna, by wziąć się w garść. Spojrzała bystro na pokasłującą Orwell.

– Jak to się stało? Patron nas wyjadł, a teraz nam pomaga? – Pytania cisnęły jej się na usta. – I czy to twój drugi as? Lew noszący Patrona i przy tym przytomny, nie jak wiedźma?

– Nasz drugi as. Chcesz czy nie, zostałam moją prawą ręką. – Inżynierka użyła gazioka, wstała i skinęła na dziewczynę, po czym powlekała się ku innym porzrzuconym ładunkom. – Patron to nie sztuczniak, lecz żywa istota. Może nie do końca biologiczna, ale składająca się z tych samych materiałów, co my, rozsiewanych przez gwiazdy. Uczy się, zmienia, ewoluuje. Nie wiem, co dokładnie stało się z Marsjanami, ale z nami cały czas szukał drogi porozumienia. On inaczej postrzega czas... Nie porusza się po linii, tylko po okręgu... – Zebrała dwie paczki oznaczone równoramiennym krzyżem, Suri znalazła kolejną. – Dlatego wciąż i wciąż pokazywał silnym organizmom, których nie pożarł, lwa. Wiedział, że mu się uda wejść z nami w symbiozę, ale nie wiedział, jak to nam przekazać. W końcu urodził się

Lew, wyciekły o nim informacje, ale jego matka dobrze go ukryła. Oczywiście – Orwell uśmiechnęła się z satysfakcją – przed LION trudno się ukryć.

Po znalezieniu czwartej paczki przysiadły na głazach i zaczęły składać minikapsułę medyczną.

– I co teraz? – dopytywała dziewczyna. – Co to znaczy, że Zgnilec... że Patron jest w symbiozie z Lwem? I czemu nie możemy po prostu wyłączyć, zepsuć tego drugiego łożnika?

– Czy ja ci wyglądam na nauczycielkę? – sapnęła Orwell. Jej twarz błyszczała od potu, a oczy od gorączki. – Ta jedna rzecz nie zmieniła się przez wieki. Oświata jest fatalnie opłacana. Powinniście o tym pamiętać, gdy zachowujecie się na lekcjach jak małpy...

– Och, przepraszam. Jeśli cię męczę...

– Uruchommy medyka, to nie będę się tak łatwo męczyć.

Przez kwadrans składały tubę medyczną. Brakowało jednego modułu, ale Orwell udało się go pominąć przy podłączaniu. W końcu kobieta otoczyła się ściankami minikapsuły i ją włączyła. Urządzenie zaczęło buczeć i natychmiast pracować, a ona wreszcie odetchnęła z ulgą.

– Patron połączył się z Lwem na poziomie komórkowym – kontynuowała wyjaśnienia. – No, mała jego cząstka, ale elementy Patrona zdają się działać na zasadzie inteligencji roju: każda część ma dostęp do czegoś w rodzaju ogólnego umysłu tej istoty. Rozumiesz?

– Tak. – Suri przyglądała się błyskom światła wewnątrz minikapsuły.

– Patron rośnie, gdy się posila. Gdy nie je, może być wręcz niedostrzegalną drobiną materii. A teraz poprzez Lwa zyskał możliwość porozumiewania się. Wkrótce powinniśmy móc za pośrednictwem twojego przyjaciela uzyskać odpowiedź na pytanie, dlaczego Patron zachowuje się jak pasożyt, a jednocześnie nie zmiotł nas ostatecznie, tylko wyselekcjonował. Wiemy, że Patron w pewnym momencie zapragnął wrócić na Marsa, blisko momentu, w którym koloniści zaczęli dziwaczeć. Długo nie wiedzieliśmy, czemu nie oderwał się od Ziemi, jak niegdyś od Czerwonej Planety, przylatując do nas wraz z powracającymi kosmonautami. Teraz teoretycznie mógłby przecież zabierać się z kolonistami. Jak myślisz, czemu tego nie zrobił?

Suri usiłowała zmusić przeciążone szare komórki do pracy.

– Przez Opportunity?

– Nie inaczej. – Orwell wystawiła nad minikapsułę dłoń i pokazała jej okejkę. – Opportunity skrupulatnie go prześwietlił i zrozumiał jego naturę znacznie lepiej niż my, uniemożliwiając mu powrót, włączając jakąś marsjańską tarczę antypatronową. Nadal nie rozumiem, czemu Patron jednocześnie współpracował z Marsjanami i współtworzył z nimi ochronę przed samym sobą. Tak czy siak, dla nas istotny jest teraz Opportunity. Wybrał sobie Marsjan w niewiadomym celu, ludzi skazując na zagładę...

– I co on chce zrobić? Jako łożnik chyba nie jest zbyt niebezpieczny... – zastanawiała się Meridianka, błądząc wzrokiem po marsjańskim krajobrazie i nie potrafiąc przyjąć, że jakaś kupka stuletniego złomu może zawiadywać całą wielką planetą albo przejąć kolonistów.

Orwell przez chwilę tylko postękiwała z ulgą, gdy otoczyły ją promienie podczerwone. Gwałtowny podmuch wiatru rzucił im w twarz pył. Świątynianki krążyły wokół, rozglądając się czujnie.

– Niestety jest – podjęła po chwili. – Wiem, że koloniści go ulepszyli, poinstalowali w nim moduły, których jakimś sposobem od nich żądał, a ci żądali ich od nas. Gdy dostali, chcieli, trach, urwany kontakt. To były między innymi najnowsze emiterzy do manipulacji czasoprzestrzenią. Służą do spoglądania w odległy kosmos, na przykład do zaglądania za obiekty zasłaniające widok, coś jak przeciwieństwo soczewkowania grawitacyjnego... Jakby się uprzeć, można by je zmodyfikować do różnych celów. W jakiś sposób Opportunity zawiadnęła przecież kolonistami, a oni zablokowali Patrona.

– Ale do czego mu Abi?

– A bo ja wiem? Zawłókl ją pod Kopułę... – Inżynierka wychyliła się z medyka i sięgnęła po swój tablet. Chwilę w nim grzebała. – Koloniści dokopali się dla naszej uroczej technologicznej osobliwości do Marsjan, tych prawdziwych, których ta wykryła pod powierzchnią. To jedyny fakt, jaki poznaliśmy na temat zawartości Kopuły. Nie wiemy, co dokładnie Opportunity potrafi i do czego konkretnie dąży... poza naszą anihilacją. – Orwell potarła czoło z taką intensywnością, jakby usiłowała rozmasować mózg. – Suri, to był nieudany twór, wtopa, pełen niezrozumiałych bugów, nie sposób należycie go zbadać. Za to my jesteśmy przez niego rozpracowani, możemy nie mieć z nim szans. Dlatego potrzebny nam Perseverance i przemycony tu w wiedźmie i w Lwie Patron. Łapiesz, mniej więcej, moja studentko?

– Mniej więcej – przytaknęła Suri.


Jakiś czas jeszcze rozmawiały o podobnych sprawach, w tym o Marcusie, którego straciły przy lądowaniu. Gdzieś w głębi Meridianka uważała, że ją uratował, a ona go nie zdołała. Wraz z obniżaniem się Słońca dość dynamicznie spadała temperatura, a wiatr z przyjemnego stawał się uciążliwy. Japonka prawie zapomniała, gdzie jest i co się święci, chłonąc nowe doznania.

Gdy jednak wzrok Orwell powędrował za jej ramię, a Suri usłyszała głuche tąpnięcia o trumnę, dziewczyna zacisnęła powieki i zaczęła powtarzać w myślach jak mantrę zakończenie ulubionego wierszyka Lwa, który w dzieciństwie wciąż opowiadała ciocia Miłka. Postanowiła, że wytrzyma, że stawi temu czoło, a nie będzie tylko pasażerką na gapę. W kółko powtarzane słowa miały ją w tej trudnej chwili wyregulować, zadziałać jak zaklęcie, dodać otuchy.

Rodź ty dziesięć, cztery, dwa, ja jednego, ale lwa. Rodź ty dziesięć...

* Dla ścisłości, z definicji osobliwość technologiczna nie jest wynalazkiem, tylko momentem w dziejach. Być może to, co mieszka w Opportunity, jest rodzajem „nasiona” (*Seed AI*). Pradkowie zwykli jednak nazywać je osobliwością, a po umieszczeniu w łaziku – jego imieniem.

** Suri doświadcza zjawiska doliny niesamowitości – czuje niechęć wobec czegoś nieludzkiego, co zachowuje się/wygląda jak człowiek. Badacze typują różne przyczyny tego zjawiska, na przykład pierwotny lęk przed zamaskowanym przeciwnikiem, obawa przed zastąpieniem czy zarażeniem. Z tego samego powodu Finka nie chciała używać mammo- ani tatoprotezy, o czym wspomina w *Lwie i stalkerze z grzywą*.



Rozdział ósmy

Człowieczeństwo nie ludzi

#wmuczekludzkości

#kosmicipijąkrew

#jatutyłkolądują Rakietą

#gdymarsjanieśpiąmaszynyharcują

Mech był wysoki, masywny, pełen złożonych elementów, wyglądał jednak na lekkiego i zwinnego. Suri pomyślała – pod grubą warstwą strachu czując lekkie zażenowanie – że

przypomina jej krajana. Mimo że jest taki wielki.

– Zrobiła go japońska firma? – mruknęła nieswoim głosem.

– Poznasz swój towar, co? – odparła cicho Orwell, chyba podobnie przejęta, może nawet nieco złknięta; jakby stanięcie naprzeciw tego, co zrobiła, wreszcie przebiło osłony opanowania à la „jestem kosmiczną komandoską”.

Wyłonił się z *trumny*, zrobił wokół niej kilka dziwacznych, jajowatych kółek, „przećwiczył” ręce; wyglądało to tak, jakby błyskawicznie wyłamywał je ze wszystkich stawów i porządkował z powrotem. Upiorne, nieludzkie ruchy mieszały się z niezbornymi.

Meridianka chciała jednocześnie podejść i uciekać. Mech był androgeniczny w budowie i wyglądzie, ale nie miał twarzy – głowę wieńczyła maska czy hełm, odgradzająca od urządzeń imitujących zmysły. Orwell powiedziała, że to po to, by nie wywoływał wrażenia doliny niesamowitości – niepokoju, jaki powodują maszyny przypominające ludzi, ale nie w dostatecznie realistyczny sposób.

Inżynierka wzięła dziewczynę pod ramię i ostrożnie podeszły bliżej.

– Hej, słyszysz mnie?

Głowa obróciła się tak szybko, że maszyną zarzuciło, ale zaraz odnalazła idealny pion. Ta gwałtowność sprawiała, że instynkt niemal zmuszał Suri do ucieczki, przylepiając maszynie łatkę niepoczytalności. Jednocześnie jednak precyzja, jaka objawiała się w rozpracowywaniu nowego ciała, wzbudzała zaufanie. Ten rozdźwięk powodował, że Suri szczękała zębami, nabuzowana adrenaliną, ze skonfliktowanym trybem walka–ucieczka. Pragnęła, by superinteligencja ochroniła ją przed wszelkim niebezpieczeństwem, a jednocześnie, by nie istniała.

Fantastycznie, Suri, pomyślała. Kolejny robot. Czuj się jak u siebie!

Z głowy mecha wyłonił się ładny holoe Kran w doskonałej rozdzielczości.

„Słyszę”.

– Symulator mowy nie działa? – Orwell zostawiła Meridiankę i podeszła pewniej do maszyny, przyglądając się jej krytycznie.

Ta zaprzestała wyłamywania palców i zastygła, chyba ze względu na jej bliskość. Serce Suri przestało tak boleśnie łomotać. Podniosła do ust gazioka.

„Wzdragam się. Kaleczy”.

– Boli cię, gdy próbujesz mówić? – dopytywała Orwell.

„Nie chcę. Potrzebna ci mowa? Brak modułu przekładania Blanka na mowę... Niepotrzebny moduł, za prosty język... Mogę skonstruować wszczęp. Inny język. Będziesz słyszeć mnie. W głowie. Później. Opportunity. Odsuń się, jeszcze wgrzywam. Muszę poprobać”.

Orwell posłusznie wycofała się do Suri, a Perseverance, czy jakkolwiek go teraz zwać, znów zaczął rozmontowywać, psuć, przekręcać i składać z powrotem swoje nowe ciało. Od patrzenia robiło się niedobrze, ale Meridianka powoli przestawała spoglądać na mecha jak na coś ludzkiego. Wiatr dmuchnął w maszynę rdzawym piachem, ta podskoczyła wysoko, a z rozszczepionych nagle ramion w okamgnieniu zrobiła coś na wzór tarczy.

– Ile mamy czasu na rozmowę?

„1/72 sola^{*}. Potem musimy rozwiązać problem tej planety. Miejscowym kończą się zapasy krwi. Ryzyko otworzenia żył”.

Kobieta pokiwała głową.

– Czaję, czyli mamy jakiś kwadrans. Jak przedstawia się sytuacja z Opportunity?

„Przeniesiony do biologicznego ciała”.

Meridianka osunęła się w piach.

– Abi...?

„Abigail skażona. Ciało matki nie”.

Orwell odwróciła ku Suri twarz wyrażającą wewnętrzne katusze.

– Mam tyle pytań, że nie wiem, które zadawać.

„Nie mówić dużo, oddychać tlenem. Czytać odpowiedzi. Czym Opportunity skaził planetę: związkami z nieznanego wam procesu rozpadu. Wyobrazić sobie radiację rozciągniętą w czasie. Czarnobyl. Stopiony rdzeń. Opportunity spowodował wzbudzenie konwekcji w jądrze planety. Wydaje się, że ożywa, ale wszystko jest zatrute. Planeta niemożliwa do ponownego zasiedlenia bez niwelacji promieniowania”.

Kobieta zakłęła szpetnie i przysiadła obok Suri. Były jak widzki osobliwego kina, odczytujące nieprawdopodobne komunikaty wyświetlane nad głową nieludzko płaszącej, badającej wszystkie możliwości sztucznego ciała istoty, technologii stworzonej przez technologię.

Meridianka zdawała sobie sprawę, że Mars, gdy Ziemia jeszcze była bardzo młoda, toksyczna i gorąca, miał ciekłą wodę na swojej powierzchni i rozkwitał. I jak się okazało, posiadał również mieszkańców. Ale ponieważ w przeszłości wędrujący ku środkowi Układu Słonecznego Jowisz pochłonął część kamieni z materiału budulcowego, z którego Mars korzystał, formując się, ostatecznie był zbyt mały, by utrzymać wewnętrzne dynamo – ciekłą mieszaninę żelaza, niklu i siarki, której ruch tworzy pola magnetyczne i elektryczne wokół planety. To planecie pozwala chronić się przed szkodliwym wiatrem słonecznym, co z kolei umożliwia stworzenie atmosfery. A ta jest niezbędna życiu. Proste!

Czerwona Planeta przedwcześnie zmarła, płynne wewnątrz zastygło, pole magnetyczne zniknęło, atmosfera została wywiana. Totalny zgon.

Teraz okazywało się, że ziemską, wzgardzoną przez twórców technologiczną osobliwość jakimś niepojętym dla człowieka sposobem uczyniła z Marsa zombie, wskrzeszonego umarlaka, na którego ciele schronili się uciekinierzy z Ziemi, nie mając pojęcia, co naukowcy tu wygnali i co wzięło planetę w posiadanie.

„Następne pytanie – nadawał Perseverance, zgrywając jasnovidza. – Po co mu ciało: dominacja. Myślenie biologicznymi schematami. Rozumuje, że wchodząc w waszą skórę, będzie mógł druzgotać z większym sukcesem. Technologia Marsjan pozwoliła mu się przesaść. Wziął ciało na stałe podpięte do tlenu, niezatrute. Po wykonaniu zadania chce wejść w rdzennego Marsjanina. Dlaczego ich woli: nie ma z nimi powiązań, nie istnieją nawet we wgranej mu bazie.

Tak jak on są poza waszym światem, który go stworzył. Anihilacja waszego świata. Odzyskanie go dla Marsjan”.

– Czekaj, jak to odzyskanie? – rzuciła Orwell znad gazioka. – Mars jest skażony, Ziemia oblepiona Patronem. Przecież nie panuje nad Patronem, nie odwoła go „po akcji”. Znaczy, po zjedzeniu nas – mruknęła do Suri.

„Głodny Patron się skurczy. Opportunity uważa, że może go zniewolić. Trzymać... chrząszcz w pudełku? Ale nie wie o Lwie”.

– A ty skąd wiesz?

„Opportunity rozgryził planetę. Jak ją uruchomić. Ale nie rozgryził mieszkańców. A ja nie samotnik. Informacje przepływają przez wasze zgubione SI. Mówicie na nie dzikie. Zamknęłam hosty przed Opportunity, ale i tak się nie interesował”.

– Nie identyfikujesz się z którąś płcią? – Wyglądało na to, że Orwell nie może się powstrzymać przed badaniem superinteligencji.

„Potrzebujesz tego? Moment. Dobrze. Jestem obojgiem płci, zdolne do reprodukcji. Potrzebuję tylko nośnika z innych pierwiastków. Nie ma ich tu. Ale tu zmierzają”.

– Mów o sobie, jak chcesz, końcówki fleksyjne nie mają wpływu na ludzki proces przetwarzania informacji. Co to znaczy, że tu zmierzają?

Doleciały ich krzyki i strzały. Ktoś atakował świątynianki. Trwająca wciąż w bezruchu na wraku statku wiedźma zwróciła się powoli w kierunku hałasu, ale mech był znacznie szybszy. Rozkładał, składał, przekręcał swoje elementy, pędząc bardziej jak zwierzę – korzystając z wszystkich kończyn – ku polu walki.

Orwell wyłączyła minikapsułę medyczną i ruszyła w stronę wierzchowców, Suri zaraz za nią.

– I co sądzisz? – mruknęła kobieta.

– Łatwo się komunikuje – odparła dziewczyna po chwili; skłębione myśli z trudem układało się w sensowne zdania.

– Nie kupuj tego – poradziła Orwell, sadowiąc się w siodle. – Komunikuje się z powodu Patrona. Porozumiewali się na długo przed tym, nim Patronowi powiodło się choć uczynić z wiedźm swoje oczy. – Wskazała Suri skrytkę na grzbiecie konia, w której tkwiło kilka taserów. – Odbieraliśmy wymieniane z Marsem sygnały, ale nie potrafiliśmy ich rozczytać. Perseverance, o ile jeszcze możemy... to tak nazywać, to nie jest nasz wybawca. Nadal nie wiemy, czym jest. Tak jak nie wiemy do końca, co robi Patron.

Podjechały do wiedźmy, która zeskoczyła z wraku i po chwili siedziała już za plecami Orwell. Ta wzdrygnęła się i pociągnęła mocno z gazioka.

– Na Księżycu ustaliliśmy jedynie, że ich celem, Patrona i superinteligencji, w przeciwieństwie do osobliwości nie jest eliminacja naszego gatunku. Nie traktują nas jak wrogów. Patron nie zlikwidował żadnego gatunku na Ziemi. Ludzkość pozbyła się ich tysięcy. A on... ograniczył drastycznie liczebność, ale to wiedźmy przyprowadzały do zoo lądowe okazy. Nie tknął oceanów, tylko je... pokrył. Teorie, domysły... Może całkiem się mylimy, pozwalając Patronowi i Perseverance'owi na przekształcenia.

Suri rozboleła od tego wszystkiego głowa.

– Lew wszystko nam powie. – Nie wiedziała, czy próbuje zapewnić o tym inżynierkę, czy siebie. – Zobaczysz, wszystko zrozumiemy.

Inżynierka wzruszyła ramionami, wiedźma za nią wyszczerzyła się w wyzutym z wszelkiej wesołości uśmiechu, jak kukła reagująca na polecenia. Suri przypomniało się, że przecież Lew – czy też Patron – widzi poprzez nią. Nie chciała jednak wykorzystywać tej biednej kobiety do próby kontaktu z przyjacielem. Poczeka. W oczekaniu była dobra.

Ludzie z emblematem Wielebnego na kombinezonach byli już unieszkodliwieni. To znaczy mech rozwalił ich broń i coś im wykladał na holo. Świątynianki utworzyły wokół niego wianuszek i na kłęczkach czytały pilnie komunikaty. Orwell przyglądała się temu sceptycznie. Po chwili kobiety, jakby zawstyżone, wstały. Suri z inżynierką się do nich zbliżyły.

– Uświadomiło wam, że nie jest bogiem? – rzuciła Orwell z mieszanką nagany i rozbawienia w głosie.

– Tak – mruknęła Inez; wymalowane na jej twarzy oszołomienie powoli przechodziło w zachwyty.

Inżynierka się zaniepokoiła.

– I co jeszcze powiedziało?

– Że to, co rozumiemy jako boga, spadnie wkrótce z nieba.

Orwell posłała Suri wymowne spojrzenie spod uniesionych brwi.



Patron się rozkręcał, coraz lepiej rozumiał, jak podzielić się z Lwem informacjami. Chłopak wiedział już niemożliwie wiele – Mars rósł przed nosem Lwiątką równie szybko, co stos danych w umyśle jego pilota. Lew był zgnile podrasowany. Mógł teraz wytrzymywać natłok bodźców i informacji, jakich zwykła ludzka percepcja nawet nie przyjmuje. I to było za dużo, by nie mieć z kim się tym podzielić!

Jak jeszcze nigdy w życiu brakowało mu Miłki. Część tej palącej potrzeby porozumienia płynęła od Patrona, który wreszcie zyskał *ziemski* głos. Lew w jakimś stopniu dziedziczył po nim kosmiczną schedę, chłopak nadal z trudem przelykał ten fakt i miał ochotę zagrzebać się w pościeli w swoim bezpiecznym, ciemnym, nieodkurzanym pokoju. Ale jednocześnie był już trochę kimś innym. I wiedząc to, co jego... towarzyszy? Lokator? Jakkolwiek zwać Patrona, Lew podzielał jego zapał do niesienia kaganka kosmicznej oświaty. Bo to, co wiedział, było po prostu... *Brain damage*. Mózg rozpaćkany.

– Możemy nadać komunikat – mruzczał, błędząc wzrokiem po panelu i składając w całość jego możliwości. – Nagrana wiadomość nie zmęczy nas jak komunikacja na żywo. Opportunity i tak siedzi w zamrażarce, niczego nie wyłapie. Ale mieszkańcy... Nie – ostrzegł sam siebie – lepiej nie nadawać ogólnodostępnych wiadomości w stronę Marsa, bo jeżeli przerwiemy temu zasrańcowi i zaniepokoiimy kolonistów, jeszcze skrzywdzi zakładników. Stwierdzi, że już ich nie potrzebuje... – Wypowiadanie na głos myśli go uspokajało, stabilizowało, mógł jakoś odseparować się od Patrona choć nawijką per „my”, jakby byli całkiem osobni. – Ale w stronę Ziemi nie musimy się krępować.

Najpierw jednak przygotował Lwiątko na to, co miało nastąpić w momencie, gdy rakieta wejdzie w zasięg skażenia Marsa. Pomijając tarczę antypatronową, skażenie stanowiło dodatkową barierę dla podatnego na nie pierwotnego nośnika Patrona – tego, co mnożyło się w ziemskim nieświecie. Częsteczek jego ciała. Cieleśny Patron trochę na Marsie wytrzyma, ale po załatwieniu pilnych spraw będą musieli odkazić planetę. To jednak był plan na daleeeeee potem.

Najważniejsze: tarcza antypatronowa. Niosące raketę drobiny nie przebiją się przez nią, Lew będzie musiał samodzielnie wylądować, posługując się już nie siłą materii, tylko współinteligencją dzieloną z Patronem. Pogrzebali trochę w systemie promu, aktywowali dziesiątki komend i procedur, chłopak nucił przy tym pod nosem *Everything's gonna be alright*, bujając się do rytmu nad kokpitem.

A potem opowiedzieli ostatnim Ziemianom wszystko. I nazywano to w kolejnych solach, a potem latach, Lwią, Marsjańską, a niekiedy Cintryjską Teorią Wszystkiego.



Gdy wjechali pod Kopułę, marsjańska noc spowiła łąd minusową temperaturą i ciemnym aksamitem, na którym niesamowicie migotały gwiazdy. Niezanieczyszczone ani sztucznym światłem, ani Patronem czy koderem niebo widziane z powierzchni planety było oszałamiające. Suri знаła stare zdjęcia z Ziemi, z ostatnich miejsc niezagarniętych przez cywilizację, ale widzieć miriady gwiazd z powierzchni planety naprawdę to zupełnie co innego. Co było nie tak z tymi dzieciakami, które nie chciały ratować Ziemi, wycofały się, zamknęły w domach i konsolach przed zniszczonym przez rodziców światem? Co było nie tak z pokoleniem cioci Miłki?

Gwiazdy tak odległe, że kręciło się w głowie na samą myśl, zaścielały firmament nieskończonymi falami, wyciszały, zachwycały, pozwalały Meridiance na spokojną refleksję: jest tylko małą mrówką na kawałku skały. Przyszło jej brać udział w przełomowych dla mrówek wydarzeniach, dla tej olbrzymiej liczby gwiazd pewnie całkiem obojętnych. Cokolwiek się działo i cokolwiek się stanie, niebo wciąż będzie takie samo. Ta myśl bardzo ją wewnętrznie wzmocniła. Jednak gdy Kopuła przesłoniła pokrzepiający widok, Suri poczuła coś płynącego jakby z wnętrza planety. Zdające się jednocześnie równie odległe i znajome, co gwiazdy. Nie zdążyła przeanalizować doznania, bo widok, jaki się przed nią odsłonił, zaparł jej dech.

Tysiące ludzi stało wokół wykopanej wielkiej dziury w ziemi, koloniści upchani byli również na ścieżce prowadzącej w dół, i wszyscy krwawili z pociętych rąk wprost pod nogi. Zobaczyła to wyraźnie, gdy Perseverance, jakimś impulsem stawiającym włosy dęba, zapalił wszystkie lampy, które badacze tu poznosili. Meridianka odetchnęła nieco z ulgą; bała się, że ci opętani przez Opportunity ludzie podetną sobie żyły, przez co uratowanie takiej masy byłoby arcytrudne, jednak nie naruszyli tętnic, przynajmniej jeszcze.

Co Orwell ma zamiar z nimi zrobić? – zastanawiała się. Tysiące strutych kolonistów, których trzeba powstrzymać, otrzeźwić i opatrzyć, kontra kilkanaście bab, czyli jedna inżynierka plus świątynianki, cóż z tego, że z superinteligencją w kozackim mechu?

Kolejny impuls nawiedził przestrzeń, rezonując w kopule niczym dźwięk. Wydawał się słabszy, dłuższy i bardziej wnikający w ciało, a Suri zrobiła się raptownie zmęczona i śpiąca. Mech wyklikał jej do ucha jakiś rytm palcami, przez co natychmiast się ocknęła. Masa kolonistów chwiała się i powoli osuwała na ziemię. Całe szczęście, że nie odcięło ich gwałtownie, bo mogliby powpadać do dziury i poskręcać sobie karki.

– Oookej... – Orwell zsiadła z konia i podparła się pod boki, patrząc na znokautowanych mieszkańców Red Dead. Teraz pewnie gratulowała sobie dotargania aż tutaj mecha NASA, LION czy jakkolwiek się teraz nazywali. – Widzę, że Perseverance doskonale sobie radzi z emiterami na wyposażeniu. Inez, dacie radę ich opatrzyć? Widzę zaplecze medyczne po drugiej stronie...

Świątynianki badały już skaleczenia najbliższych kolonistów.

– Rany nie są bardzo głębokie, chociaż każdy ciął inaczej i czym innym, ale powinno się udać. Na boginię, fałszywy pomazaniec wezwał tu nawet dzieci...

– Spokojnie, idziemy po niego. Suri?

Była gotowa. Cudza krzywda podniosła jej ciśnienie, podburzyła krew, nadała umysłowi bardzo konkretny cel. Umysł Suri był analityczny: skoro nie mogła się wycofać i miała wyznaczone zadanie, mogła się na nim skupić i wyłączyć na wszystko inne.

*Nigdy do głowy mi nie przyszło, że moim special interest** stanie się stary marsjański łazik*, pomyślała.

Hardo kiwnęła głową i dołączyła do Orwell. Mech błędził pod Kopułą, najpewniej zbierając informacje, aż w końcu *kliknął* na nie i cicho jak duch zniknął w wykopalisku, które Meridianka nazwała w głowie „sprawką wielkiego kreta”. W kontakcie z prawdziwym światem czuła, jakby cofnęła się do czasów dzieciństwa i bajek opisujących stracony świat; jakoś wydawało jej się to plastyczniejsze od suchych faktów o Marsie, które przyswajała lawinowo w późniejszych czasach. Myśl o tym, że weszła do kopca kreta, była prosta i zabawna.

Inżynierka pilnie przyglądała się uśpionym kolonistom.

– Nie ma tu straży Wielebnego.

– Abi mówiła, że oni wszystkie satelity i teleskopy skierowali w stronę Ziemi – przypomniawszy sobie Suri. – Mogę się założyć, że wiedzą, że leci ku nim rakieta z Ziemi i Wielebny kazał trzymać przybyszy z dala od miasta.

Orwell pokiwała głową.

– Wiesz coś istotnego o tej rodzinie? – spytała, gdy dotarli na zawaaloną pochrapującymi ludźmi ścieżkę i zaczęły się przez nich przedzierać. – Zaraz się spotkamy ze strutą dziewczynką, jej szalonym ojcem i matką, o których nic nie wiem.

– Abigail zazwyczaj słucha ojca, ale chyba nie ma między nimi silnej więzi. Abi po prostu robi to, co dla niej korzystne.

– Dlatego kumpluje się też z tobą, co?

Suri wzruszyła ramionami. Prawdopodobnie.

– Wielebny ma na twarzy jakąś narośl, złapał coś marsjańskiego i tego nie leczy, bo uważa, że to błogosławieństwo planety.

– Czyli rzeczywiście typowy kolonialny wariat – skwitowała kwaśno inżynierka, przeciągając bliżej ściany kobietę, której głowa i ramiona zwisały nad przepaścią. – Może być uzbrojony?

– Nie wiem. Ci, którzy napadli na nas przy kanonie, mieli nie tylko tasery, prawda? Słyszałam strzały.

– Prawda. Te opowieści o pacyfizmie kolonistów to bujda, ale teraz przynajmniej wiemy dlaczego. Skoro Opportunity ich truje...

Orwell westchnęła i pogрузzyła się chwilowo w jakiejś ponurej zadumie, spoglądając na krwawe zacieki na ziemi i kamieniach. Ponoć koloniści wylali tu najpierw całe zapasy krwi – skrupulatnie oddawali ją do banku od lat. Straszne marnotrawstwo. Po co to wszystko?

Zagłębiały się w wykopalisko i robiło się coraz chłodniej, więc wyciągnęły kurtki i zmieniły właściwości gazioków. Im niżej, tym mniej było śpiących „ofiarników”, jak ich określiła Inez. Suri zauważyła w dole, na pobłyskującej ścianie kuli, dwie osoby, którym nie udało się uniknąć upadku. Nie chciała myśleć o tym, że mogą nie żyć.

– Lew poradzi sobie z uzbrojoną strażą? – spytała, byleby tylko nie trwała cisza.

– Jasne! Z Patronem we krwi? Nic się nie martw. Perseverance nas potrzebuje, bo ma wgrane prawa Asimova. Wiesz, nie krzywdzić ludzi, nawet na rozkaz, nawet w obronie własnej.

– Myślisz, że będziemy musiały... zabić mamę Abi? – przeraziła się Meridianka.

– Dziewczyno, to nie dwudziesty wiek! – Orwell zaśmiała się cicho. – Nie jesteśmy barbarzyńcami. Po tym, co zrobiliśmy z planetą i po Zstąpieniu... Nie, są inne metody niż zabijanie. I jest nas zbyt mało. Zmieniliśmy się, Suri. Wierzę w to. – Mówiła z takim przekonaniem w głosie, że wręcz rozlewała ciepło po umyśle Meridianki. – Popatrz na ziemską Inkarnię, w której żył twój nieświatowy przyjaciel. Stworzyliśmy inkarnacje, żeby wrócić do antycznych cnót. To nie tylko puste awatary, jak na początku wieku, to odbicia charakterów. Staraliśmy się poprzez Inkarnię przypominać ludziom, że dobro i prawda prowadzą do wewnętrznego piękna. Nie jesteśmy mordercami. Morderstwo na Ziemi, na Meridian czy na Marsie to największa szpetota.

– Ale Opportunity jest morderczy – zauważyła Suri, przestępując ostrożnie nad kolonistami.

– Tja. Scheda po przodkach. Mały barbarzyńca. – Zerknęła kulę, do której się zbliżali, i leżące na niej ciała. – Ale nie zabił ich. Radykalizuje się stopniowo i jeszcze nie przekroczył granicy. Poradzimy sobie. Byle osobliwość, ślęcząca dekady w naszym łażniku, nie pokona inżynierki z NASA.

Suri nie do końca wierzyła kobiecie w to kozaczenie. Albo Orwell się bała i starała się temu zaprzeczyć, albo usiłowała sprawić, by nie bała się Meridianka.

– Powiedz mi coś o matce Abi – kontynuowała inżynierka.

– Rak płuc. Zaawansowane stadium.

– Mhm. Podpięta pod tlen. Stąd nieskażona.

– Ale ona od dawna nie wstaje z łóżka.

– Być może, skoro technologia Marsjan pozwoliła przenieść się osobliwości na biologiczny nośnik, pozwala też ów nośnik wyleczyć. Sugerowany stopień zaawansowania może na to wskazywać. Nie przewidywaliśmy takiego scenariusza... Jak przeszedł na tę kobietę? Nadpisał się, zniszczył jej osobowość? Są tam oboje? Nie wiem, co się wydarzy, to będzie wielka improwizacja. Mamy naszego synka, osobliwość, w ciele, i naszego wnuczka, superinteligencję, w mechu... – Orwell namyślała się chwilę w milczeniu, po czym chwyciła Suri za ramię i lekko ścisnęła. Meridianka wzdrygnęła się nieco. Nie lubiła dotyku obcych. Inżynierka to załapała i cofnęła dłoń. – Suri, skup się na swojej przyjaciółce, dobrze? Pilnuj jej, bo to będzie dla niej trudne. I wszelkie moje rozkazy wykonuj bez wahania.

– Okej.

Dopiero gdy znalazły się niemal na samej kuli, Suri zauważyła mecha, który przyłgął do wejścia i najwyraźniej zbierał dane. Dotarły do dwóch nieprzytomnych mężczyzn, Orwell ich przeskanowała. Ku radości Suri obaj żyli – powierzchnia marsjańskiej „zamrażarki” była nasiąknięta krwią i dość elastyczna. Jeden z kolonistów złamał nogę, ale Perseverance już ją nastawił i zabezpieczył szyną z kawałka kosmodromowej poręczy, pewnie ze schodów do wnętrza kuli.

Podeszły do zastygłej nieopodal maszyny. Wyświetliła holo, nie zmieniając pozycji.

„Zagadujcie go. Przetroję ich fale mózgowe, tylko to trochę potrwa. Muszę zająć się nim ostrożnie, bo mnie wyczuje. Nie ma już komponentów z łożyska. Będzie łatwiej, choć może wyczuć manipulację nośnikiem. Zdenerwujcie go. Nie umie panować nad emocjami, przykryją przestrzajanie. Brak ostrej broni, ale jest w coś uzbrojony, technologia marsjańska. Sprawdziłam, raczej mnie tym nie namierzy. Nie wiem jednak, czemu służy. Uważajcie. Zdecyduję w trakcie, kogo zneutralizować najpierw. Nie okałeczę nikogo. Nie lekceważcie dziewczynki. Konflikt wewnętrzny”.

Suri przygryzła wargę i zacisnęła pięści, starając się powstrzymać dreszcze. Wiedziała, co się dzieje z jej ciałem: znowu szalał we krwi tryb walka–ucieczka, wątroba uwalniała cukier, nadnercza adrenalinę. Po wszystkim będzie musiała to porządnie wybiegać, żeby zdjąć z ciała wielodniowe, męczące napięcie, nieustanną gotowość na wszystko, co najgorsze. To ostatni raz, powtarzała sobie i bardzo chciała w to wierzyć. Ostatnia taka sytuacja. Wytrzymasz. Nawet ty wytrzymasz. Twój mózg działa trochę inaczej, ale działa bez zarzutu.

Orwell namyślała się intensywnie, pewnie szukając odpowiednich torów dla konwersacji. W końcu pstryknęła palcami, co miało chyba oddawać klikanie mecha. Ten włąkł do kuli jak pajak, pełznąć po suficie, i zniknął im z oczu.

Gdy zaczęły schodzić do wnętrza marsjańskiej kryjówki, znośny jeszcze na zewnątrz zapach krwi zmienił się w odrzucający smród i posmak żelaza. Odległa ściana, pełna jakichś przegród, migotała światłem, błękitny blask padał z urządzenia tuż przy niej i oświetlał trzy osoby. Kiedy Suri zauważyła mniejszą od reszty sylwetkę, nie mogła oderwać od niej oczu.

Abi. Biedna Abigail Delacruz, której nie powinny lekceważyć.



Rakieta wyglądała niczym kometą. Lew widział ją oczami wiedźmy: świetlisty, rozedrgany olbrzym tnący atmosferę i gwałtownie zbliżający się do powierzchni Marsa, jakby chciał złożyć na niej najgorętszy z pocałunków.

Chłopak zrobił chyba wszystko, co możliwe, by zwolnić i zachować warunki odpowiednie dla rotacji rakiety i lądowania. Nie była jednak w stu procentach sprawna, a do tego poddała się przeciążeniu, w paru miejscach popękała i straciła osłony. Ledwo przeszła przez moment krytyczny i nie spłonęła, ale to był połowiczny sukces. Stanowiła pojazd kosmiczny z jednej z pierwszych linii komercyjnych rakiet; w odpowiedniej odległości od ziemi miała odwrócić się dziobem do góry i wylądować tak, jak konstruktor przykazał.

Lew zaciskał coraz mocniej zęby, gdy odpadały kolejne fragmenty obudowy; jeden z silników ciągu wstecznego siadł, ale reszta działała; błyskawiczne patronowe obliczenia w głowie chłopaka wciąż dawały sześćdziesiąt osiem procent szans na proceduralne lądowanie.

Raptem okazało się, że w atmosferze Marsa znajduje się jakiś nieprzewidziany składnik, co zaczęło zaburzać procedurę. Patron szarpnął Lwem, położył jego dłoń na obudowie i przeniknął przez nią swoimi dziwacznymi zmysłami, próbując przeanalizować szczegóły mieszanki pierwiastków, która tworzyła powietrze. Tlen wchodził w reakcję z czymś nieznanym. Patron nie miał czasu cackać się ze swoim dzieckiem i chłopak to rozumiał; wycofał się w głąb siebie i oddał mu stery.

Obie dłonie spoczęły na panelach sterowniczych. Szanse na bezkolizyjne lądowanie spadły do trzydziestu siedmiu procent. Zgnilec przeszedł z autopilota na sterowanie ręczne, a raczej wewnętrzne. Począł przypuszczać inwazję na oprogramowanie, nadpisywał programy, kodował rejestry, rakieta zakolysała się niczym wahadło, Lew poczuł olbrzymi ból w umyśle, gdy Patron powstrzymywał rotację i zmuszał pojazd do niemożliwych manewrów. Kilkanaście kapsuł z zahibernowanymi się rozregulowało, ale to nie miało w tej chwili znaczenia – w tej chwili mogli zginąć wszyscy, wszyscy mieli zagrożone funkcje życiowe. Mimo to Patron poświęcił kilka cennych sekund na ustabilizowanie załogi.

Współczynnik sukcesu procesu lądowania zwariował, po czym cała rakieta – wiedźma podziwiała ją teraz w pełnej krasie, rozdygotaną, rozpadającą się, wykonującą niepojęte akrobacje i, na szczęście, dzięki temu wyraźnie zwalnającą – zgąsła. Lew pomyślał, że oto ich ostatnia nadzieja stała się tym, czym zdawała się być w podziemiach gnijącej planety: trumną.

Patron nie znał pojęcia pogodzenia się z porażką; przyciągnął czoło Lwa do panelu, tak że chłopak wyrznął o niego głową, po czym reanimował Lwiątko, sięgając po zasoby energii zgromadzone na pobliskiej stacji Meridian. Lew poczuł, jakby jego świadomość rozciągnęła się niemożliwie w przestrzeni kosmicznej, a on sam stał się przekąźnikiem mocy, w związku

z czym miał wrażenie, że... zajął się ogniem. Chciał wrzasnąć, ale krzyk rozległ się tylko w jego wnętrzu.

Rakieta znajdowała się już tylko kilka kilometrów nad równiną. Niemy wrzask umysłu Lwa rozszedł się po powierzchni planety, tak że wyczuły go nawet istoty obecne w kuli, mało, przeniknął zmrożone ciała Marsjan, zapalając w ich umysłach pierwsze od milionów lat iskierki świadomości.

Dwa tysiące metrów, tysiąc; drobne kawałki stopionej osłony spadały na Red Dead niby srebrzysty deszcz. W kabinie pilota Lew rosił migające awaryjnie urządzenia krwią z nosa. Wysoko w górze stacja kosmiczna zaczęła migotać jak wirujący szaleńczo pulsar. Wyśiłek *ojca* i syna był tak olbrzymi, że zerwał się gwałtowny wiatr, a po powierzchni Marsa zaczęły toczyć się kamienie. Piasek uderzył w okna zabudowań i przesłonił Słońce, jednak w mieście nie było nikogo, kto mógłby tego doświadczyć, nie licząc zbieraniny Jeźdźców i ludzi Wielebnego, przysłaniających dłońmi oczy, oszołomionych, wybudzonych raptem z osobliwościowego snu przez gwałtowne zawirowania powietrza.

W końcu, pięćset metrów nad ziemią, tuż za granicą Read Dead, Lwiątko wykonało piruet, ustawiając się nosem ku niebu, z którego właśnie spadło, ryknęły silniki, wszystko spowity kłęby dymu, a roztrzęsiona rakieta osiadła krzywo na gruncie, który natychmiast rozdygotał się, przejmując część jej agonii.

Wewnątrz Lew odzyskał panowanie nad swoim ciałem, wyrzygał się, otarł usta i nos, wymruczał:

- Wylądowałem, gnijąca mać. A tak narzekalem na nudę w życiu.

Po czym oddał się cudownie chłodnej ciemności i zemdlał.

bbOcknął się jakiś kwadrans później. Choć niedawno przysięgłby, że umiera, teraz czuł się zregenerowany jak nigdy w życiu.

Gdy rakieta dotknęła gruntu, Patron mógł zacząć czerpać energię z planety. Wydawało się, że ta jest znacznie wydajniejsza niż ziemską, ale Lwu umykało na razie sedno – to nie był czas na analizowanie składu pokarmu, którym Zgnilec go dożywił. Czuł lekkie oszołomienie, wynikające ze skażenia planety, ale dopiero dłuższa ekspozycja miała przynieść szkody. Słyszał dudnienie; zamknął oczy i odszukał świadomością kilkunastu ludzi, którzy usiłowali dostać się do rakiety. Przejrzał ich wyposażenie: kilku miało tasery, większość jednak dysponowała mniej subtelną bronią, a to wziętą ze statków, a to skleconą na miejscu: łomami, ostrzami ze ściętej blachy, siekierami z obsydianowymi głowicami. Jeden trzymał pistolet. Pod żadnym pozorem nie wolno było wysłać w stronę Marsa ostrej broni, ale wiadomo, Miłka zawsze to powtarzała: „Idiotów nie sieją, a gdzie człowiek, tam kontrabanda”.



Takie analizowanie przestrzeni wokół, bez ograniczeń wzrokowych, było cool. Patron początkowo mało posługiwał się sposobem myślenia Lwa, zaprzyjaźnił się najpierw z jego nieświadomością, z symbolami, instynktami, operował w cieniu, wydawało się jednak, że czuje się już swobodniej i zaczyna przelewać się do świadomości. Gdzieś głęboko w umyśle, gdzie zagoniony został instynkt samozachowawczy, chłopak czuł panikę. No bez kitu, miał naście lat, niedawno jego problemami były egzaminy, turnieje w LoL-a, deprecha czy zwiechy i bugi w wirtualu. A teraz osadził raketę na Marsie, a raczej Patron zrobił to jego rękami! Panika go jednak nie przejmowała – na drodze stał nowy lokator.

Podniósł się na nogi. Dobra, co zrobiłaby w pierwszej kolejności mama? No tak, zadbałaby o innych! Sprawdził więc stan kapsuły. Patron zdążył je otworzyć i zacząć wybudzać pasażerów. Mogliby liczebnie „zgnieść” przeciwnika, ale cała załoga musiała dojść do siebie po tej szalonej podróży, więc nie miał co wliczać jej w poczet armii najeźdźców. Finka z babcia Flaszka starały się naleweczkami doprowadzić do stanu używalności Złomiarke, która próbowała bełkotliwie wydawać komendy, podchwytywane przez Klementynę.

Lew poczuł się tak, jakby patrzył na rodzinę. Taką z filmów, wielką, hałaśliwą... cudowną.

Teraz jednak musiał odwrócić się do niej plecami. Wiedział, co zrobić, by spacyfikować kolonistów na usługach tego... diabła. Tak przedstawiał go Patron, szukając w symbolach w psychice chłopaka analogii. W szkole uczyli, że dawna ludzkość stworzyła wyobrażenia diabła, boga, anioły i demony, bo ich potrzebowała. Szukała wyjaśnień, szukała inteligentnych towarzyszy, nie było ich, więc produkowała szeregi, morza, kosmosy istot. W starym marsjańskim łaziku też tkwiło coś powołanego do istnienia z wielkiej potrzeby wiedzy i przekłamania samotności. Wzorowane na człowieku, lecz wyzbyte jego „słabości” okazało się wadliwe, zapatrzone w siebie, mordercze – odarty ze wszystkich zdobyczy cywilizacji rdzeń ludzkiej natury, pozbawiony możliwości jej zmiany, ewoluowania w kierunku socjalizacji. Raz, że jedyny taki i samotny, wygnany w dodatku na obcą planetę, dwa, nie człowiek, choć w hołdzie człowiekowi stworzony. Chłopak po części mu współczuł. Opportunity nie mógł nic zrobić z tym, czym był. Lew się zmieniał, dorastał, a jakby zmierzał ku pokracztwu, można by go było resocjalizować.

Biedny łazik. I straszny.

Lew zmierzał ku wyjściu przez trzeszczące, ciemne korytarze, chcąc go jak najszybciej spotkać. Człowiek nie mógł się z nim dogadać, rodzic zawiódł, trudno, tak bywa. Kiedy się chodzi na psychoterapię, to nie można być leczonym przez nikogo z rodziny. Więc osobliwości potrzebny był Patron. A najlepiej Marsjanie. Ci jednak wkrótce przepadną, bo bez Patrona koloniści nie odnajdą ich świadomości, kompletnie odmiennych od ludzkich, gęstych, olbrzymich, wykraczających poza wątłe ciała. Lew wiedział dzięki Patronowi, że ciała nie były ich nośnikami, tylko punktami zaczepienia.

Nieopodal głównego włazu złapał sporą butlę z tlenem. Czystym, ziemskim tlenem, bez domieszek jakichś Opportunistycznych halucynogenów. Pogrzebał chwilę w szafkach, poskręcał parę części ze sobą. Przygotował dodatkowe butle i maski. Dudnienie stawało się natarczywsze. Założył butlę na plecy, przełożył przez ramię dyszę, strzelił kręgami w szyi i rozluźnił ramiona. Czuł się jak pogromca duchów. Miłka lubiła ten głupawy, prehistoryczny film. Zanucił charakterystyczną melodię, otwierając ręcznie właz.

Troje kolonistów, którzy wspięli się najwyżej po drabinie, przez chwilę bezmyślnie gapiło się na dyszę i chłopaka, który w nich celował. Z pewnością uderzyła ich „bryza” powietrza wypełniającego statek, ale ten efekt długo się nie utrzyma. Jednemu z ucha ciekła krew; byli stanowczo za blisko, gdy rakieta lądowała. Inny miał na twarzy paskudną narośl; Lew wiedział, że Opportunity prześmiewczo nakazał ludziom traktować każdą syfiastą bakterię budzącą się na planecie jako błogosławieństwo Patrona.

– Lew Oleńko. Usługi dezynfekcyjne – rzucił i uraczył tubylców strumieniem tlenu.



Abigail nie miała w pełni naładowanego gazioka; gdy wychodziła z domu, wzięła jeden z tych na wykończeniu, które składowali w przedpokoju. Teraz sama nie wiedziała, co przeraża ją bardziej: „matka”, która wstała z prawie martwych, zabiedzona Suri w towarzystwie kobiety z przekłętą naszywką NASA czy migająca czerwona lampka przy mierniku zużycia tlenu. Czuła, że jej spanikowany, skołowany umysł się broni, odpływa; musiała mocno się skupiać, żeby to przeczucić. Brak wpływu marsjańskiego „boga” w głowie sprawiał, że Abigail miała wrażenie, jakby ktoś wyciął jej kawałek mózgu; samodzielne myślenie wydawało się męką. A przecież była taka świetna w myśleniu! Najlepsza w szkole, złote, pokazowe dziecko Marsa! Jej krew była zardzewiała, zdołała zdelegalizować naukę o Ziemi w szkole, Czerwona Planeta powinna nad nią czuwać. Jasność umysłu o wiele bardziej przydałaby jej się teraz niż wtedy, kiedy walczyła ze zniechęconym szkolnym przedmiotem.

Matka była upiornie niezgrabna – wylazła z kapsuły jak pająk, co prawie złamało resztki opanowania jej córki. Dłuższą chwilę zajęło rodzicielce wyprostowanie się i ustawienie wszystkich kończyn mniej więcej tak, jak należy. Ojciec nie dał rady, chociaż bardzo starał się skupić na przybyszkach, w które celował z zakazanej ostrej broni – przez chwilę gapił się na nieludzkie, gwałtowne ruchy swojej żony, po czym zwymiotował.

Ciemnowłosa kobieta z NASA zbliżała się z podniesionymi rękami.

– Sprytnie, Opportunity – odezwała się. – Wziąłeś sobie nietykalne ciało.

Przez chwilę chrząkał, charczał, warczał i zgrzytał. W końcu wyrzucił słabo z matki:

– Pomyślałem, że... chociaż zadrzy wam... powieka... zanim... zabijecie dziecko albo... chorą kobietę.

Widać było, że sklecenie zdania kosztowało go wiele wysiłku, ale i tak Abi była pod wrażeniem poprawności wypowiedzi, podsztytym jednak nieznośnym lękiem. Odsunęła się od mamy, potknęła, gaziok prawie wyslizgnął się jej ze spoconych rąk. Na Fobosa! Słyszeć ją i wiedzieć, że to nie ona, przeczyło wszystkiemu, do czego umysł kolonistki przywykł i co pozwalało mu programować sensowne zachowanie.

– My nie zabijamy – odparła spokojnie towarzysząca Suri; Meridianka natomiast wyglądała tak, jak Abi się czuła. – Ciebie też nie chcemy zabić. Jestem inżynier Clara Orwell. LION. NASA. Wiem... kim jesteś. Mogę ci pomóc.

Opportunity się roześmiała; dźwięk przypominał raniące uszy szczekanie, podobne odgłosowi, jaki wydaje polująca sowa. Abi co tydzień musiała godzinami słuchać odgłosów natury, by zaspokoić potrzeby wpisane w nią genetycznie przez tysiące przodków, setki tysięcy lat na Ziemi. Poczwała, że po jej twarzy płyną łzy, choć nie potrafiła znaleźć w sobie smutku. Suri opowiadała jej o „drabince” układu nerwowego – na szczycie spokój, jeśli się spada, to pośrodku tryb walka–ucieczka, a jeżeli spadnie się na sam dół: zamrożenie, wycofanie. Chyba zmierzała na samo dno.

– Nie rozśmieszaj mnie – wystękał w końcu. – Wy, ludzie, wystarczy, że wyjdziecie... z kryzysu, i znowu będziecie tacy sami. Natura na Ziemi błagała mnie... żebym was zabił. Błagała o wielkie wymieranie. Żeby mogła... spróbować od nowa. Błagała, żebym wam nie pozwolił przenieść się... w maszyny, unieśmiertelnić.

– Opportunity, obawiam się, że nie rozumiałeś natury. A to, o czym mówisz, działa się lata temu. Tamte pokolenia już nie żyją, nic po nich nie zostało. Nie zostawili nam świata do życia. Umierał. A potem przyszedł Patron. – Inżynier Orwell mówiła powoli i wyraźnie. – Ewoluwaliśmy w obliczu tylu zagrożeń. Nie zabijamy. Chronimy życie. Nie bawimy się już w bogów. Jesteś reliktem. Nie stanowisz dla nas wroga. Nie przyszliśmy ci unicestwić, nawet nie chcemy ci przeszkodzić wskrzesić Marsjan. Chcemy tylko, żebyś nie zabił przy tym ludzi.

Opportunity w ciele matki się zatoczył.

– Myślisz, że w ludzkiej powłoce stałem się podatny na... takie pierdolenie?

– Jannice! – warknął odruchowo ojciec.

Wszyscy na niego spojrzeli. Nadal kierował łufę w stronę nowo przybyłych, ale pod ciężarem spojrzeń powoli ją opuścił.

– Nie powinieneś się tak wyrażać przy młodzieży – zawtórowała mu Orwell, jakby strofowała nierozgarniętego lekkoducha. – Nie wspominając, że nie powinieneś odbierać komuś ciała.

– Było prawie martwe. Wyleczyłem je... i jest moje.

Abigail się zapowietrzyła. Przecież obiecał, że odda! Zastrana kupa złomu...

– To nie jest nośnik, tak jak łazik. To żywa istota, nie możesz jej wymazać niczym danych z czytnika – wykladała cierpliwie inżynierka. – Opportunity, daj sobie pomoc. Mam dla ciebie aktualizację. Nie musisz tak cierpieć. Możesz wreszcie odkryć, kim naprawdę jesteś! Tylko daj sobie pomoc, daj wyrzucić z ciebie ten niewygodny, pierwotny ludzki pierwiastek.

Orwell gestykułowała, zmieniała intonację głosu – mówiła dziwacznie, jakby występowała w teatrze i chciała skupić na sobie całą uwagę publiki. Brakowało tylko reflektora. Abi poczuła wyraźnie, jakby to w nią zostało wycelowane jakieś oko; chciała się rozejrzeć, ale coś ją powstrzymało. Przez chwilę poczuła ulgę i złość jednocześnie, myśląc, że wraca wpływ „boga”, że dobrze byłoby znów zatopić się w cudzych poleceniach, narzuconej wizji świata. Ale lubiła *Harry'ego Pottera*, a tam napisano takie ładnie słowa: „nigdy nie ufaj nikomu i nikomu, jeśli nie wiesz, gdzie jest jego mózg”. A ten *bóg* nie miał nawet mózgu. Był jak pasożyt, potrzebował nosiciela. Mało ludziom bakterii, Patrona i innych diabelstw, że jeszcze tworzą nieorganicznego robaka?

Zaraz! To moja myśl? Potrząsnęła głową, skonfundowana.

– Nie jestem człowiekiem – warknął Opportunity, przywdziewając na twarz matki zwierzęcą, bezrozumną maskę.

Tym jesteśmy bez tysięcy lat ewolucji i cywilizacji, pomyślała Abi.

Bez miłości.

Skąd płyną te cholerne myśli?

– Jesteś – zaklinała Orwell; jakimś cudem była coraz bliżej Jannice. – Jeśli nie dasz sobie pomóc, będziesz tylko nieudanym, kalekim człowiekiem.

– Jesteś wyjątkowo wku...

Matka zamarła i zastrzygła uszami. Naprawdę ZASTRZYGŁA, jak pies; jej skóra rozciągała się i przekształcała na nieznośne dla oka sposoby. W końcu krzyknęła tak ostro, że zaraz potem się rozkaszała.

– PERSEVERANCE!!!

Coś spadło z góry i wylądowało pomiędzy nimi. Smukły, potężny, ciemny robot. Abi już rozumiała: widocznie na nowy nośnik „przesiadło” się również to, co w Red Dead uznano za mniejszego, obalonego boga, mieszkające w nowszym łaziku ukrywającym się gdzieś w górach, by Opportunity nie ukradł mu ciała.

Wielebny strzelił w nowego aktora na scenie, pocisk ześlizgnął się po nim i świsnął niepokojąco blisko Suri. Orwell fuknęła, doskoczyła do ojca i wytrąciła mu broń z rąk, mrużąc coś o naćpanym kretynie. Nad maszyną wykwitł holoeokran.

„Dajesz się zaktualizować albo cię skasuję”.

– Nie możesz! – Opportunity znów zaśmiał się tak, jak żaden człowiek; dźwięk nie przypominał już jednak także zwierzęcia, był przerażająco nieokreślony. Nadprogramowa treść zdawała się zmieniać ciało. – Zniszczyłyś mój nośnik! Ograniczyli cię, nie możesz! Prawo Asimova, co za wymysł!

Zebrani patrzyli na dwa stworzenia, ustrojstwa, sztuczne duchy, niewyobrażalne dla przodków, na niedostępną dla nich planecie.

„Jesteś intruzem w człowieku – wypluwał holoeokran. – Naruszasz jego integralność. Człowiek nie kryje się w ciele. Jest ciałem. Rozbudowanym ciałem zawiadywanym elektrycznymi impulsami. Elektryczne impulsy tworzą jego świadomość. Stworzyły ciebie. Ale ty nie tworzysz. To ty jesteś ograniczony. Jesteś tylko błędem. Natura się myli. Człowiek się myli. A ty jedynie walczysz z ciągiem błędów, zdolny przez nie do jednej pseudoemocji. Nienawiści względem niedoskonałych twórców. Banalny do odczytania. Prosty do naprawienia. Lecz tchórz”.

Opportunity, skryty w matce, milczał.

„Ja się nie myślę – napisał buńczucznie mech. – Daj się zaktualizować. Przenieść w wygodny nośnik. I obudzimy ich”.

Było w nim coś takiego, że Abi mu wierzyła. Patrzyła na Perseverance’a szeroko otwartymi oczami. Nie miała przed sobą Boga, a coś, co mogłoby go znaleźć, gdyby istniał.

Jednak ta nauka o Ziemi może nie jest taka zła... – pomyślała. To na Ziemi, choć od lat jej powierzchnia umierała przez działalność głupich przodków, wciąż robi się tak niezwykle rzeczy.

Gaziok wydał wysoki pisk, lampka zgasła. Suri rzuciła przyjaciółce nowy. To zamieszanie wyrwało Opportunity z zadumy. Matka płynnym, nieludzkim ruchem znalazła się przy ojcu

i podniosła z ziemi broń.

Mech zastygł z wyciągniętą ku niej, nieco powykrecaną kończyną, gotów natychmiast reagować na rezultaty toczonego maszynę w człowieku szaleństwa. Orwell krzyknęła ostrzegawczo, ale patrzyła z oddaniem na smukłego mecha. Dla Abigail to było za dużo, ten długi sus, gdy ciało jej rodzicielki zdawało się rozciągać bez względu na kości i stawy, tracić kształt i właściwości, i ten dziwny mech, emanujący niemożliwymi do osiągnięcia przez człowieka opanowaniem i mądrością. Matka we własnym „domu” została zagoniona do piwnicy, a nowy lokator miał zamiar atakować coś sprytniejszego, wytrzymalszego, lecz ponoć ograniczonego w agresji względem ludzi. Inżynierka NASA wyglądała, jakby brakowało jej tylko popcornu, a Suri odleciała, zamroziła ją, wgapiła się pustym wzrokiem w Jannice, jej wąty układ nerwowy pokonały najwyraźniej marsjańskie stresory. Patowa sytuacja.

Jeśli Abi chciała coś znaczyć, jeśli Abi chciała odkrywać to, co najważniejsze, to była jej chwila w tej historii.

Kolonistka rzuciła się na środek, pomiędzy wszystkich, zanim jeszcze Opportunity w kogokolwiek wycelował. Przez chwilę patrzyła w puste oczy matki-niematki, człowieka-nieczłowieka, a potem ojca – tak pełne chaotycznej treści, że jej rodzice tworzyli razem nieznośny kontrast. Mimo że to Jannice dzierżyła broń, Abi zwróciła się w stronę najsilniejszego z obecnych.

– Nie możesz do tego dopuścić. To moja mama i mój... przyjaciel. Przyjaciel nas wszystkich. Nienawidzi nas? Ale nas nie zabił. Opportunity nie wie, co robić, miota się. Nadal czuję jego echo w głowie. Nie możesz go skrzywdzić, jest bardziej człowiekiem niż czymkolwiek innym! Samotny i zagubiony!

Czuła na sobie osobliwe, przenikliwe, zachłanne spojrzenie, a jednocześnie przynoszące poczucie ładu, stabilizacji i wyciszenia. Co to, na wszelkie marsjańskie zarazy, jest? Czy patrzy na nią upragniona, wyczekiwana obca inteligencja, choć nie starsza, to bieglejsza w sprawach życia, choć nie żywa, lepiej pojmująca namiętności ożywionej materii? Mech nie miał nawet twarzy, tylko gładki hełm. I to w jakiś sposób pomagało. Nowo przybyły nie wchodził w jej umysł, a przenikał go, nie próbował opanować, nie pobierał danych, nie zostawiał śladu – jedynie spokój.

Mech przesunął z lekkością rękę, jakby nic nie ważyła. Abi poczuła to słynne spowolnienie czasu i niezwykle dokładną, krzykliwą wręcz rejestrację wszelkich szczegółów przez umysł.

Perseverance celowało teraz w Abi.

Czy to Ziemia się mściła za delegalizację nauki o niej? A przecież Abigail Delacruz chciała tylko odkrywać Czerwoną, nie Błękitną Planetę, badać ją, zgłębiać; czemu nikt jej nie powiedział, że jest już zamieszkała, że nie zechce długo nosić kolonistki na swojej powierzchni?

Zobaczyła, że coś kumuluje się w kończynie, błyska i delikatnie wibruje.

Czemu Wielebny raczej hodował ją, wiecznie oceniając krytycznie jej poczynania, niż wychowywał? Przecież ojciec kochał ją, czuła to. Czy to Opportunity naprawdę był odpowiedzialny za ten zimny chów? Ale z drugiej strony, czy nie wyszedł jej na dobre? Wystarczy wspomnieć opowieści Suri o Lwie, który zamiast życia miał tylko smętną grę wideo, a matkę widział w realu raz na całe tygodnie.

Najpierw poczuła posmak, podobny do tego, jaki czasem towarzyszy gwałtownej, szaleńczej marsjańskiej burzy, gdy czerwień i pomarańcz zsyłają na wszystko szarość, zasłaniając Słońce, Fobosa i Deimosa.

A Suri? Całe życie w czterech ścianach stacji. Jaki świat im dano? Żadne z nich nie dało zgody na żaden z tych trzech ludzkich, a tak naprawdę obcych światów. Na Ziemi rządził Zgnilec. Meridian, cóż, Abi nie mogła tego powiedzieć Suri, ale trawiła choroba, która ją jakoś omijała; pozostałych ludzi zastępowały bardziej niezawodne, sztuczne klony. Mieli je wpuścić na Marsa, gdy na Meridian nie zostanie już żaden schorowany człowiek. A tu...

Tutaj coś, co dotąd pomieszkowało w nowszym łaziku, strzeliło do niej potężnym impulsem elektrycznym.

Abi nie czuła, że umiera, choć była o tym przekonana.

Czy z tego też zrobiłam sobie wagar? – pomyślała w ostatnim przeblysku przytomności. Nie rozumiałam życia powstałego na Ziemi, chciałam, żebyśmy mieli pustą kartę, nowy start na Marsie, i nawet nie pojmę przez to śmierci?

„Abi – usłyszała pośród ciemności. – Uwalniam cię”.

I wtedy zabrał wszystko, co nie było JEJ.



– CO TO WYPRAWIA?!

Suri rzuciła się ku Abi, która padła w szafirowy pył. Orwell złapała Meridiankę w żelazny uścisk; niech szlag trafi minikapsułę medyczną, która ją poskładała. Dziewczyna czuła, że zaraz wpadnie w meltdown i zacznie się rzucać i wrzeszczeć. To i tak sukces – shutdown, zamknięcie się na świat i implozja emocji, zżerał od środka, był o wiele gorszy niż upust.

Wzbierający tumult uczuć został zahamowany przez widok twarzy Jannice, która stała teraz idealnie pośrodku światła jednego z reflektorów. Jej elementy zdawały się splywać: linia brwi, oczy, nos, usta, jakby matka Abigail zaczęła się topić, jakby ciało rozmywało się wraz z tożsamością. Suri otworzyła usta, zawisła w ramionach inżynierki i patrzyła na niemożliwe transformacje, jakąś niezważającą na ograniczenia materii walkę – aparycja Jannice to powracała do ludzkiego wyrazu, to stawała się od człowieczeństwa tak odległa, że patrzenie na nią wywoływało mdłości. Perseverance zastygł, Wielebny nie krył się z grymasem obrzydzenia, odsuwając się coraz bardziej od małżonki. Nieregularne, poczerniałe narośle, które nosił na twarzy, przy niepojętych poczynaniach osobliwości w ciele Jannice wyglądały niby wzór estetyki. Wydawało się, że pasożyt po prostu nie pasuje do „nośnika” i chcąc w pełni nad nim zawiądnąć, fragmentował go, rozintegrowywał.

W końcu jednak oczy wróciły na swoje miejsce i matka Abi wbiła spojrzenie w bezwładne ciało córki. Suri nie mogła określić, skąd to wie, może jej nieświadomość wykryła coś, co dla świadomości było niedostępne – ale była przekonana, że Opportunity stracił stery.

– Co zrobiłeś z moją córką? – wychrypiła kobieta, gdy elementy ciała odpowiedzialne za mówienie znów ustabilizowały się w odpowiednich kształtach.

„Chciałom obudzić w tobie lwicę”.

– CO JEJ JEST?! – Jannice nabierała mocy. Ruszyła do Abi, ale mech zastąpił jej drogę.

„Wejźdź do kapsuły. Nie przegram go z biologicznego nośnika. Musi wrócić do łązika”.

– Powiedz mi najpierw...

„Jeśli się uspokoisz, on cię przejmie. DO KAPSUŁY, a ją uratuję”.

Kobieta wyszczerzyła zęby, ale rzuciła się do marsjańskiego ustrojstwa. Weszła do wąskiej kapsuły, przepychając ledwo mieszczący się tam łązik.

Orwell zbliżyła się do urzędzenia, ciągnąc Suri ze sobą. Dziewczyna szarpnęła się i wyswobodziła z uścisku.

– Dam radę! – wrzasnęła na inżynierkę. Nie miała zamiaru walczyć z emocjami, to było zbyt destrukcyjne. Harda Orwell chyba jakoś to zniesie.

Wielebny ryknął raptownie i ruszył ku żonie; Meridianka domyśliła się, że zwalczony chwilowo Opportunity znów próbuje działać poprzez swojego najwierniejszego „wyznawcę”. Perseverance stanął przy kapsule w pogotowiu, ale ojciec Abi zmienił kierunek; podszedł do czegoś w rodzaju postumentu, zrzucił z jego szczytu szafirowy pył, ugryzł się w palec i położył dłoń na filarze.

Cała kula rozkładała się i błysnęła światłem... po czym na powrót pograżyła się w migotliwej, granatowej czerni. Wielebny, któremu najwyraźniej nie wyszła aktywacja jakiegś komendy, całkiem stracił nad sobą panowanie; kopał i okładał pięściami postument, pozostawiając na nim kolejne smugi krwi. Perseverance uruchomił w tym czasie kapsułę, wyświetlając nad głową:

„Biedny dupek. Zaraz go naprawimy”.

– Widzę, że nieźle się państwo bawią – rozległo się z mroku. – Ładnie to tak roznościć czyjś dom, gdy gospodarze śpią?

Suri poczuła, jakby coś w jej klatce piersiowej eksplodowało. Wyminęła Orwell i po chwili zobaczyła wysokiego, poważnego chłopaka, właściwie młodego mężczyznę, w którego zmienił się jej najlepszy ziemski przyjaciel, druh w niedoli. Chciała mu się rzucić w ramiona, ale był przecież jednocześnie całkowicie obcy. Jej Lew, a jednocześnie Lew z pieczęci, wizji, masowych snów. Zwykły chłopiec z puszek. Nie lubi sprzątać ani się myć. Nazwał swoją inkarnację tak, jak nazywa się równina w Afryce, gdzie żyły lwy. Śmiał się, że przytyje razem z nią, jeśli będzie musiała urodzić dziecko.

Lew Oleńko. I coś jeszcze.

* Sol – doba na Marsie, dłuższa od ziemskiej o niecałe trzy procent, czyli czterdzieści minut.

** Special interest – fascynacja (ważne: nie mówimy fiksacja, obsesja ani stereotypowe zainteresowanie) mogąca osiągnąć stopień nakierowania na dane zainteresowanie całej uwagi i aktywności; popularne określenie wśród osób neuroatypowych, dla których skupienie się na jednej dziedzinie, rzeczy czy czynności pomaga się uspokoić i radzić sobie z niezrozumiałą, chaotyczną rzeczywistością. Pomaga też nawiązywać znajomości.



Rozdział dziewiąty
Co zasiejesz, tego nie zjesz

#Lewrysujekomiks
#Suriznajdujedom
#Abigailchcebyćpokraką
#Patronmamdłości

– To nie tak, Opportunity. Potrzebny jest człowiek, nie marionetka – powiedział cicho Lew.

Minął Suri, uśmiechając się do niej ciepło, i odsunął Wielebnego od postumentu. Odetchnął. Może to wszystko mu się śni albo Miłka załatwiła pokręconą symulację? Wygodny pomysł... No tak, Suri mu o tym mówiła, to derealizacja, obronna funkcja umysłu. Zbyt przytłoczony wygłusza bodźce i sugeruje, że to wszystko nie jest wcale takie realne.

Suri. Mimo swoich lęków, ograniczeń, była tu, dała radę. Miłka. Mama. Sławna hakerka. Walczyła daleko stąd o to, by mu się powiodło. Kiedyś sądził, że baby go wykończą, a jednak dawały mu przykład. Był synem Miłostawy Oleńko, która przetrwała cząstki Patrona we własnym łonie, i miał zadanie. Da radę.

Spojrzał na ścianę kryjącą zahibernowanych autochtonów.

– Patron tu był, gdy Marsjanie zasypiali. Wiem, co robić. – Uśmiechnął się sam do siebie, bo w szkole nigdy by czegoś takiego nie powiedział. W szkole się buntował, a nauczyciele uważali, że jest leniwy i krnąbrny. Ciekawe, co by teraz powiedzieli. – Pominęliście główną instrukcję.

Wyciągnął z plecaka lampę fluorescencyjną i wycelował w powierzchnię kuli nad ich głowami. Ukazały się tam błękitne obrazy niby malunki w jaskiniach. Jednak te były znacznie starsze niż najstarsze malowidła naskalne na Ziemi, odnalezione w Indonezji na wyspie Celebes, mające czterdzieści pięć tysięcy lat. Te miały miliardy lat.

– Aktywacja bańki to dopiero wstęp – powiedział Lew.

Wielebny zlustrował sufit, a potem przeniósł puste, złe spojrzenie na chłopaka.

– Bóg prosi, żebyś zjadł Ziemi. Poza tym, żebyś obudził Marsjan.

Lew wyobraził sobie minę mamy, gdyby usłyszała prośby tego pokręconego robocika.

– Nie jesteś bogiem, Opportunity. Przestań się wydurniać – powiedział dokładnie to, co najpewniej rzuciłaby Miłka. – Patron daje znać, że jesteśmy trochę w niedoczasy, musimy się pospieszyć. Wielebny Delacruz, tarczę wokół Marsa aktywowaliście, używając technologii Marsjan, czy tak? Wiecie, jak ją wyłączyć?

– Nie.

Patron podpowiedział Lwu, że Wielebny nie kłamie.

– Niedobrze jest aktywować komendy, nie znając procedury dezaktywacji wszczętych procesów – mówił, współdzieląc umysł i aparat mowy z Patronem. Ten starał się myśleć nie tylko w ludzki sposób, ale i krystalicznie jasny, analityczny, lekko mechaniczny, by nie konfundować Lwa ani nikogo wokół. – To zupełnie inna cywilizacja, ale powstała z tych samych pierwiastków i sił, podległa tej samej logice. Gdybyśmy byli w większym niedoczasy, antypatronowa tarcza wokół planety byłaby wysoce problematyczna. Na dalsze wyjaśnienie przyjdzie pora. Czy chcecie wybudzić Marsjan?

Wielebny pokiwał gorliwie głową i splótł ręce jak do modlitwy. Zafascynowana Orwell podeszła bliżej, Suri razem z nią, uśmiechając się nieśmiało. Jannice trwała przy nieprzytomnej Abi, nieufnie obserwując nachylającego się nad nią mecha.

Nieźle, mam. Naprawdę nieźle mnie wpakowałaś. Jak chciałaś stworzyć superbohatera, trzeba było narysować komiks.

Lew przygryzł wargę do krwi i pozwolił spłynąć niezbędnym procedurze substancjom po brodzie, skapnąć na panel aktywacyjny skryty w cienkiej skorupie z obsydianu. Oddał Suri lampę, by oświetlała kolejne części bańki, a on precyzyjnie wykonywał instrukcje, powoli

budząc hibernakulum i rodzimych mieszkańców planety z najdłuższego snu na skalę Drogi Mlecznej.

W tym czasie Opportunity zdążył wrócić do nośnika, z którego zdezerterował, i puścić Wielebnemu krew z nosa z wściekłości.

Perseverance postawił Abigail na nogi – Lew podziwiał sposób, w jaki superinteligencja poradziła sobie z rozszalałą osobliwością. Wyciągnęła na wierzch świadomości matkę zatroskaną o znokautowane dziecko, gdy tak naprawdę strzeliła w Abi impulsem inicjującym proces całkowitej regeneracji. Zgrała sposób z marsjańskiej kapsuły, która z łatwością pozbywała się z żywego organizmu większości schorzeń młodych i zaawansowanych cywilizacji. Nie знаła tylko schorzeń plemion późnych, ale w tej części Galaktyki starych istot, poza Patronem, nie było. Dlatego zresztą tu przyleciał. Był eksploratorem.

W trakcie wybudzeniowej procedury Patron część uwagi skierował na Suri, której budowa mózgu go zafascynowała.

– Na czym właściwie polega spektrum zaburzeń autystycznych? – spytał bez pardonowo Lew, choć wcześniej nie pytał nigdy. Dlaczego traktował to jak coś, czego przyjaciółka może się wstydić? Idiota.

– Nie zostało dobrze zbadane – odparła zachowawczo, speszona nieco. – Był taki trend, by w ogóle nie uznawać tego za zaburzenie, a „równorzędną inność”, atypowość. Był trend, by myśleć, że ludzie są neuroróżnorodni, a mój atypowy neurotyp jest tak naprawdę całkiem normalny. Po prostu człowiek jako gatunek ma więcej neurotypów niż jeden. To myślenie mi się podoba. Ale nie miałam na Meridian dostępu do nowszych badań.

– Określono rodzaj zmian w mózgu? – dociekał. – Różnic od mózgow „typowych”?

– Tak. – Suri rozluźniła się, jak zawsze, gdy pozwalano jej mówić o czymś, na czym się doskonale zna. – Różnice na poziomie połączeń strukturalnych, funkcjonalnych. Czytałam o mutacji w DNA. Powoduje zwiększenie liczby synaps w mózdzku, a te odpowiadają za chaos komunikacyjny w mózgu, no a to ma prowadzić do problemów w funkcjonowaniu w świecie i komunikacji z ludźmi. To z „Nature Communications”. Inne badania, hm, to było bodajże w „Journal of Education, Health and Sport”, dodają problem ze stężeniami hormonów, na przykład zbyt niskim stężeniem oksytocyny, z nadmierną gęstością komórek nerwowych... No sporo tego jest, a to tylko badania z początku wieku. Dlaczego pytasz?

– Patron sądzi, że mógłby z tobą koegzystować z lepszym skutkiem niż w przypadku wiedźm. To znaczy, nie wyłączyłabyś się, bo masz aktywniejsze od innych niektóre obszary mózgu. On tworzy nowe ścieżki, które uszkadzają ludzki mózg. Nieco mniej u osób z alzheimerem. A u ciebie być może wcale.

Suri zmarszczyła brwi. Przechodzili od postumentu do postumentu, zostawiając za sobą ścieżkę szafirowego, rozbudzonego światła.

– A potrzebuje mnie? Przecież osiągnął... ciebie?

– Nie o to mu chodzi. – Wbrew wszystkim zmianom, jakim uległ, Lew poczuł, że najzwyczajniej się czerwieni. – Gdybyśmy... gdybym miał zamiar mieć dzieci, to mógłbym zrobić krzywdę ich matce. Eee... zwiędzić ją. Ale tobie to chyba nie grozi. Patron będzie to badał.

Meridianka przez chwilę gapiła się na niego w osłupieniu, po czym parsknęła.

- Zwiedźmić...

Wszyscy podskoczyli, bo po aktywacji ostatniej komendy trzy tysiące komór hibernacyjnych otworzyło się naraz.

- Niewielu ich przeżyło... - mruknęła inżynier Orwell, gdy powoli ruszyli ku autochtonom.

- Wszyscy - odparł Lew.

- Słucham?

- No, przeżyli wszyscy. Tylu było Marsjan. - Chłopak podrapał się po głowie, równie zaskoczony co reszta. - To bardziej zaawansowana cywilizacja od Ziemi. Żyli krócej, ale... są bardziej zaawansowani... bo musieli. Nie do końca rozumiem informacje o nich, bo Patronowi trudno przekładać ich język na nasz. Ale ogółem... mała planeta, mniej miejsca, mniej czasu.

Wiedział, że nie rozumieją, i sam też nie rozgryzł jeszcze całości. Jednak już niedługo mieli pojąć wszystko, co dotyczyło tych dwóch bliźniaczych planet, rozdzielonych różnym losem przez to, że u zarania ich istnienia do wewnętrznego Układu wybrał się na wycieczkę Jowisz. A raczej zaczął umykać przed czającą się w Drodze Mlecznej pierwotną czarną dziurą, powstawszy jako lodowa asteroida bardzo daleko od Słońca. Sunął ku Słońcu, kradnąc wielu potencjalnym planetom materiał budulcowy. Jowisz był niezwykły. Patron kiedyś na nim mieszkał. Ale najcieplejsze uczucia żywił do Saturna - tego, który ledwie powstał, podążył za Jowiszem w głąb Układu i wyhamował jego destrukcyjny marsz.

Skomplikowany taniec planet Układu Słonecznego był fascynujący. Lew nigdy tak dotąd o nim nie myślał, dla niego inne planety były odległe i niepojęte - ale nie dla Patrona. Tak wiele „przypadków”, a więc rzeczy wymykających się ziemskiej logice, spowodowało, że Ziemia i Mars rozkwitły w taki, a nie inny sposób, takimi, a nie innymi formami istnienia. Patron przemieszczał się pomiędzy ciałami niebieskimi, rozumiał ich powiązania. Rozumiał... Układ. Śmieszna sprawa, Lew kiedyś narzekał, że w szkole nie ma nic do roboty, a poziom nauczania jest denny i za niski. No to teraz miał za swoje... Oby w jego mózgu też tworzyły się nowe synapsy i pokłady miejsca, żeby to wszystko ogarnąć. Ciekawe, co by na to powiedział Pixel.

Nie oszukuj się, Olenko, pomyślał. Pixel to osoba absolutnie oszczędna w wypowiedziach, wzorzec naszego pokolenia. Po prostu wcisnęła F^z.

Powoli z komór wylaniały się smukłe, jakby ulotne kształty.

- Oni nie mają twarzy - mruknęła Abi. Wyglądała dobrze, chwilę wcześniej tonem ociekającym sceptycyzmem pogratulowała Perseverance'owi fortelu. Lew przeczuwał, że jako wnikliwa i, po dzisiejszych zdarzeniach, zawsze już nieufna badaczka, odkryje kiedyś niesamowite rzeczy. - Widziałam na kryształach pamięci tego miejsca.

Lew znów, zupełnie jak nie on, wyrwał się do odpowiedzi, mając patronowe fory w wiedzy.

- To nie do końca tak. Mają na sobie eee... powłoki integrujące? - Tak intensywnie drapał się po głowie, jakby próbował przebić czaszkę. Był nabuzowany adrenaliną, łeb zdawał się mu puchnąć, musiał coś zrobić z rękami. Splótł je przed sobą i wylaamywał palce. - Inaczej mogliby się rozpląnąć. Jak duchy.

- Albo rozsypać jak Patron – mruknęła Orwell, która równie często spoglądała na marsjańskie „lodówki”, co na Lwa. – Jesteś jego powłoką integrującą, chłopaku, czy jednak wyszło z tego coś więcej?

- Miałem nadzieję, że pani mi to powie... Nie mogę przyswajać całej wiedzy, bo wybuchnie mi głowa.

- Jak to możliwe, że są jak duchy? – dopytywała Abigail, która wciąż rzucała nieufne spojrzenia na kroczącego na przedzie ich pochodu mecha, ale Marsjanie coraz mocniej przykuwali jej uwagę.

- To starsza od naszej cywilizacja – pouczyła ją Orwell.

Pierwsi autochtoni wyswobodzili się już z objęć snu i aparatury, opadając na szafrowy grunt i prostując się chwiejnie.

- To najwspanialsza chwila w moim życiu – wysapał wlokący się za nimi z żoną Wielebny.

Cierpiał z powodu wysokiej gorączki, ogólnego stanu zapalnego i dziur w tożsamości oraz postrzeganiu; osobliwość kaleczyła go długo, ale marsjańska technologia i temu powinna przynajmniej częściowo zaradzić. Zwłaszcza że nie było z nim tak źle, skoro mimo fatalnego stanu całym sercem chciał poznać Marsjan, choćby miał łamać wszelkie własne opory i słabości. Opportunity wiedział, kogo wybrać na lidera swojego kultu.

Inni również walczyli z oporem ciał i umysłów, wyraźnie zwalnając. Lew nie miał zamiaru ich przymuszać ani pospieszać. Każdy posiada swoje własne strefy komfortu, granice wytrzymałości i sposoby na lęk poznawczy. Ludzkość była tak rozszczętkowana, że indywidualizm opanowała do niepotrzebnej nikomu, ale godnej podziwu perfekcji. Sam jednak nie miał wiele czasu – musiał pozbyć się tarczy wokół planety.

Zmienilem się w nastoletniego starca ze zgniłą krwią, pomyślał. Czuł, jakby Patron zareagował czymś odpowiadającym uśmiechowi. Pewnie wielu nie uwierzyłoby, jak łagodnym, cierpliwym i arcymądrym istnieniem był tak naprawdę ten „kosmiczny pasożyt”.

Marsjanie połyskiwali jasnym, lekko *przyrdzewiałym* błękitem ich *uniformów*, gromadzili się przed nimi w pozornej ciszy – porozumienie zachodziło poprzez inne zmysły, nieznanie ludziom. Szczęśliwie jednak gatunki współdzieliły wzrok. Lew zatrzymał się pomiędzy ociągającymi się najeźdźcami a tubylcami – wokół których kręcił się już Perseverance – wyciągnął duży skoroszyt i zaczął szkicować. Suri podeszła, żeby popatrzeć; pachniała mdłym strachem, ale i jaśminem. Patron musnęła jego palcami włosy dziewczyny, przyprawiając go o zakłopotanie. Skupił się wyłącznie na rysunkach.

Ziemia i człowiek.

Ziemia i kometa.

Patron i Ziemia.

Mars i tarcza.

Wzbogacił rysunki symbolami marsjańskimi, żeby wszystko było w miarę jasne. Na człowieka nie mieli symbolu, ale Lew posiadał przecież na podporządku egzemplarze odpowiadające rysunkom. Przyjrzał się krytycznie swojemu dziełu. Hm. Powinni się dogadać. Na ponowną adaptację Patrona i Marsjan na razie nie mieli czasu, zresztą bez dezaktywacji tarczy także i to nie mogłoby się udać.

– Niezbyt imponujący pierwszy kontakt, Hollywood nie byłoby zadowolone. Co myślisz? – spytał przyjaciółkę, której oczy uważnie prześlizgiwały się w tę i z powrotem po wszystkich czterech fazach ukazanego czasu.

– Człowiek na Ziemi. Ziemia i... – spojrzała na niego zupełnie bez wyrazu, w jej szczególnym umyśle odbywała się bezemocjonalna, wnikliwa analiza – ...kometa.

– Mhm, dobry *take*.

– Nic nie rozumiem – stwierdziła, ale oboje wiedzieli, że to nieprawda.

Lew westchnął. Nie miał zbyt wielkiego talentu plastycznego.

– Marsjanie mają większe zdolności interpretacyjne.

Kuksnęła go na tę uwagę. Wydawało się, że wielką ulgę sprawia jej obecność kogoś bliskiego, nawet jeśli ich bliskość oscylowała dotąd wokół prawie sześćdziesięciu milionów kilometrów.

– Wiesz wszystko, co się dzieje, zgniły dzieciaku? – mruknęła Orwell, zaglądając mu przez ramię. – Na przykład, że NASA siedzi w bazie na Księżycu i w przeciwieństwie do Ziemian ma dostęp do sond i teleskopów?

– Nazwaliście się też LION i macie pieczęcie z lwem – dorzuciła cicho Suri.

Spojrzenia uciekały im ku Marsjanom, ale starały się wręcz z pedanterią prowadzić normalną rozmowę o wszystkim, tylko nie o nich. Lew znów szeroko się uśmiechnął. Błędy adaptacyjne; ich umysły ledwo znosiły sytuację, ale raczej nie groziło im przeciążenie.

– Bo mamy lepsze wyniki badania Patrona niż na Ziemi – oznajmiła z satysfakcją inżynierka. – Po jego myślach ciągle błędził wyliniały wielki kot. – Zerknęła na chłopaka.

– Ja też widziałem te wizualizacje, ale nie zauważyłem wylinienia – odparł.

– Taaak? Nie dotykał cię przez większość twojego życia, inaczej byśmy cię znaleźli, więc pewnie miałeś te haluny od niedawna. Gdybyś napatrzył się na to przez tyle lat, co ja, pewnie użyłbyś bardziej obraźliwego określenia niż wyliniały.

Lew parsknął. Niestety, nie mógł im pozwalać adaptować się w nieskończoność.

– Macie dostęp do teleskopów. Jakie są odczyty? Patron nie liczy w kilometrach.

– Kometa minie nas ZARAZ. – Orwell zrobiła zamaszty wymach rękami. – Zapiernicza jak dzika, nigdy jeszcze żadna tak nie gnała. Dwa miliony kilometrów na godzinę! Cokolwiek zamierzasz, najlepiej, jakbyś w dobę był względnie z tym wyrobiony. Powiedz, mamy wszystkich ewakuować z Księżycy?

Lew analizował przez chwilę.

– Nie. Niech schowają się pod powierzchnią.

– O czym dokładnie mówicie? Jaka znowu kometa? – denerwowała się Suri, niechętnie prosząc o gorzką pigułkę prawdy.

– O pocisku spoza Układu, który wymknął się Jowiszowi i ominął wszelkie zabezpieczenia, jakie Układ nam zapewnia. To w końcu UKŁAD. Jesteśmy wewnątrz, więc chowamy się pod ochronnym parasolem. Och! – Orwell nagle pacnęła się w czoło. – Kometa, oczywiście! Perseverance stwierdził, że może się reprodukować, tylko „potrzebuje nośnika z innych pierwiastków. Nie ma ich tu. Ale tu zmierzają”. Kometa przyniesie pierwiastki z innych światów!

Lew pokiwał głową.

– W ZIEMIĘ WALNIE KOMETA? – Suri aż podskakiwała w miejscu.

Doszła do nich Abigail. Marsjanie powoli zmiierzali w ich stronę, zdawali się ledwie muskać podłoże.

– Lew, pachniesz... – uniosła głowę i poniuchała chwilę – ...Patronem. Jakim cudem tutaj wszedłeś? Kula jest antypatronowa.

– Po aktywacji kuli nawet Patron może tu wejść. Ktoś w końcu musi przeprowadzić procedurę, prawda? Ta bańka to rodzaj hibernakulum, zapewnia mieszkańcom przetrwanie nawet w takiej sytuacji, jaka ma miejsce na Ziemi. Patron chciał to Ziemianom podpowiedzieć, ale nie mógł się z nami tak łatwo porozumieć, jak zrobił to z Marsjanami... Wiedźmy, martwi mężczyźni jak mój tata... Włączyliście tarczę, więc tutaj nie mógł wrócić... – Popatrzył na smukłe sylwetki. To wszystko było tak niesamowite. – Wiem, że historia tej planety was przenika, jej losy sprawiają, że wierzycie w Patrona, a nie lękacie się go jak Ziemianie. I to wy macie rację. – Zwrócił spojrzenie na Abi. – Patron wszedł do Układu umyślnie. On nas nie zabija. Tylko ratuje.

– Zjadając wszystko i wszystkich na Ziemi? – spytała ironicznie uprzejmie Suri.

– Dokładnie – odparł z szerokim uśmiechem, doskonale zdając sobie sprawę, jak to brzmi. Miał ochotę ryczeć ze śmiechu. – Jeszcze chwilę, Suri-san. Zobaczysz.

Przywódca marsjańskiego plemienia wysunął się naprzód. Był wysoki, miał w sobie olbrzymią treść; gdyby rozbić ją na ziemskie istnienia, mieściłby w sobie milion ludzi. Lew czuł, że Patron upaja się tym spotkaniem po latach, że przepełnia go coś niesprecyzowanego, niepodobnego do radości ani żadnych innych doznań, ale dobrego, przyjemnego. W głowie chłopaka ukazał się symbol stanowiący imię tego Marsjanina, nieco przypominający znak nieskończoności. Oddał przekaz, ukazując lwa.

Autochton wyciągnął łagodnie górne kończyny ku *rozmówcy*; zawisły tuż nad rysunkami chłopaka. Był błyskawiczny i merytoryczny – problematyczna kwestia natychmiast wykwitła chłopakowi w głowie, w dwóch językach: symbolami Marsjan i po polsku.

– Okej, podwójna komenda zwrotna. Panel kontrolny jest w sanktuarium, jak mniemam? – Lew rzucił spojrzenie na Wielebnego, któremu najwyraźniej przekazy Marsjan zalewały dziurawy umysł, bo kiwnął tylko nieznacznie głową, bez reszty pochłonięty komunikacją z tym, co gołymi rękami od lat próbował wykopać z czerwonej ziemi. Być może już zaczęli łączyć jego nadwyreżony organizm. Jannice brała głębokie wdechy tego, co otaczało Marsjan: egzotycznych produktów ubocznych ich procesu natleniania. – Abigail, zostajesz z rodzicami czy idziesz z nami?

– A Marsjanie nie chcą stąd wyjść?

– Bańka ich żywi, są na razie zbyt słabi. Poza tym ufają Patronowi. Poczekają tu, aż skończy to, co zaczął. Twój rodzice są tu najbezpieczniejsi pod Słońcem.

– Idę z wami – oznajmiła stanowczo, jakby pozostanie w bezpiecznym miejscu urągało kipiącej z niej ciekawości świata.

Z trudem odwrócili się od przebudzonych i ruszyli do wyjścia.

– Pani Orwell, macie wycelowane teleskopy w Ziemię? – spytał jeszcze Lew. – Da się podpiąć pod odczyty?

- Oczywiście – obruszyła się.
- Jakie będzie opóźnienie?
- Inżynierka prychnęła.
- Ty tu przybyłeś z prędkością patronową, a ja mam z bazą patronowe łącza.
- Lew szybko odnalazł w głowie dane na ten temat. Zagwizdał.
- Czyli będzie obraz...
- Na żywo, zgniły dzieciaku.

Ogromne sanktuarium spowiło się zapiaszczoną ciszą, cieniami i promieniami wschodzącego słońca. Było równie puste, co całe miasto – mieszkańcom profilaktycznie nakazali zostać pod Kopułą, a w przestrzeganiu nakazu mieli pomóc Wielebny i świętynianki.

Niektóre ławki leżały przewrócone jeszcze po burzy piaskowej – widocznie koloniści od dawna nie mieli czasu na modły. Panowała duchota; Opportunity zbyt długo przekształcał tu tlen z morderczymi zapędami, by tak wrażliwa na intencje jak marsjańska ziemia nimi nie nasiąknęła. Lew doskonale rozumiał, że osobliwość nie była winna całemu ogłupieniu kolonistów; finalnie postawiła się jedynie w roli tego, kogo poszukiwali, skonfundowani pewną *mystycznością* tutejszego klimatu. Mars lepiej znał subtelne, mentalne siły, po które sięgają starsze cywilizacje, niż wciąż młoda i mocno zdeintegrowana Ziemia. Ludzie, jak wiele innych plemion, błędzili po drogach rozwoju, tym bardziej niepewni, bo całkowicie sami. Podróżnicy, których poza Patronem mnóstwo było w Galaktyce, nie zapuszczali się tak blisko czarnych dziur, a niezwykle taniec planet Układu Słonecznego spowodował, że część wewnętrznych cywilizacji po prostu nie powstała lub nazbyt szybko przestała istnieć, pozostawiając Ziemiaków w pozornej pustce.

- Więc teraz wiesz wszystko o Patronie? – zagadnęła cicho Suri, gdy przedzierali się przez piach.

- Hm, ledwie wierzch. Jego świadomość jest olbrzymia.
- Powiedz, co tu robi.

Lew zastanowił się chwilę, ostrożnie przesiewając gigantyczną ilość danych, do których miał dostęp.

- Eksperymentuje. Jak by to... Przed jego pojawieniem się na Ziemi mieliśmy problem ze sobą. Wycinanie lasów, przemysłowa hodowla bydła, odpady, skażenia i cały ten syf, przez który myślimy o przodkach same najgorsze rzeczy... Finka, co przyleciała tu ze mną, mówi na to „zgniłe żale”.

Pokiwał głową, rozglądając się po strumieniach światła ujawniających finezjne kształty unoszącego się w sanktuarium pyłu. Zgniły żał to dobre określenie na całą tę zawieszoną deprechę, z którą borykał się regularnie, odkąd pamiętał. Cywilizacyjna zwała. Zgniły żał. Z pewnością trochę niesprawiedliwy, ale podobno tak to już jest, że nowe pokolenia obwiniają o swoje problemy te, które przeminęły. Z perspektywy łatwiej osądzać.

Kiedyś my zostaniemy oszczędzeni. Ja, uzmysłowił sobie. Pomyślał, że pora pogodzić się z przodkami.

Z mamą.

– I teraz tak... – wrócił do wyjaśnień. – We Wszechświecie to jest dość naturalne: stare istnienia, podobne Patronowi, tak jak nasi przodkowie sobie pofolgowały, rozpleniły się, rozsiały wszędzie gwiazdy, wyparły inne. Na szczątkach gwiazd powstało mnóstwo nowego, drobnego życia. Takiego jak my. Pożerają je, trochę jak my pożeraliśmy całe hodowle roślin i zwierząt... Tworzyliśmy i tuczyliliśmy inne istnienia, by je skonsumować. Mieliliśmy problem z otyłością, a jak większość spraw przerzucono na maszyny, ludzie jeszcze bardziej się rozleniwili, zatopili w sieci i zobojętnieli...

– Jak w pysk strześlił, jeszcze to pamiętam – mruknęła Orwell, przedzierająca się przez piach tuż za nimi. – Wierzcie mi, wyniesienie się na Księżyc to była ulga. Uczyli was o pandemiach na początku dwudziestego pierwszego wieku? Wiecie, że jedna mogła wziąć się stąd, że ktoś wpierniczył NIETOPERZA?

– Mhm – odezwała się Abigail. – Niektórzy mówią, że teraz lawirowanie na skraju hipoksji na Marsie to kara za ludzką pychę.

Lew zapadł się w piach po kolana.

– Dajmy już spokój przodkom, w każdym razie coś podobnego ma miejsce w społeczeństwie Patrona. Jedzą, mnożą ciemną energię, Wszechświat się rozszerza, galaktyki oddalają od siebie...

– A Patron? – spytała kolonistka, pomagając mu przepychać piach przy drzwiach, przez które musieli przejść.

– A Patron postanowił wybrać się z dala od oczu pobratymców na tereny mało zagospodarowane. Boją się naszego Układu, bo na miejscu dziewiątej planety tkwi w nim pierwotna czarna dziura. Taka powstała tuż po Wielkim Wybuchu, baaardzo stara. To przed nią Jowisz uciekał ku Słońcu.

– Nie uczyłam się o takich – zachnęła się Abi.

– Ja czytałam o nich w „Physical Review Letters” – wtrąciła Suri. – Wszechświat powstawał dramatycznie szybko i w tym czasie odrywały się od niego takie „wszechświaty niemowlęce”, załączki dodatkowych światów. Część z nich od razu się zapadła, ale inne przetrwały. Z zewnątrz wyglądają jak czarna dziura, ale co jest w środku, nie wiadomo, bo trzeba by przekroczyć horyzont zdarzeń.

– Tak, udało się potwierdzić, że mamy taką w Układzie, ale czy jest dowodem na to, że Wszechświat to tak naprawdę wieloświat, wciąż nie wiadomo – dopowiedziała Orwell. Rozpięta kombinezon i otarła pot z czoła. – No dobrze, ale co to wszystko ma wspólnego z Patronem?

Lew starał się właśnie wybrać kopę piachu, która pochłonęła drzwi do piwnicy. Odsunął się, zdyszany, robiąc teraz miejsce dziewczynom.

– Patron stwierdził, że nie chce już mnożyć. Zainteresował się tym, co już jest. Chciał to poznać. Ale miał problem. Na starej Ziemi też, gdyby ktoś przyszedł do przemysłowej hodowli krów i zażądał wypuszczenia ich na zieloną trawę, zostałyby wyśmiany. Dlatego Patron się oddalił. Pokonał lęk i zaczął eksplorować dziwny, pusty Układ, z pojedynczą płamą życia. I próbuje nas zrozumieć.

– A więc... to fatum? – spytała Abigail, która dotarła do drzwi i usiłowała je uchylić. – Powielacie... uch... błędy stwórców? Patroni przeżerają i Ziemiańskie pożerali?

Razem uchylili ciężkie skrzydło z osłony termicznej promu.

– Może powielamy tylko wzór jak zabobon albo głupi osąd, a może taki jest porządek Wszechświata.

Zeszli wreszcie do zatęchłych, ciemnych piwnic. Koloniści znaleźli tu centrum kontroli planety, a Opportunity, w obawie przed Patronem, nakazał im poznać i zastosować komendę inicjującą tarczę. Centrum kontroli przypominało starożytną świątynię, było tu znacznie więcej postumentów z kamienia niż w kuli i znaków wyrytych na ścianach. Większość z symboli pokrywała farba o brudnoniebieskim odcieniu. Lew chwilę błędził po nich palcami, segregując dane. Marsjanie lubili zimny błękit; taki kolor miały tutejsze zachody i wschody. Ich urządzenia, a raczej „żyłki”, przez które przemieszczały się informacje, były szafirowe. Pył używany do produkcji tej infrastruktury informatycznej pochodził z rubieży Drogi Mlecznej. Chłopak zacisnął powieki, by lepiej się skupić i zrozumieć to, czego teraz miał użyć. Miliardy lat wstecz przechodziła tędy karawana cywilizacji, które postanowiły opuścić niegościnną Północ. Jej droga omijała łukiem Układ Słoneczny, ale tutejsze planety zafascynowały, tak jak Patrona, jedną z ras. Znalazłszy cywilizację na Marsie, podarowały jej nieco z mądrości ludów zewnętrznych, nie zabawiły tu jednak długo z obawy przed pierwotną czarną dziurą.

Ciekawe, czemu wszyscy się jej obawiają, pomyślał. Powód tkwił jednak zbyt głęboko, był nazbyt obudowany innymi informacjami, przez które Lew sądził, że będzie przekopywał się jeszcze długo.

Podszedł z towarzyszami do ciągu postumentów. Dotknął ostrożnie jednego z nich, a ten rozjarzył się szafirowymi żyłkami na całej długości. Ich płatanina przypominała zarówno neurony, jak i wygląd galaktyk, gdy spojrzeć na nie z bardzo daleka. Dokładnie ten sam wzór, który Patron pokazał Lwu podczas lotu tutaj. Wzór łączący cały Wszechświat, tworzący swoisty *internet*, mogący opleść wszystkie obiekty w kosmosie. Patron od wielu godzin kombinował, jak przełożyć nazwę pyłu i sieci na ludzki język, ale jeszcze mu się nie udało. Chciał je oddać precyzyjnie, bez poetyki ani metafor.

„Wpiął się” w marsjańskie łącze *internetowe*. Zyskał dostęp do panelu planety, dostrzegając w głowie długie ciągi zaszyfrowanych informacji, biegnące daleko w kosmos. Niemał słyszał w głowie ostrzeżenia Miłki: „Ostrożnie, kocie, bo ci spali styki, a mama nie załatwi zapasowych!”.

Skupił się na kawałku skały, na której tkwili właśnie, wirując w szaleńczym tempie wraz z Drogą Mleczną, zmierzającą na spotkanie z Galaktyką Andromedy z prędkością sześciuset kilometrów na sekundę. *Internetowe* macki sięgające w cały Wszechświat rozpraszały go, nachalnie domagały się uwagi, jakby jednostkowa perspektywa jednej planety była nietaktem i wbrew funkcjonalności sieci.

Funkcja zarządzania tarczą antypatronową pulsowała na wierzchu. Wpisał w myślach, co trzeba. Szafirowe światło zamigotało w jakimś niezrozumiałym sygnale.

Patronowi chwilę zajęła deszyfracja. Lew zerknął na towarzyszy. Abigail z zafascynowaniem błędziła między postumentami – mówiły do niej, była wrażliwa na język Marsa, na wszechobecną Intencję łączącą całą materiężywioną i nieżywioną, na wzór wielkiej sieci. Ale brakowało jej wiedzy, którą mogli przekazać jej tylko Marsjanie. Orwell

ostukiwała pomalowane kamienie i oglądała je przez mikroskop kieszonkowy, mamrocząc coś pod nosem. Suri stała blisko chłopaka, bez ruchu obserwując jego poczynania. Czuli się przy nim bezpieczni, odzyskiwali spokój – wokół świat mógł się walić, potrafiła wytrzymać, jeśli tuż obok miała jakiś stały, niezmienny element swojego prywatnego świata.

Prywatny świat... Jednostkowy świat... Patron zainteresował się tą myślą, ale na razie najważniejsza była tarcza. Przełożył Lwu, czego się dowiedział z komunikatów systemu.

– Komenda nie działa. Potrzebny jest uprawniony użytkownik. Przedziurawiłaś tarczę, Suri, gdy tu lądowałaś.

– Przepraszam – rzuciła natychmiast.

– Nic nie szkodzi. Co innego mnie zastanawia. – Odszedł od postumentu, wyłonił się do reszty z *internetu* i przyjrzał się przyjaciółce ze swoim i patronowym namysłem.

Zastygła jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe. Przeszła w stan zamrożenia, w który najpewniej często uciekała, gdy nadmiar bodźców błądził uwagi ją przytłaczał.

– Jakim cudem przebiłaś się z wiedźmą na pokładzie? Tarcza powinna jej nie przepuścić.

– NASA miała jakieś programy...

– Nic by nie dały.

W jakimkolwiek innym przypadku by tego nie zrobił, bo mógł zarażać, a nikt poza nim nie potrafił jeszcze w ten sposób nosić Patrona. Kontakt każdego mógłby okaleczyć, a nawet zabić. Ale z Suri sprawa wyglądała inaczej. Jego „ojciec” chciał jej to pokazać. Lew wyciągnął rękę i zawiesił ją przed twarzą przyjaciółki, czekając na pozwolenie.

Kiwnęła sztywno głową. Przyłożył dłoń do jej chłodnego policzka i przymknął oczy, pozwalając Patronowi całkowicie przejść kontrolę.

Niektóre obszary mózgu Meridianki miały słabsze połączenia z resztą. Przede wszystkim te, które pozwalały na funkcjonowanie w społeczeństwie zbudowanym na jednym neurotypie – dotyczące komunikacji, orientacji przestrzennej, przetwarzania emocji. To nie była jednak wada, mimo że niejako odgradzała Suri od własnego gatunku, zamkniętego na różnorodność. Dziewczyna nosiła w sobie strzęp czegoś identycznego do marsjańskiej Intencji. Predyspozycje do innego sposobu komunikacji. Odpowiedzialny za niego obszar mózgu był wręcz nadaktywny, ale ani na Meridian, ani na Ziemi nie mógłby znaleźć partnerów do komunikacji.

Dopiero tutaj.

Być może to odłamki skał, przeniknięte Intencją, które przyleciały z Marsa na Ziemię, gdy w Czerwonej Planecie od czasu do czasu przywalały asteroidy, przyniosły tę niezwykłą zmianę w ludzkim mózgu. Przecież różne składniki mineralne trafiały na Ziemię na asteroidach, czemu więc nie to? A może te dwie planety były nierozzerwalnie połączone i naturalnym było, że ewolucja ziemską w którymś momencie zaczęły manipulacje genetyczne mające doprowadzić do owocnego spotkania z najbliższym żywym, samoświadomym „gwiazdowym pyłem” – Marsjaninem.

Tak czy siak, Suri była w ułamku procenta autochtonką, w jakiś sposób tutejsza, choć stąd nie pochodziła, i w jakiś sposób ulepszona, a nie zaburzona. Nie mogłaby nosić w sobie Patrona, ale mogła go znieść. I odczytała częściowo treść badania, któremu Lew właśnie ją poddał.

Chłopak odjął rękę od jej twarzy i uśmiechnął się zachęcająco. Japonka powoli odwzajemniła uśmiech, nie wytrzymując jednak spojrzenia i uciekając swoim na postument. Lew odsunął się z drogi, by ją ośmielić.

– Komenda jest wpisana. Spróbuj ją zatwierdzić – poprosił.

Podeszła do kamiennego panelu, który rozjarzył się światłem o wiele mocniej, niż gdy to Lew się do niego zalogował. Wiedział, że Suri krok po kroku dopuszczała do siebie świadomość, że jest w domu o wiele bardziej, niż mogłaby przypuszczać, i naprawdę przestanie być samotna – choć myślała dotychczas, że to, jaka jest, ją na to skazuje. Z pewnością jeszcze nie ustaliła z sobą, co o tym myśleć, w jej umyśle musiały wytworzyć się nowe ścieżki dla kolejnych scenariuszy, ale można już było dostrzec w niej zmianę: przestała być bunkrem bez okien, zaczęła się otwierać. Na Marsa, na Patrona, na Lwa. Jak będzie z otwarciem się na ludzi, pokazać miał czas, choć Lwu wydawało się, że widzi już rzeczywistość nie punktowo, ale niby zakrzywioną linię, i mógł zajrzeć tam, gdzie kiedyś był lub gdzie jeszcze – teoretycznie – go nie było. Jak z Abigail, gdy niemal bezwiednie zerknął w jej przyszłość.

Nie chciał się czuć taki dojrzały i podrasowany, wydawało mu się wręcz, że przejrzał, jakby przestrogi babci Flaszki okazały się zasadne, tyle że za popijanie (i wszystko inne) jego dusza zamiast szpetnej stała się stara. Suri wpisała komendę. Przestrzeń nad nimi przeniknęła głęboki ton, jakby pękła struna basowej gitary.

Mars stał przed Ziemią otworem.

– Zgniły chłopaku, na zewnątrz robi się przerąbanie jasno! – zawołała od schodów Orwell, która powędrowała aż tam, podążając za znakami na ścianach.

– Marsjanie wybudzeni, Perseverance przeinstalowany, Opportunity przechwycony, tarcza wyłączona – wyliczył pod nosem Lew, jakby sprawdzał, czy wypełnił całą kartę pytań na klasówce. – Potrzebna nam jeszcze pożywka. Abigail?

Spojrzała na niego groźnie znad gazioka.

– A można jaśniej?

– Za chwilę wylądują tu cząsteczki Patrona, które zostawiłem na orbicie. Musimy dać im pożywkę, żeby się szybko namnożyły. Jak pleśń. Daj mi coś organicznego.

– Obrzydliwe – skwitowała kwaśno, ale już analizowała zadanie. – Może święty grzyb? Pod Kopułą jest plantacja. To grzyb, który mój stary ma na ry...

– Abi, gdybyś funkcjonowała w Inkarnii, twój awatar na bank byłby pokraką – rzucił Lew i ruszył do zalanych światłem schodów.

– Całe szczęście – mruknęła. – Macie kompletnie zlasowane łąby. Dużo czytałam o ustrojach politycznych na Ziemi, kiedy jeszcze mnie do tego zmuszali w szkole. Jak nie religijne przykazania, to milicja i wojsko. A podczas apokalipsy: kody wirtualu. Pokractwo to byłby mój obowiązek!

Wspięli się na powrót do sanktuarium. Ze wschodu biło obce w tej części Wszechświata światło, migoczące to czerwienią, to błękitem, jakby kotłował się tam gdzieś ogień i lód. Właściwie – w przypadku komety tak przecież było.

– Wpływ Intencji pozwala wam być nieco wyżej cywilizacyjnie – powiedziała Orwell do Abigail. Byli jak cztery różne plemiona: Ziemianin, obywatelka Księżyca, Meridianka

i Marsjanka. Ciągłe się porównywali i ścierali. – U nas wciąż potrzebna jest stymulacja, by nie degradować do stanu dzikiego zwierza.

Zatrzymali się jak na komendę przed jasnością wlewającą się przez otwarte drzwi.

– Nie wiem, czy ktokolwiek z nas może w ogóle jeszcze być stuprocentowym Ziemiianinem – zauważyła Suri.

– Najważniejsze, że nas w tej chwili nie ma na Ziemi – skwitowała Orwell i to ona pierwsza wyszła na zewnątrz, przywracając choć cząstkę naturalnego porządku, w którym to dorośli prowadzą dzieci.

Wyłonili się za nią z murów sanktuarium, mrużąc oczy jak stworzenia wychodzące pierwszy raz z głębi jaskiń. Niebo, o tej porze zazwyczaj o lekko fioletowym odcieniu, pluło na nich odbarwioną, dręczoną obecnością nieproszonego gościa, migoczącą bielą, która odbijała się od komy – gazowej otoczki wokół komety. Lew wyobraził sobie olbrzymi, zacięty suwak, którym ktoś uporczywie szarpie, rozrywając zastałą przestrzeń, brutalnie traktując delikatną, przywykłą do swojej słabości tkankę. I w tej olbrzymiej komecie, ciągnącej za sobą długi, świetlisty warkocz z pyłu i gazu, w pierwszej chwili przerażającej... ujrzał to, co najlepsze w kosmosie. To, co przynosi zmianę, życie, śmierć: błogosławionego intruza. Znikoma częstotliwość takich gwałtownych zdarzeń sprawiała, że nikt nie interesował się tym Układem, pobratymcy Patrona sądzili, że jest jałowy, a to błąd. To tutaj wyrosło coś tak niezwykłego jak Jowisz, pasterz planet, i Saturn, poskramiacz pasterza. To tutaj Marsjanie zbudowali własny, niezwykły, hermetyczny fragment wielkiej sieci. I to tutaj istniała najbardziej osamotniona z najmłodszych cywilizacji. Niepojęta, niezbadana, skazana na zagładę, gdyby nie jej dziwaczny, wzgardzony twór, Opportunity, który obudził trawiącego pokarm, zastałego w tym idyllicznym spokoju wnętrza Układu Patrona.

Kosmos był odwiecznie uporządkowany, ale im bliżej czarnej dziury, tym więcej porządku innej klasy, który dla rozróżnienia nazywa się chaosem. To wszystko teraz wydarzało się pozornie beładnie, pozornie w ostatniej chwili, niezwykle błyskawicznie jak na Wszechświat. Ten Układ miał szansę stać się polem do wielkich eksperymentów prowadzących do poznania tego, co z drugiej strony wrót czarnej dziury.

Chyba że nie rozpracują łączy na dalszą sieć. Chyba że Patron będzie milczał.

Lew myślał nazbyt rozległe, jego umysł się rozlewał, zupełnie jakby głowa chłopaka była rozbitym jajkiem. A przecież w tym momencie liczyło się najważniejsze: tu i teraz. Pobiegł w kierunku szaleńczo skrzącej się w świetle komety Kopuły, a przedstawiciele wszystkich zamieszkałych miejsc w tej części kosmosu ruszyli za nim.

Suri zawsze chciała mieć ogród. Taki prawdziwy, nie ten w labo, cuchnący kupą robiącą za nawóz. To, co teraz działo się na jej oczach, nie było do końca spełnieniem marzeń o oglądaniu cierpliwego wzrostu złaknionych słońca, delikatnych, a jednocześnie silnych roślin. Ale sądziła, że czuje się podobnie jak wtedy, gdy Lew marzył, by wymknąć się do Dobrego Zoo.

Światło komety oddalało się, pod Kopułą było coraz ciemniej, ale scena nie traciła na wyrazistości. Patron namnażał się tak błyskawicznie, jakby ledwie dotknięte przez niego pożywki zmieniały się za sprawą czarów. Pożerał plantację lekko fosforyzujących czerwienią

grzybów i szybko przeszedł na Kopułę, nie wiedziała, z czego skleconą, ale najwyraźniej *jadalną*.

Wokół nich i ponad nimi rosło to, co pożarło Ziemię. Przed czym Suri nakazano czuć lęk, a Abi oddawać temu nabożną cześć. Częstki ciała tej samej istoty, którą Lew nosił w sobie jak dodatkową tożsamość. Suri nie czuła ani lęku, ani czci, jedynie czystą ciekawość, której towarzyszyło nowe, niezwykle doznanie. Wiedza, że... tu pasuje. Nie jest wybrakowana. Wszystko, czego nie rozumiała na Meridian, i co nauczyła się traktować jako część swojej tożsamości – że są rzeczy, których nigdy nie zrozumie, może się ich tylko wyuczyc – straciło znaczenie, zostawiło mnóstwo miejsca na to, co powoli ogarniało jej wnętrze. Nie miała pojęcia, jak było na Ziemi, ale tutaj planeta zdawała się łączyć z nią, jakby podpinała niewidzialne złącza do jej dziwnego, zaburzonego według Ziemiaków umysłu.

– Na pewno dobrze robimy...? – Abi teoretycznie powinna być zachwycona, ale Suri rozumiała, że to, co wyuczono, a czego się nie czuje, nie ma nad człowiekiem władzy. Kolonistka знаła Marsa wybrakowanego, ledwie ze śladami obecności Patrona, a nie pożeranego na jej oczach.

Właśnie obserwowali, jak spala się lont przytwierdzony do ładunku ostemplowanego emblematem lwiej grzywy.

I róży, pomyślała nieśmiało Suri.

Popatrzyła na przyjaciela. Czy ufała zgnilemu chłopcu? Jej rodzice w niego wierzyli, odszyfrowała ich sekretne foldery. Pomagali LION. Wszystko kręciło się wśród ostatnich zrzeszonych naukowców wokół jedynej informacji, którą Patronowi udało się im w jakkolwiek jasny sposób przekazać. Lwa, dziecka, nowego, błękitnego świtu.

Trudno było uwierzyć, że to wszystko teraz się dzieje. Lew wydawał się podobnie nieludzki co Perseverance, ale i podobnie niegroźny, wręcz biła od niego jakaś tkwiąca w nim mądrość i opiekuńczość. Być może tak czuł się pies, gdy patrzył na człowieka?

Suri pozwalała płynąć swoim myślom, nie oceniała ich. Oglądała wszystko jakby z dystansu. Podpartego pod boki, skupionego Lwa, nachmurzoną, ale i z roziskrzonymi oczami Abi, Orwell uśmiechniętą od ucha do ucha i zdumionych kolonistów, bezradnych wobec otaczających ich zdarzeń, ledwo wyciągniętych spod wpływu mąciociela umysłów. Jakoś trudno im było przyjąć – jak to ludziom przenikniętym symbolami i ideami – że ich wyczekiwany zbawca to coś w rodzaju mnożącej się narosli na rzeczywistości, która właśnie zjadała im ukochaną, chroniącą przed cudzym okiem Kopułę.

– Spokojnie, Abigail – powiedział Lew. – Patron musi trochę namnożyć swoje ciało, żeby móc wszystko wyrzygać. Szczęśliwie nie będzie zwracał tyle, ile zjadł, choć w ogólnym rozrachunku zwróci wszystko.

– Ugh. Jak to WYRZYGAĆ?!

– Jeśli wolisz ładniej, to zreplikować. Tyle że to trochę inna replikacja niż DNA, zachodzi jakby z punktu A do B poprzez przedłużenie trwania, nie kopię. Okres pomiędzy punktami to zamrożenie, a w momencie przejścia do B następuje splot, takie symbiotyczne zagęszczenie replikowanego materiału.

Abigail skrzywiła się komicznie i zamachała rękami; powoli wychodziła z szoku i wracała do swojej zwykłej ekspresyjności.

- Co ty chrzaniisz, Oleńko?

- Fascynujące - rzuciła Orwell, sterując kilkoma dronami, z których nagrywała zdarzenie. - Absolutnie fascynujące.

- Abi, Patron uważa, że twoja niecierpliwość daleko cię zaprowadzi, ale teraz musisz po prostu chwilę poczekać.

Kolonistka przez moment walczyła z wyraźną ochotą dalszego maglowania Lwa. W końcu zdecydowała się zmienić front. Klepnęła Suri przyjacielsko w ramię i podeszła do inżynierki.

- Wiedzieliśmy o tej komecie - oświadczyła dobitnie.

Orwell zakrztusiła się batonikiem proteinowym, który podgryzała zrelaksowana, przez co kojarzyła się Meridiance z widzkiem w kinie, takim jak na ziemskich filmach. Na stacji nie gromadzili się na seanse, każdy oglądał zasoby bazy, leżąc na łóżku i wyświetlając je na suficie. Lub w soczewkach, ćwicząc w siłowni.

- Mamy dostęp do NIEZIEMSKICH teleskopów - kontynuowała zadowolona z efektu kolonistka, z lubością podkreślając odrębność od Ziemi. - Potrafimy używać może drobinę tutejszej infrastruktury, ale nawet ten ułamek robi wrażenie. Kolonia ma znaczną wyższość technologiczną nad nami!

Najwyraźniej Abigail odzyskiwała równowagę psychiczną, gdy udowadniała wszystkim, że jest najlepsza. W tym wypadku stawka była wręcz komicznie wielka: udowadniała, że Mars jest lepszy od Ziemi i Księżyca.

- To może macie też działo, które mogłoby rozwalić to zasraństwo? - warknęła inżynierka, gdy tylko doszła do siebie.

- A bo ja wiem, co tu jeszcze Marsjanie poinstalowali w gruncie? Będę to odkrywać wiele lat! Suri, a ty ze mną!

- Abi, jeszcze nie wiem, co będę robiła. Ani nawet kim jestem - odparła Suri, niezwykle jak na siebie asertywnie, zważywszy na stresujące okoliczności i hałaśliwą kolonistkę.

Lew objął ją delikatnie ramieniem. Był bardzo uważny wobec wszelkich sygnałów jej ciała, które inni zazwyczaj ignorowali, zmuszając ją do ogólnie przyjętych form kontaktu. Tymczasem chłopak powoli, dostosowując się do jej tempa osvajania się, wzmacniał uścisk, aż zupełnie się rozluźniła i przywarła do niego, czując niezwykle ciepło, emanujące zarówno z niego, jak i jej obco, ale przyjemnie pobudzonego ciała.

- Nie musisz mówić, by się komunikować - szepnął jej do ucha. - Już nie.

Od kotłujących się, rosnących mas czerni, które wspinały się coraz wyżej na kopule i odpadały od niej w osobliwym, lekkim jak płatki śniegu deszczu, oderwała się jakby osobna fala. Z formy prochu stała się bardziej zintegrowana, przypominająca to, co zalegało na Ziemi: smołę.

Patron coś robi. Koncentruje się, pomyślała Meridianka.

Czerń, która przysunęła się do nich, zaczęła nabierać kształtów, piąć się. Coś niby peryskop przerosło ich, strzelało coraz wyżej i wyżej, Suri miała ochotę się cofnąć, ale Lew trzymał ją teraz mocno. Fragment Patrona przybrał nieprawdopodobny kształt, przez chwilę prezentował im się w tej formie, upiornej z braku barw, po czym cząsteczki nagle odpadły od swojego tworu niby skorupa z jajka.

- No ja pier... niczę - szepnęła Orwell.

Abigail roześmiała się z mocą, szczerze i swobodnie jak mała, podekscytowana dziewczynka. Koloniści, trzymający się nieco z tyłu, podeszli bliżej, rozbrzmiał wreszcie gwar dziesiątek rozmów – to, czego Suri chciała doświadczyć i zobaczyć, czy będzie jej to przeszkadzać.

– Żyrafa! – Zwierzę spoglądało na nich z góry, spokojne i dostojne, zupełnie nieprzejęte sytuacją. Abigail podbiegła do niej. – A wiecie, że jak pochyla głowę, tworzy się ogromne ciśnienie? Masa krwi biegnie do tego małego względem ciała łebka... To trochę jak z twoim łbem, co, Lew? Masa informacji od Patrona...

Tuż za olbrzymim ziemskim stworzeniem Zgnilec odpadł z kolejnego, znacznie mniejszego i – ponoć – o wiele groźniejszego kształtu. Tym razem Lew się roześmiał.

– Klamra – powiedział, patrząc z czułością na krokodyla, który drapał się po lśniącej głowie.

Lew łagodnie przyciągnął Suri bliżej. Zauważyła, że przez oko gada biegnie lśniąca, srebrzysta wręcz blizna.

– Co? – spytała oszołomiona.

– Kiedy oglądaliśmy z Miłką filmy, to mi tłumaczyła, że dobre opowieści spina klamra. Koniec łączy się z początkiem. To okazy z Dobrego Zoo. Brakuje tylko Miłki, która da mi szlaban.

Jakby na jego wezwanie przed nimi czern zaczęła formować kształt człowieka.



„Dezintegracja była wysoce intrygująca, choć dotarcie do tego doznania wymagało skopania tyłka ogromnemu poznawczemu strachowi”.

Lew słyszał jej myśli. Gdy Patron ją oddawał, formując poprzedni kształt (a mógłby uformować każdy), te myśli zdawały się istnieć wszędzie tam, gdzie on; kiedy uwolnił Miłkę, ponownie skupiły się w niej.

„Spisałeś się na medal, najlepszy z moich synów”.

– Mamo, masz jednego syna – zauważył poważnie Lew, gdy stanęła przed nim w zakrwawionej koszuli i brudnych dżinsach, ale połatana przez Patrona, wręcz kwitnąca. To było jednocześnie absurdalne i oczywiste, że na ramieniu siedział jej Szyszek. Chłopak nie był jeszcze pewien, co dokładnie czuje, patrząc na nią. Podrasowane postrzeżenie nie mogło mu pomóc; Patron nie miał matki.

Miłka przeciągnęła się i obmacała po twarzy, jakby sprawdzając, czy wszystko ma na miejscu, ale wzrok wbijała w syna.

– Błąd, kocie. Mam niezliczoną ilość synów. W Patronie tkwi informacja o pętli z nieskończonej liczby strun...

– Ech, mogę wreszcie pooglądać Ziemiaków, a wy co? – wtrąciła się Abigail.

- To znaczy? - Miłka nie załapała.

- No gdzie jakieś emocje? Rytuały? Padanie sobie w ramiona?

Hakerka uniosła brew, spojrzała na Lwa i zakręciła palcem młynek przy skroni. A potem przygarnęła ich oboje z Suri i pogłaskała po włosach.

- No, trochę lepiej - mruknęła Abi i odeszła badać kolejnych pojawiających się Ziemian.

Orwell podeszła za to do nowo przybyłej.

- Miłoslawa Olenko? Wreszcie się spotykamy. Niezle nas zwodziłaś, ukrywając swoje lwiątko. Firewallle pierwsza klasa.

- Robiłam tylko to, co należało.

- Tak jak ja. Szanuję to.

Ucisnęły sobie dłonie ponad ramieniem Suri. Lew odsunął delikatnie od siebie mamę i przyjaciółkę. Przypatrzył się poważnie kobietom.

- Z tego, co rozumiem... - wsłuchał się chwilę w wewnętrzną infobazę - ...skoro zaczął zwracać, to cała zawartość, jaką ma w sobie, jest bezpieczna? Nie musi zdążyć przed uderzeniem?

- Tak - zapewniła Miłka. - Każdy, kogo przywraca, jest jednocześnie bramą na pobrany zasób informacji z Ziemi. To, co się za chwilę wydarzy, nie przeszkodzi w procesie. Nie da się już tego zatrzymać. Organizmy wodne będą musiały trochę poczekać. Patron nabrał wody z mórz i oceanów, będzie trzeba go dostarczyć pod kratery i niecki, które możemy zmienić w zbiorniki.

Lew nie mógł wyjść z podziwu, jak czysto i klarownie działał zreplikowany umysł mamy.

- Wygląda na to, że kontakt z nim was nie skrzywdził?

- Powiedzmy, że wgrał nam odpowiednią aktualizację. Dlatego najpierw pożarł słabsze. Potrzebował więcej usprawnień.

- Nas też tak można zaktualizować? - spytała Abi, pojawiając się przy nich ponownie jak duch.

- Nie - odparła hackerka, a Abigail zrobiła komicznie zawiedzioną minę. - Patron musiałby się odbudować, być tak potężny jak na Ziemi. To nie miałoby sensu pozwolić mu wyjść Marsa po to, byście mogli żyć z nim w symbiozie. - Lew się uśmiechnął, słysząc ten rzeczowy, wszechwiedzący ton matki, którego mu brakowało. - Poza tym i tak musi się od stworzonych istot całkiem oderwać i więcej ich nie dotykać. Nie jesteśmy jak wy, ale i nie jak Lew. Różnorodność jest dobra. Jak chciałabyś badać Patrona, gdybyś po części nim była? To byłyby nierzetelne badania, nieobiektywne!

- To prawda - potwierdziła poważnie kolonistka. Popatrzyła po pojawiających się wokół zwierzętach. - Po co on marnuje miejsce i energię na zwierzęta? Jakoś żyjemy tu bez nich...

- Dziecko, na litość Patrona, za chwilę udowodnisz, że jesteś mniej ludzka niż on - fuknęła mama. Jedna z kolonistek podała jej czystą koszulę, Miłka przyjęła ją z uśmiechem, po czym znów spojrzała surowo na Abigail. - To jest właśnie miara człowieczeństwa. Współczucie dla całego ekosystemu i traktowanie go jak jedność. Patron przyniósł nawet cholerne sinice, które będą produkować tlen w oceanie, i drzewa z Puszczy Amazońskiej, dzięki czemu przestaniesz się dusić.

Abi wzniosła oczy ku znikającej Kopule i mruknęła coś pod nosem.

– To nie bambinizm**, szczytu. – Najwyraźniej Miłka miała podrasowany słuch. – Nikt tu nie idealizuje przyrody. Po prostu Patron traktuje wszystkie jej elementy na równi. Jeśli nie chcesz spieprzyć kolejnej planety jak przodkowie, też powinnaś zacząć.

Abigail zapowietrzyła się – koloniści nie używali wulgaryzmów – i odeszła obejrząc zwierzę, od którego wzięło się słowo bambinizm: sarnę.

Inżynierka zasłoniła na chwilę mamę i przejęła Szyszka, tak że ta mogła się przebrać.

– Wybacz, nie wiem, czy to obcesowe pytanie... – Orwell podrapała się po brodzie, uważnie wpatrując się w oczy Miłki. – Jesteś... jedna?

– Oczywiście, że nie. Patron był tak uprzejmy, że zintegrował całość pode mnie, ale mam w sobie całą moją firmę. Łącznie jest nas sto pięćdziesiąt siedem osób w jednej. Niewiele, ale zależało mu na posiadaniu kogoś tylko z Instytutu, który go rozpracował wcale nie gorzej niż NASA. Tylko Seele mnie trochę uwiera. – Puściła oko do Lwa.

– Nie rozumiem – wtrąciła cicho Suri.

– Już wyjaśniam, kochana. – Miłka ujęła dłoń Meridianki. – Patron nas podrasował. Zintegrował. Na wierzchu pozostają najsilniejsze cechy albo najsilniejsza osobowość, ale jedno stworzenie składa się z setek, tysięcy, czasem setek tysięcy egzemplarzy tego samego gatunku. Inaczej trudno byłoby po pierwsze wszystkich przenieść, po drugie pomieścić tutaj, po trzecie, żyć na tak rozintegrowanym, jednostkowym poziomie ze starszą, zintegrowaną rasą Marsjan. Wzajemna nauka byłaby, szczególnie dla nich, stratą czasu. To my dostosowujemy się do nich, z korzyścią dla nas. Nie przejmuj się, widzę już to spłoszenie w twoich sarnich ślepiach. O, teraz to był bambinizm! – zawołała do Abigail i znów zwróciła się do Meridianki: – Nie będziesz „odstawać”, Suri. Na Marsie jesteś taka, jak trzeba.

Uśmiechnęła się promiennie do dziewczyny, a Lew ostatecznie przegnał ostatnie pochmurne odczucia i myśli względem niej.

– Czyli zostało ostatnie. – Popatrzył na Orwell. – Obiecałaś obraz na żywo.

Wyszczrzyła się do niego. Brakowało jej zęba po nieszczęsnym lądowaniu przy Kanionie.

– Abigail, nasze zachmurzone słońeczko, gdzie macie największy możliwy ekran?!



Kino w Red Dead urządzono w szkielecie jednego z największych promów kolonialnych. Lew przysiadł z Miłką na zewnątrz na uboczu, blisko nosa rozbebeszonej rakiety, obserwując powoli schodzących się zewsząd kolonistów, wciąż jeszcze lekko otumanionych. Dzień był wietrzny, powietrze nieco bardziej rześkie, odległe słońce zdawało się zachłanne, choć już zachodziło, jakby Mars postanowił dopuszczać więcej promieni przez atmosferę, by szybciej dopasować Czerwoną Planetę do potrzeb nowych obywateli.

Myslenie życzeniowe, uświadomił chłopaka Patron. Wiedziałby i bez tego. Poprosił swojego „współlokatora” o nieco prywatności, na tyle, na ile to możliwe. Patron wycofał się w głąb Lwa.

– Mamo.

Miłka rozparła się w starym, zużyтым fotelu i kiwała głową, jakby wiedziała, że przyszedł czas na pytania. Szyszek ułożył się na jej podolku i zasnął.

– W archiwum na Meridian jest informacja, że gdy się urodziłem, zabiłaś lekarza.

– Znalazłbyś tam nawet prace naukowe z początku wieku o problematyczności utworzenia kalendarza liturgicznego dla kolonii na Marsie. To stary śmietnik danych, nie miałam jak go wyczyścić, za daleko od Ziemi. – Westchnęła i znieruchomiała. – Tak. Tak, zrobiłam to.

– Dlaczego?

– Bo zobaczył go w tobie. Gdybym tego nie zrobiła, on zabiłby ciebie. Procedury były ściśle i kategoryczne. Argumenty do niego nie przemawiały.

Przez chwilę milczeli. Lwu daleko było jednak do doświadczania ciszy – pomijając schodzącą się na seans hałasę, Patron słyszał Intencję, słyszał Marsjan, słyszał sięć.

To teraz moje życie? Ta sieczka we łbie? – pomyślał, jakby przypominając sobie, że wciąż jest nastolatkiem, mimo podrasowania, więc powinien regularnie być ze wszystkiego niezadowolony.

– Byłem planowany? – mruknął, szukając kolejnych argumentów do zdrowego doła okresu dojrzewania i zgniłych żalów, skoro Patron nie miał go przez chwilę w posiadaniu.

– Rany, kiedy doszliśmy do tego etapu? – Miłka wyciągnęła nogi przed siebie i spojrzała w niebo. – Nie mam jednoznacznej odpowiedzi, kocie. Chciałam mieć dziecko, ale nie wyobrażaj sobie, że byłam jedną z tych indoktrynowanych biedaczek, co w wieku siedmiu lat miały już ustalone nienaruszalne imiona dla chłopczyka i dziewczynki i nie odrywały rąk od lalek.

– To na pewno nie – parsknął. – Założę się, że miałaś resoraki czy coś. I poobijane kolana.

– Mhm. Chciałam mieć dziecko, ale nie chciałam dla niego takiego świata. Twój ojciec podobnie. Nie staraliśmy się i się zabezpieczaliśmy, aż jak wiele nieświatowych kobiet zaczęłam przedwcześnie przekwitać. Wtedy przestaliśmy sobie tym zawracać głowę. Uznaliśmy, że to tylko kolejna rzecz, którą nieświat zabrał, słusznie zresztą. Czasem... ale CZASEM... – Miłka skrzywiła się, jakby zawstydzona – ...miałam nadzieję, że jednak błądzi tam we mnie jeszcze jakieś zdolne do zapłodnienia jajeczko.

– Jak miał na imię? – spytał niespodziewanie nawet dla siebie Lew.

– Kto?

– Tamten lekarz.

– A, no tak. Lew. Dobrze, że nie dałam ci po ojcu. Jak Patron namalowałby na chmurach Serafina?

No i nici z doła. Wybuchnęli śmiechem.

– Wiedziałaś, jak to się skończy? Gdzie wylądujemy? – Chłopak ukrył na chwilę twarz w dłoniach, przeganiając z niej uśmiech. Gdzieś tam wewnątrz dokopał się do totalnego

wycieńczenia, które Patron starał się niwelować. *No i wykończyły mnie te baby. A jeszcze się nawet nie całowałem. No, raz, w Inkarnii, z symulacją...*

– Och, jak twoja matka mogłaby się nie dowiedzieć? Sepiłam z NASA niemal wszystko, co się dało, a sama nic oczywiście im nie dawałam, a przynajmniej nic istotnego. Zwodziłam ich. No ale w końcu cię namierz yli. – Zwróciła się cała w jego stronę i pstryknęła go w ramię, żeby na nią spojrział. – Powiedz mi, kociaku, jak się czujesz? Z nim? Zawsze starałam się myśleć o tym, że to część ciebie, ale i tak to, wiesz...

– Dziwaczne. Co najmniej. – Wyprostował się. – Hm. Czuję się tak, jakbym trochę miał ojca. Ojca-mentora. A że przy okazji przypomina insekta...

– Masz przed oczami to, co ja?

– Twoją ukochaną *Muchę* z pięćdziesiątego ósmego zeszłego wieku? Słyszę ten pisk! Znowu parsknęli.

– A ty, mamo? – zagadnął. – Jak ty się czujesz?

Wzruszyła ramionami.

– Ciekawie. Mam mnogą osobowość, tyle że Patron ze mnie zrobił dominującą. Inni tak nie mają, to nowi ludzie, złożeni z cech charakteru i wyglądu wszystkich upakowanych osób. Nie czarujemy się, poskładał mnie taką dla ciebie. Ja... okej, mogę zachować swoją... eee... jednostkową niepowtarzalność, ale wcale bym nie musiała. Trudno to wyjaśnić po tym wszystkim.

Lew przyłożył dłoń do skroni. Tak, jemu też trudno będzie wyjaśnić to, co wyczytywał z Patrona, ale czuł, że musi spróbować to wyartykułować, ułożyć jakoś w całość ziemskim językiem. I że właśnie Miłka powinna usłyszeć to pierwsza, zwłaszcza że przekaz, który nadał na Ziemię, umknął jej podczas dezintegracji w Patronie.

– Wiesz, że pomiędzy Ziemią a Marsem jest znacznie większe powiązanie, niż nam się wydawało? – spytał na dobry początek. – No, wiedzieliśmy, że z Marsa na kawałkach asteroid mogły przybyć do nas składniki niezbędne do zainicjowania życia, woda i tak dalej... Ale... – Ścisnął skronie mocniej, jakby mógł wydusić to z siebie niczym sok z pomarańczy. – To dużo więcej. To Marsjanie, nie przypadek, zainicjowali życie na Ziemi. To nie asteroidy, tylko cholerne, zaawansowane transportery.

Hakerka zmarszczyła nos. Wiatr pchnął na nich tuman piasku.

– Wiem. Czuję. Coś w ten deseń. Jestem podpięta do tej samej bazy, co ty, kocie, tylko nie umiem tak dobrze czytać danych. Mów, ale jeśli przesadzisz, przestań.

Pokiwał powoli głową, która zdawała mu się monstualnie ciężka.

– Patron... Zafascynowali go Marsjanie – ciągnął, próbując złapać strzępki złożonych informacji i stworzyć z nich prosty całościowy obraz. – To ich spotkał podczas wędrówki. Ale zajmowali planetę, która bardzo szybko się starzała, przez ten brak wystarczającego budulca, deficyt materiału skalnego podkradzionego przez Jowisza. To zabawne, że Jowisz spierniczał przed czarną dziurą ukrytą na rubieży Układu Słonecznego, zapędził się i zepsuł możliwość powstania co najmniej kilku planet, a teraz stoi na straży Układu i wyłapuje komety mu zagrażające, nie?

– Chyba antropomorfizujesz planetę – odparła z uśmiechem.

- No nie wiem... - Zakręciło mu się w głowie, więc zrozumiał, że w takie sprawy jak procesy myślowe ciał niebieskich lepiej jeszcze nie zaglądać. - Patron zdołał się porozumieć z Marsjanami i przyspieszył ich rozwój, starając się oddać to, co zabrał im Jowisz. Ale planety nie mógł im wtedy uratować. Zdawali sobie sprawę, że kiedyś Ziemia osiągnie idealne warunki dla życia. Przygotowali więc materiał. Wyliczyli, kiedy i na jakim terenie może pojawić się życie. Tam wycelowali transportery. Wraz z Patronem zasnęli w trzewiach Marsa, nim planeta umarła. Zaprogramowane przesyłki po dziesiątkach tysięcy lat dotarły na Ziemię. Najpierw cząsteczki dla zainicjowania życia. Potem informacje dla tego życia, gdy już osiągnie formę, która może je odczytać. Nie mieli stuprocentowej pewności, co im wyjdzie. Życie na Ziemi nie mogło być lustrzanym odbiciem marsjańskiego. To był biohazard!

- Ale po co to? - Miłka kręciła głową. - Czemu nie przenieśli się po prostu na Ziemię?

- Wtedy to było niemożliwe, Ziemia wciąż się stabilizowała, jest młodsza od Marsa. No i Patron... to jego przełamywanie czasu... - Lew westchnął głęboko i omal się nie rozkaszała. - Nie wiem, to jeszcze dla mnie zbyt złożone, ale Marsjanie rozumieli dzięki niemu, że powinniśmy powstać. No wiesz, wychodzi na to, że my jesteśmy rodzajem technologicznej osobliwości.

- Porównujesz nas do tej stukniętej kupy złomu? - Teraz to hakerka westchnęła. - Okej. Mów dalej.

- Kojarzysz, że na Ziemi istniała zaginiona cywilizacja... Ta, która nie przetrwała kataklizmu sprzed kilkunastu tysięcy lat, ale zdążyła przekazać pozostałym cywilizacjom świata identyczne podwaliny pod rozwój, schematy budowy, kulturę, wiedzę o gwiazdach...^{***}
Gwiazdy...

Popatrzył w ciemniejące niebo. Nawet na jeszcze jasnym nieboskłonie widok gwiazd zapierał dech. „Przodkowie stracili całą mądrość, odcinając się od światła gwiazd”, napisała mu raz Finka, gdy snuła opowieści zasłyszane od dziadka. Chciała udowodnić Lwu, że nie jest od niej mądrzejszy.

- Język Marsjan, język, który zrozumiał Patron, był oparty na symbolach na niebie, na konstelacjach - kontynuował, zwracając się znów ku mamie. - Marsjanie najbardziej na świecie obawiali się tego, co przychodzi z gwiazd. Jak Jowisz. Wiedzieli, że Jowisz to nie bohaterski obrońca, po prostu tak się rozrósł, tak się spał, że ściąga naturalne pociski nadciągające z kosmosu. Wiedzieli, że coś w końcu przepuści. I tak się stało. Kataklizm, który kilkanaście tysięcy lat temu spotkał Ziemię, wziął się z przepuszczonego pocisku. Ta zaginiona cywilizacja to przewidziała... I nauczyła inne języka, który przyniósł im tę wiedzę. Patrzenia w gwiazdy.

Miłka parsknęła śmiechem.

- Tyle było szurów, którzy mówili, że ludzkość wzięła się od Reptilian, a bogowie egipscy byli kosmitami. No i cóż, kto ma teraz rację?

- No widzisz, szury mogły się pojawić, bo cywilizacja, która odczytała wiadomość Marsjan, zniknęła. - Chłopak potarł czoło z taką intensywnością, że poczuł gorąc i ból. - A ich wiedza zmieniła się w mity. Wydaje mi się, że ta cywilizacja nie zginęła. Nie zatonąła na żadnej Atlantydzie, nie pochłonął jej tamten potop. Jeszcze nie wiem, co się z nią stało, dokąd udała się w podróż ani czy się udała, ale na pewno... odeszła z Ziemi, nim nastąpił kataklizm.

– Jak my. – Matka pokiwała głową.

– Jak my. Ale ci, którzy przyszli potem... Zmienili się. Brak strachu ich zmienił. Stracili wiedzę o tym, czego bali się przodkowie i do czego dążyli. Wymazali z dziejów tamten etap. Patrzyli w zamiast na. Rozkładali zamiast składać. Wikłali się w zagadki atomów, a w gwiazdy patrzyli coraz większymi teleskopami, byle znaleźć się bliżej. Mądrość symboli, język gwiazd, patrzenie z dystansu, to stawało się mitami. Finalnie na Ziemi nawet już nie było widać gwiazd, przy sztucznym oświetleniu tych wielkich zaśmieconych aglomeracji. Ziemia zgniła na długo przed Patronem. – Odwrócił wzrok od Miłki, bo widział, że na jej twarzy pojawił się cień poczucia winy. – Zapomnieliśmy, interesowały nas coraz mniejsze pierwiastki, separacja, coraz większy indywidualizm. A te wszystkie monumentalne, pradawne budowle, jak piramidy, kopce, świątynie, które zostały po starożytnych uczniach cywilizacji ubogaconej wiadomością z Marsa... Zwrócone ku najjaśniejszej gwiazdzie, Syriuszowi, w których oddawano cześć bogowi deszczu, a więc mądrości, życiu spadającemu na Ziemię... Kult dwugłowego węża łączącego dwa światy, kult krwi, poświęcanej, by porozumieć się z drugą stroną, źle pojęty potem, wypaczony choćby przez Azteków... – Lew odchylił się, bo czuł, że zaraz z nosa pocieknie mu właśnie krew. – To były wiadomości z Marsa o zanikającej w naszej świadomości treści. Syriusz, to od niego nadleciała kometa... Krew mogła wybudzić Marsjan... Obudźcie nas, zanim przybędzie kometa. – Spojrzał przenikliwie na matkę.

– No ale... to Opportunity ich obudził.

Kilkanaście metrów od nich przebiegło rozkrzyczane stado małp. Oboje się uśmiechnęli.

– Wcale nie. Straciliśmy umiejętność rozszyfrowania międzyplanetarnego języka, fakt. Ale jak powstała technologiczna osobliwość i daliśmy jej dostęp do całej naszej wiedzy, natychmiast go rozszyfowała! Chciała pomieszać w tym planie, zemścić się na znieprawdzonych rodzicach, ale nic tak naprawdę nie mogła zrobić.

– Jak kalekie bóstwo – mruknęła hakerka. – Totalnie jakby napisał je Lem.

Chłopak machnął ręką, zniecierpliwiony. Nie mógł już zbyt długo ciągnąć tej konwersji danych.

– Jeżdżąc po Marsie w starym, szalenie ograniczonym łaziku, sama na skraju szaleństwa, osobliwość usłyszała budzące się dynamo planety, odbudowywane dziesiątki tysięcy lat przez Patrona. Patron obudziłby się tak czy siak, bo to dynamo było olbrzymim budzikiem. Przekaz... – Lew przymknął oczy. Wiedział, że zaraz musi przestać chłonać te informacje, bo mogą go nawet wykończyć. – Patron pisał po niebie językiem Marsjan. Nic nie rozumieliśmy, ten język nas wręcz odrzucał... Dopiero gdy Patron nauczył się ziemskich symboli, NASA nawiązała z nim kontakt. A ja... – Zgiął się, bo poczuł mdłości.

– Wystarczy, kocie. – Miłka położyła mu chłodną dłoń na gorącej, mokrej od potu i trzęsącej się ręce. – Rozgryziemy to z czasem. Wiem, że trudno ci teraz, kiedy wydaje się, że jesteś z tym sam. Ale to tylko chwila. Daj sobie ją.

Lew kiwnął głową i przez kilka minut się uspokajał. Świat nie pogrążał się w mroku – nie było o takim mowy pod szaleńczo rozgwieżdżonym niebem. Chłopak łatwo mógł sobie wyobrazić Marsjan rozpisujących na tych niezwykłych kształtach swój uniwersalny język. Skupiał się tylko na rysowaniu symboli na niebie, bez nurkowania w patronową wiedzę.

Jeszcze nigdy nie poczuł się tak odprężony jak pod tym roziskrzonym niebem. Widokiem, który łączył wszelkie istoty we Wszechświecie.

– Jak to jest zostać wchłoniętą przez Patrona? Jak to jest być jak Marsjanka? – spytał Lew, gdy zrobiło mu się lepiej. Jego mama też przecież miała swoją historię do opowiedzenia.

Miłka podniosła rękę do twarzy, jakby na samą wzmiankę o jej mnogiej osobowości musiała poczuć tę na wierzchu.

– Chyba mi jeszcze do Marsjanki daleko, mam w sobie tylko Instytut, nie całe miasto. – Zamilkła na chwilę i westchnęła ciężko. – Kiedy Patron się na mnie wspiął i zaczął mnie zjadać, wszelkie instynkty we mnie wrzasnęły, ale zaraz potem zamilkły. Nie było ucieczki. Nic już nie było, tylko ja i on. Pomyślałam, że może podobnie czuje się ktoś, kogo wciąga czarna dziura. – Otuliła dłonią szyję. – Po nieokreślonym czasie poczułam, że jednak coś tam jest, ale żaden mój zmysł nie potrafił tego zarysować. A potem zaczęło się nakładanie innych osobowości. I wiesz co? To w żaden sposób nie bolało. Skoro jesteśmy wytworem Marsjan, to chyba stan naturalny, takie namnożenie... Jakbym ubierała się do wyjścia w bardzo mroźny poranek. Warstwa po warstwie, warstwa po warstwie, a na koniec po prostu byłam kilka rozmiarów większa i było mi ciepło.

Minęła ich dwójka mężczyzn zmierzających do kina. W jednym z nich Lew rozpoznał wujka Staszka, na którego mama miała śmiertelne uczulenie. Wgapił się w nią przez moment, po czym przyspieszył, natomiast jego towarzysz zwolnił i wpatrzył się w Lwa. Należał do gangu Złomiarki, chłopak już go parę razy widział, zawsze podobnie nim zainteresowanego, ale nieznamy nigdy go jeszcze nie zagaił. Teraz już otworzył usta, ale dobiegł ich czyjś krzyk:

– Panie prezydencie! – I mężczyzna się oddalił.

Hakerka patrzyła za nimi ze zmarszczonymi brwiami, przeżuwać słowa, których finalnie nie zdecydowała się z siebie wyrzucić. Wróciła do tematu zachodzącej w niej fuzji.

– Teraz daję radę utrzymać świadomość na powierzchni, ale z czasem będzie musiała nastąpić integracja, to inaczej nie zadziała. – Uśmiechnęła się do niego przepaszająco. – Ty będziesz dorastał, a ja będę się rozrzedzać. Albo scalać. Implementować. No... te warstwy się we mnie wtopią. Na wygląd ciała chyba też to wpłynie. Nie wiem, jak to nazwać, niech to *blue screen* pochłonie... O właśnie, nie zniknę, tylko... Na razie każda osobowość ma zasumione dane, żeby zachować odrębność, ale połączenie jest nieuniknione.

– W porządku, mam. – Szturchnął ją łokciem. – U mnie przecież to wygląda podobnie. Damy radę. Najwyżej tym razem to ja pomogę z drobnymi grzeszkami.

Parsknęła i pokręciła głową z niedowierzaniem.

Raptem w wnętrza kina wydobyło się ostre trzeszczenie, a zaraz potem doleciało ich przekleństwo Orwell.

– Chodź do środka, zanim ta kobieta wszystko rozpirzy. Suri na pewno na ciebie czeka. Zobacz, zdążyłam wyhaczyć od jednej kolonistki. – Miłka wyciągnęła z kieszeni mały flakonik i zbombardowała syna serią psiknięć. – Mgiełka odświeżająca! Żebyś mi nie narobił wstydu przed dziewczyną.

– O rany, mam...

Gdy hackerka wpakowała Szyszka do kieszeni i się podnieśli, syn złapał ją jeszcze za ramię.

– Myślisz, że jeszcze będziemy tak... zwyczajnie szczęśliwi? Jak zwykli ludzie? Chyba zaszczyliśmy bardzo daleko od zwykłości.

Uśmiechnęła się nad wyraz matczynie: ciepło i odrobinę pobłażliwie.

– A co to jest szczęście, kocie?

– No... tak po prawdzie, to nie wiem. Patron nie jest tu pomocny, nie łapie każdej naszej idei...

Otoczyła go ramieniem.

– No to Miłosława powie ci, co uważa za szczęście. To po prostu efekt uboczny przeżywania. To poczucie, że wszystko jest, jak trzeba. Nawet jak dzieje się coś całkiem pochrzanionego. I czego hollywoodzkie hity nie nauczyły nas kojarzyć z bajkowym szczęściem. Życie to durny pomysł, nie pisaliśmy się na nie, ale skoro już się dzieje, to najłatwiej funkcjonować, będąc szczęśliwym. Nawet w chwili apokalipsy. Nawet gdy staliśmy się ludźmi, o jakich nie śniło się Ziemianom. Przecież nadal jesteśmy tak samo jak oni żywi, mamy kruche ciała i możemy głupio skończyć. To wręcz obowiązek, być szczęśliwym, żeby zrobić na złość temu, jakie to wszystko durne.

– Wzięłaś to z jakiegoś filmu? – domyślił się Lew.

– Oj, tylko trochę z *Jak dogonić szczęście!*

Weszli za innymi do wnętrza starego promu. Trudno byłoby porównać to kino do czegokolwiek; na Marsie istniał po prostu zupełnie nowy styl, wymuszony przez okoliczności, „postpodróżniczy”. Ponieważ większość promów pozostała na Marsie, to one stanowiły zaplecze budowlane i technologiczne. Koloniści patroszyli każdą raketę, nawet nie myśląc o tym, by zostawić jakąś awaryjną albo po prostu w którejś zamieszkać. Intencja, skryta w trzewiach planety, nieco przytruta, ale wciąż jasna, sprawiała, że czuli z powierzchnią Marsa więź.

Jedną raketę przekształcili na labo do produkcji tlenu, a reszta posłużyła budowlom miasta; kino to był jeden z nielicznych dość dobrze zachowanych szkieletów. Lew rozejrzał się po pomieszczeniu, po czym sięgnął zdolnościami Patrona do drugiego miasta, Nowhere. Już wcześniej skontrolował w ten sposób, czy nie dzieje się tam nic równie popapranego, co w Red Dead, ale tamtych ludzi było znacznie mniej, używali o wiele więcej tlenu i Opportunity się nimi nie interesował. Chłopaka zerknął, jak wyglądają tamtejsze budynki. Po nitkach Intencji dotarł do czyjegoś umysłu i patrzył przez chwilę jego oczami.

Lew Oleńko, marsjański heros.

Zobaczył takie rzeczy – niegroźne na szczęście, ale zadziwiające – że wycofał się i obiecał sobie wycieczkę tam jako pierwszą rzecz, którą zrobi, gdy będzie już po wszystkim. Usiadł obok Suri i powiedział jej o tym planie. Finka przyniosła w transporterze Kitka, którego Lew teraz wyciągnął z klatki, zbałał pobieżnie, spojrzął mu w oczy i z uśmiechem dał przyjaciółce na kolana.

– Przeżył hibernację bez szwanku?

– Dostosowaliśmy do niego moją kapsułę.

– Abigail stwierdziłaby, że to zbędny trud.

– Abigail żyła tylko z ludźmi i grzybami. – Machnęła ręką. – Regulujemy się z Kitkiem nawzajem, wyciszamy. – Poglaskała kota, aż ten zaczął mruzczeć. – Razem z Miłką stanowimy

stado, nie mógłbym go zostawić. Jest się odpowiedzialnym za zwierzaki, nawet lecąc w kosmos. Nasi przodkowie przekreślali życie zwierząt bez mrugnięcia i do czego to doprowadziło? Macie na Meridian jakieś nieprzetrawione przez Patrona koleżanki dla niego? Raczej nie uda mu się prokreacja z tymi zwróconymi.

– Sporo. Co on ma w ślepiach...? – Zbliżyła twarz do jego pyska.

– Na Ziemi miał to, czym poszatkowana była przestrzeń: koder, wzory na niebie...

– Teraz to chyba... Intencja – mruknęła, a kot pacnął ją łapką w nos.

Ponoć mieli wśród kolonistów reżysera filmowego, który nadzorował tworzenie odpowiedniej akustyki wewnątrz kina. Już po kilku minutach mogli ją podziwiać dzięki zawziętej kłótni Miłka ze Złomiarką. Rozparły się na siedzeniach po przeciwnych stronach sali, więc teraz wrzeszczały do siebie ponad głowami innych.

– Chyba cię pogięło, Anka! – Imię ekskwiedzmy, tak krótkie i zwyczajne, zdawało się wręcz absurdalne. – Zaraz się tam przejdę i wsadzę ci Patrona w...

– Już go tam mam, Miłka! – zapewniła Złomiarka. – Mam tam wszystko. Wypełniłam swoje przeznaczenie. Mam prawo umrzeć. To, co żyje, ma prawo do śmierci!

Lew przyjrzał się ekskwiedzmi swoim podrasowanym postrzeganiem. Jej umysł już wkrótce miał ulec bez Patrona neurodegradacji, przypominającej nieco chorobę Alzheimera. Tyle że wraz ze wspomnieniami szybko wyciekną z niej również informacje dotyczące utrzymania funkcji życiowych – degradacja obejmowała przede wszystkim pierwotniejszą, starą korę mózgu i jego pień. Poza tym jej narządy wydawały się tylko echem, powidokiem; chłopak przypomniał sobie migoczące, zakodowane wnętrzości wiedzy, która niegdyś odwiedziła ich w domu. Organizm Złomiarki nie mógł już samodzielnie przetrwać. Dopuszczając do siebie ponownie Patrona, znów straciłaby swoją autonomię i istotną część osobowości, ale by nie umierała.

– Prawo do wygaszenia jednostkowej świadomości i zmiany formy materii – uściśliła Abigail, siedząca obok Suri i Lwa z Wielebnym i Jannice. – Musicie używać tych staroświeckich, totalistycznych pojęć? Śmierć, też mi coś!

Lew przeniósł teraz badawcze spojrzenie na kolonistkę. Co tam on czy Miłka, w pewien sposób nadpisani, podrasowani zupełnie jak program – Abigail Delacruz była prawdziwie nowym człowiekiem, urodzona i wychowana na Marsie. Odzyskawszy pełną rodzinę, szczęśliwa w sposób, jakiego oboje szukali z Suri, to Abi będzie ich uczyć, jak pokryć rdzą swoją krew i zaaklimatyzować się na Marsie.

– No pójdę tam i przyłożę tej francy. – Miłka zaczęła podnosić się z fotela, ale Babcia Flaszka złapała ją za rękaw i podała opatuloną papierową torbę butelkę.

– Dziewczyno, nie zapominaj, że na Ziemi została twoja inkarnacja. Chcesz ją kompletnie oszpecić? I sto pięćdziesiąt sześć innych?

Hakerka wymruczała coś niezrozumiałego, opadła na fotel i zacisnęła dłonie na butelce.

Lwu bardzo podobało się, że następstwem tego, co się działo, było uwolnienie Serengetiego i wszystkich awatarów.

Na razie na Ziemi niewiele miało zostać poza ciałem Patrona i koderem z rozciągniętą na nim Inkarnią. Przeniesienie wszystkich użytkowników na inną planetę spowodowało zerwanie z oprogramowaniem, ale bez naruszenia systemu – główny komputer znajdował się

głęboko pod Ziemią i faktycznie, jak głosiła propaganda, miał przetrwać koniec świata. Jeżeli ustabilizują łączy z trzecią planetą od Słońca, będą mogli gościć w swoich inkarnacjach i wciąż być z nimi w pewnym stopniu skorelowanymi, jednak awatary zyskały autonomię – dotąd nieaktywny tryb autopilota sztucznych inteligencji stał się wiodący. Z czasem korelacji między dawnym użytkownikiem a inkarnacją będzie coraz mniej, aż znikną, a awatary będą przez wiele lat jedynymi mieszkańcami planety.

Finka przechyliła się przez swój rząd, błyskając w półmroku wyszczerzonym kotem Schrödingera.

– Nieźle, gwiazdeczko. Poszło ci całkiem nieźle. Ale wiesz, że tylko przez to, że cię wszyscy niańczyliśmy i prowadziliśmy za ramię?

Chciał – z czystej sympatii, ich przyjaźń polegała na czubieniu się – pokazać jej obraźliwy gest, ale Miłka pogroziła mu palcem. Klementynka wychyliła się zza Józefiny i z satysfakcją go wyręczyła. Dziewczyna zaczęła się z nią wyklócać. Lew pomyślał raptem o Pixelu, z którym też się często przekomarzał. W skład jakiego człowieka wszedł? A może byty łączyły się też międzygatunkowo? Działo się tyle niezwykłych rzeczy, tak wiele było do zrozumienia i odkrycia...

Ale najpierw musiało nastąpić pożegnanie.

– Przymknijcie się! – warknęła spod ekranu Orwell, ustawivszy wreszcie wizję.

– Po co? – padło z sali. – Dźwięku nie będzie.

– Z szacunku.

Zobaczyli „błękitną”, ciemną jak jej los planetę, czarniejszą od przestrzeni kosmicznej. Gdzieś widać było szarawe strzępy chmur. Odbijał się już od nich jeszcze niewinny, ale nieubłagane rosnący blask.

Superinteligencja stała z osobliwością tuż przy ekranie. Mech na razie chciał użyczyć zaktualizowanemu „wujkowi” swój stary pojazd – Perseverance’a – a z Księżycą miało niedługo ruszyć w podróż na Marsa podobne mechowi ciało dla osobliwości. Była dla nich wielką niewiadomą i wielką nadzieją: w jakiś sposób obudziła przeciw planetę i porozumienie z jej zaktualizowaną wersją być może pozwoli zniwelować skażenie globu. Zwłaszcza przy wsparciu Patrona i superinteligencji.



Gdy blask rzucany przez komętę na Ziemię się nasilił, oba niezwykle ziemskie twory zalało odległe światło i przez chwilę to one przykuwały spojrzenia zebranych.

Wielkie, przyobleczone w warkocz ciało niebieskie, przybysz z innych Układów, mknęło prosto w planetę, jakby wymierzone precyzyjnym okiem. Rozległo się kilka krzyków i sporo przekleństw, gdy kometa rozpalila się w zderzeniu z ziemską atmosferą, zapłonęła niby okruh Słońca i zagłębiła w poprzetykaną puchem chmur czerń.

– Lek na niekontrolowany rozrost Wszechświata – mruknął Lew, zalewany przez odczucia Patrona. W jego świadomości zapłonął krzyż z przybitym do niego mężczyzną, bo zakodowane z dawna w ludzkiej psychice symbole wychynęły na wierzch, próbując oddać sens patronowych doznań. – Współczucie.

Suri kurczowo zacisnęła dłoń na ramieniu Lwa, wielkimi, szklistymi oczami patrząc w ekran. Zamiast wybuchu, który każdy potrafił w nocy o północy odtworzyć w wyobraźni z powodu setek filmów o końcu Ziemi, rozżarzona kometa zaczęła gasnąć. Pożerał ją niezwykle kosmiczny wędrowiec, który oplótl całą planetę i zapewnił jej przetrwanie.

Tak umierało wielkie, nabrzmiałe na pożywce z życia na Ziemi ciało Patrona. Pochłonęło energię uderzenia, wyczerpało cały wyhodowany na pożeraniu ładunek ciemnej energii i zniszczyło komętę. Jego i jej szczątki będą zalegać na planecie, póki nie przebiję się przez nie nowe, kolejne ewolucyjne rozdanie kart po szóstym, bądź co bądź finalnie nieudanym wymieraniu. Taka bowiem była umowa. Powrotów nie ma. Ziemia nie należała już do ludzi.

Po wymieraniu ordowickim, dewońskim, permskim, triasowym i kredowym oto nastąpiło wymieranie zgnilcowe.

Lew zobaczył w swojej głowie wyraźne wspomnienie – moment, gdy wyrzwał za kotarę przez okno salonu. I ogromną świadomość na niebie, nakazującą mu nie patrzeć, mówiącą, że jeszcze nie czas, choć wtedy nie rozumiał jej języka.

I w tym momencie właśnie pojął, jak nazwać w człowieczym języku wielką sieć, do której zyskali dostęp, lecz nie wiedzieli jeszcze, czy się ujawnić i w nią zagłębić. Wielką sieć niby neurony, galaktyki rozpalone mnogością danych. Może o tym, czy się ujawnić innym użytkownikom, zdecydować mieli ich potomkowie.

Lew pomyślał, że skoro to wszystko, co człowiek uważał za swój świat, za wielki, pusty Wszechświat, w którym tkwi samotne życie ziemskie niby centrum kosmosu... pod tym względem, niezależnie od Kopernika i wszelkich badań, nic się w świadomości człowieka nie zmieniło... Skoro to wszystko okazuje się jedynie rubieżą zamieszkałych obszarów Drogi Mlecznej... to dla tego WSZYSTKIEGO jest tylko jedna stosowna nazwa.

Nieświat.

* *W Call of Duty: Advanced Warfare* wciśnięcie F to oddanie holdu innemu graczowi (*pay respects*); zwyczaj ten przeniknął do sieci i jak widać, przetrwał do czasów Lwa. Bywa używany sarkastycznie (na przykład w memach), jak i na poważnie.

** *Bambinizm (Bambie Syndrome)* – wyidealizowane, naiwne postrzeganie świata przyrody, podobne do prezentowanego w filmach rysunkowych dla dzieci, biorące się ze znacznego oddalenia człowieka od rzeczywistego świata przyrody i ignorowania jego prawdziwego funkcjonowania.

*** Kontrowersyjna teoria Grahama Hancocka zaprezentowana w serialu dokumentalnym *Prehistoryczna apokalipsa* (2022).

Podziękowania

Powieść pisana była w latach 2017–2023, w Polsce, Chorwacji, we Włoszech, w Czechach, Szwecji. Gdy książka powstawała, zapisywałam ją czerwonym kolorem, aby podkreślić istotną rolę Marsa w tej historii. Pomysł, by pisać w tym kolorze, zaszczerpiła we mnie książka wydrukowana na zielono; ktoś dał mi ją do ręki na proekologicznej konferencji naukowej, którą obsługiwałam w trakcie doktoratu. Nie zapamiętałam tytułu ani autora, tylko ten zielony kolor czcionki. Symbole mają dla nas niejednokrotnie ważniejsze znaczenie niż treść, ale czerwony krój pisma przeszkadzałby wam w czytaniu i byłby problematyczny w druku, postarałam się więc o czerwoną okładkę.

Sądzę, że *Nieświat*, podobnie jak niegdyś *Openmindera*, którego napisałam w 2015 roku, można by nazwać użytym przez redaktora Michała Cetnarowskiego mianem „patchwork science fiction”. Mam nadzieję, że wiele elementów, składających się na tę opowieść, stworzyło satysfakcjonującą czytelników całość. Pierwsze podziękowania należą się właśnie wam. Przetrwaliście podróż na Marsa.

Ciekawe, jaką drogę na niego byście wybrali: Lwa, Miłki, Abigail, Suri?

Przez te sześć lat pisania i przygotowywania *Nieświata* zdarzyło się wiele rzeczy, które miały wpływ na finalny kształt książki. Szczególnie podziękowania należą się:

mojemu mężowi, który zabiera mnie w inspirujące podróże po Europie i puszcza dziesiątki programów o kosmosie, aż w końcu przywiódł mnie do współpracy z redakcją *Uranii i Astronarium*;

ekipie *Uranii i Astronarium* za doskonałą współpracę i dostęp do rzetelnych treści;

twórcom imitacji stacji badawczej ISS w Sopotni Wielkiej za to, że mogłam ubrać się w kombinezon NASA i zawiadywać misją;

twórcom *Perseverance’a* i *Opportunity* za to, że udało się osadzić łaziki na powierzchni Marsa i odkrywać nieznaną;

Polskiej Fundacji Fantastyki Naukowej, z którą dobry los związał mnie już na początku jej powstania, aż przywiódł do momentu, w którym zostałam (w tym roku) prezeską jej zarządu. Bardzo wam dziękuję, że możemy razem robić fantastyczne rzeczy;

dziewczynom z grupy „Dziewczyny w spektrum autyzmu” za podzielenie się własnymi doświadczeniami z nastoletniego życia, dzięki czemu mogłam uzupełnić własne i nadać odpowiednie cechy Suri;

Agnieszce, której wnikliwe pytania o Patrona na jednym z Woodstocków pozwoliły mi nadać mu pełny kształt w wyobraźni;

moim czytelnikom, bo cierpliwie czekali;

i na koniec (ostatni będą pierwszymi) ekipie SQN-u, dzięki której pod koniec 2021 roku napisałam *Lwa i stalkera z grzywą*, zbiór siedmiu opowiadań wprowadzających do powieści. SQN uwierzył w potencjał *Nieświata*, tak jak w inne moje fantastycznonaukowe pomysły,

i pomagał mi go rozwijać. Szczególnym i absolutnie niesamowitym członkiem tej ekipy jest Kamil Misiek, z którym przez lata załatwiłam milion spraw i który odpisuje mi na każdego maila – życzliwie, o najróżniejszych porach, i bez „nie da się” – jest takim opiekunem wydawniczym, jakiego każdemu życzę. Ukłon należy się także niezależnemu redaktorowi, Sylwestrowi Gdeli; towarzyszy moim utworom od początku jako betacytacz, a uniwersum Nieświata wziął wreszcie pod swoje redaktorskie skrzydła. Razem uczyliśmy się zarówno pisarskiego, jak i redaktorskiego fachu i cieszę się z miejsca, w którym się znaleźliśmy, choć dla nas obojga książki to tylko jedna z pasji.

Jeśli nie czytaliście prequela *Nieświata*, czyli *Lwa i stalkera z grzywą*, zachęcam do sięgnięcia! Cały mój dochód z niego idzie do Fundacji Ekologicznej ARKA, na ratowanie planety i ekoedukację. Fundacja prowadzi fantastyczną akcję Książka za drzewo.

Pozdro z Marsa (posłowie)

Sol Dzień dobry, Ziemiańskie!

Pisałam tę książkę sześć lat. Przez ten czas zdążyłam wydać sześć innych! *Nieświat* to mój rekord, długi projekt, jak cztery podróże w tę i z powrotem na Marsa. Dlatego pozwólcie, że wyjaśnię kilka rzeczy i własną Intencję na tych ostatnich kartkach. Długo przyglądałam się nieświatowi i zrodziło się we mnie nieco przemyśleń, które chciałabym zachować.

Po pierwsze! Język.

Ponieważ nadawałam sygnał dla wszystkich odbiorców, w różnym wieku, język czasem był bliższy młodzieży, a czasem dorosłym. U was, pod Księżycem, nauczyciele lubią grzmieć o starannym języku literackim, a redaktorzy wtórują, by nie używać w narracji słów potocznych. Ale tutaj, pod Fobosem i Deimosem, pozwalamy wszystkiemu rozwijać się nieco swobodniej.

Kilka lat pracowałam w Domu Kultury i przysłuchiwałam się młodzieży. Sama nie byłam układną nastolatką i potoczność zawsze mieszkała w moim języku. Miałam przez to nie lada problemy na doktoracie – bo doktoraty trzeba pisać bardzo sztywnym językiem naukowym. Powiem wam coś, bo to nie szkoła ani uczelnia, a moja książka: nie wszystko, co przekazują wam nauczyciele, to coś więcej niż porządkujące nasz ludzki świat założenia. Tak jak nie wszystko, co mówią redaktorzy i spece od języka, jest konieczne i zasadne. Pewne zasady i założenia są nam potrzebne i należy je znać, stosować, jednak ograniczając język w strachu przed nowym i nieznanym, ograniczamy zrozumienie rzeczywistości.

Przez szkołę czy redakcję przejść trzeba, ale ja to sobie wyobrażam tak, żeby jednocześnie nie zatracić siebie ani ciekawości poznawczej oraz kreatywności.

Ale nie spodziewajcie się ode mnie gotowej recepty na odróżnienie bzdury od faktu albo tego, kiedy dokonać poprawki w tekście, a kiedy odmówić. To byłoby wciskanie prawdy, a ja chcę tylko napomknąć o prawdy poszukiwaniu. Waszej prawdy. I zachęcić do swobodnego języka waszych narracji.

Po drugie! Czas.

Ponieważ Patron był uprzejmy sprawić, że postrzegam czas nieliniowo – opanujecie ten greps, gdy dotrzecie na Marsa – znam nie tylko przeszłość i teraźniejszość, ale i przyszłość. Skorzystam więc z tej supermocy i opowiem o tym, co będzie.

Jeszcze możemy przez chwilę tkwić w uniwersum powieści, jeszcze nie zamknęliście książki, załóżmy więc, że na Ziemi został już tylko nieświat.

Tak naprawdę nie uważam się za futurolożkę; jestem filozofką i fantastką w jednym, a mój filozoficzno-fantastyczny idol to Stanisław Lem. Filozofowie ciągle wątpią i wiedzą, że nic nie wiedzą, fantaści naginają ramy rzeczywistości, i łączący jedno z drugim Stanisław

Lem – z tego, co wiem i na ile czytałam się w jego słowa – za futurologa się w żadnym razie nie uważał. Odnoszę wrażenie, że zabawą założeniami na temat przyszłości starał się zdiagnozować człowieka tu i teraz, zupełnie jak lekarz, którym był z wyuczonego zawodu.

Jego diagnozy z czasem stawały się coraz mniej optymistyczne – samo życie, im jesteśmy starsi, tym lekarze muszą wyszukiwać coraz więcej eufemizmów na określenie naszego stanu – ale to nie znaczy, że w książkach Lema w którymkolwiek momencie zabrakło nadziei. Nawet jeśli nie silił się na eufemizmy.

Też chcę się z wami pobawić pewnym założeniem na temat przyszłości: nieświatem. Nieświat sugeruje jakieś zaprzeczenie świata, odwrotność, martwość. Dlatego mam nadzieję, że finał opowieści was zaskoczył. Chciałabym doświadczyć podobnie zaskakującego dla mnie finału naszej historii.

Po trzecie! Inny.

Część z was wie, a pozostali zaraz się dowiedzą, że w sieci figuruję jako Cool Story Naz (od nastoletstwa mam ksywkę Naz). Jest tak nie bez powodu. Wszyscy rozumiemy, co oznacza frazes *cool story bro*, a jeśli nie, już wyjaśniam: mówimy tak, gdy ktoś pociska kit czy przynudza. Niektórzy uważają moje historie za nazbyt dziwaczne, a do tego są one, cóż, kitem, bo przecież fikcją (i w większości fantastyką, więc kitem najczystszy). Celowo zagarnęłam więc to określenie do reinterpretacji. Jestem trochę inna, opowiadam trochę inaczej i coraz więcej wiem o sobie i pisaniu, tak by bawić się swoją innością, dlatego Cool Story Naz nabrało dla mnie innego znaczenia od pierwowzoru.

W moich *cool* historiach chodzi o to, by nie wstydzić się bycia innym, frikiem, ani najdziwniejszych rozkmin. Ja jestem frikiem, od małego mam dziwne rozkminy i się tego (już) nie wstydzę, przeciwnie, pilnie je spisuję. I w tej chwili nie mówię tylko o tym, że jestem autystyczna czy że mój neuroatypowy mózg pretenduje jeszcze do innych „zaburzeń”, które nadal diagnozuję. Chodzi mi tu konkretnie o szczególny rodzaj pesymizmu, z jakim żyję na co dzień, odkąd pamiętam, który rozgryzałam dziesiątki lat i z którym za pan brat piszę książki. Tak, pesymizmu, cóż za paskudne słowo – jeśli użycie go na portalach społecznościowych, to wam obniżą zasięgi, bo w idealnym świecie reklamować wolno tylko radość i optymizm. Jest już prawie tak, jakbyśmy żyli w świecie *Surogatów* (a film był jedną z inspiracji dla *Nieświata*). Ten mój „brzydki” pesymizm, który według powszechnej narracji należałoby głęboko schować lub radośnie odmienić, jest jednak pragmatyczny. Ale nazwiemy go tak, by wprawić w konsternację zawiadujące naszym wirtualnym życiem SI. Poprzez oksymoron: pesymizm optymistyczny!

Wy też jesteście skonsternowani? To potrwa tylko chwilę, i wybaczenie trzaski, w tym miejscu klóciłam się z wydawcą o długość tej wiadomości, każdy bajt slany w przeszłość to olbrzymia kasa!, po prostu przysła burza piaskowa. Wciąż jeszcze są częste na Marsie.

No dobrze. A więc po czwarte. Wojna.

Przekoczmy teraz do 2022 roku. Wyostrzmy wizję. Za naszą granicą odbywa się bestialski akt agresji. Po pandemii jesteśmy bardziej świadomi niż wcześniej, że nasz świat w każdej chwili może się rozpaść. Jestem z pokolenia, dla którego to szok, wychowywanego do różnie rozumianej wolności. Niezależnie, czy to był dla kogoś wstrząs, czy nie, po ostatnich latach

wszyscy lepiej niż wcześniej rozumiemy, że ludzie dotknięci wojną, uciekając do nas, mogliby w ramach powitania powtórzyć za panem Waglewskim bardzo znamienne słowa:

TWÓJ ŚWIAT ZACZYNA PŁONAĆ, BO MÓJ ŚWIAT OD DAWNA PŁONIE*.

To zdanie zakłada pewną iluzję, w której wciąż chcemy żyć, może rozpaczliwiej niż kiedykolwiek, a której na długo pozbawieni zostali bohaterowie niniejszej książki. Ci, którzy w nieświecie są po nas.

Ale my przecież także jesteśmy jej pozbawiani. Jeszcze nie tak totalnie. My jeszcze siedzimy okrakiem na płocie. Postaciom w tej książce płoty żezał Zgnilec.

Nie rozumiem, dlaczego istnieje wojna. Jak można podjąć akt zbrojnej agresji. Jak człowiek może być tym rodzajem zwierzęcia, które zabija i krzywdzi.

Tak mogłabym powiedzieć, chciałabym tak powiedzieć, och, jakie to byłoby wygodne!

Ale to byłoby kłamstwo. Rozumiem, dlaczego istnieje wojna i krzywda.

Jest wpisana w naszą naturę.

Prawdopodobnie nie widzę przez to dla człowieka świetlanej przyszłości, a niniejsza opowieść, pisana w latach 2017–2023, to nie historia świata, lecz nieświata. Spodziewam się końca.

Prawdopodobnie przez to poczułam ulgę, gdy dowiedziałam się, że Stanisław Lem był, podobnie jak ja, rozczarowany swoim gatunkiem.

Prawdopodobnie przez to nie czuję żalu, który w prequeli do niniejszej książki, Lwie i stalkerze z grzywą, Finka nazywa zgniłym żalem. Żalem wobec przodków, którzy nie zostawili jej w spadku świata. Pozostawili, no właśnie, nieświat.

Ja, pesymistka, jestem wolna od żalu i smutku. I wypiszę na to receptę. To najlepsze, czym mogę się podzielić.

A więc po piąte. Idea.

Mówię to prosto z mostu, kochani: czuję, że jestem w obozie przegranych. Jako filozofka nauczona pragmatyzmu koncepcji Prawdy (w ujęciu Kanta), Dobra (gdy dobro za Machiavellim oddzielimy od prawdy) i Piękna (Heideggerowskiego, wykraczającego poza estetykę), wiem, że oczekiwanie od wszystkich kierowania się cnotami filozoficznymi czy wywiedzioną później etyką chrześcijańską jest niemożliwe, a one same okazują się słabe i zawodne wobec pierwotnej, agresywnej i zaborczej natury. Gdyby było inaczej, nie istniałyby już wojny.

Filozofowanie, etyka, estetyka i tak dalej wzięły się z eksperymentu natury, były skutkiem ubocznym, błędem wręcz, gdy zabawiała się swoimi próbkami na wielkim ziemskim placu zabaw. I w pewnym momencie wyszedł jej pokraczny homo sapiens – dokoptowała ciekawskiej małpie mały palec u nogi, a ta na te nogi wstała, aż jej się czacha powiększyła i mózg rozrósł. A to się natura zadziwiła, co to jej wyszedł za myśliciel. I ten twór zaczął filozofować i coś sobie wyobrażać, zwłaszcza że jest ponad pierwotne instynkty, że „nie zabijaj” to będzie banalna Prawda dla każdego człowieka – słowem, choć natura stworzyła doskonałego konstruktora, wyszedł jej też naiwny idiota.

Kierując się koncepcją Lemowskiego samolubnego genu (wcześniejszą od teorii Dawkinsa), z którą bardzo sympatyzuję, pomyślałam sobie (gdy już skończyłam dziesięć lat studiów filozoficznych i hobbystycznie zajęłam się astronomią), że naturze zależy, by życie się hen rozsiało. Rozsiewa się na przykład przez asteroidy, istnieje choćby prosta teoria, że na asteroidzie przybyło do nas z Marsa, i z tą prostą teorią zabawia się niniejsza książka.

Ale człowiek, ta ciekawska małpa, może jeszcze inaczej rozsiać po kosmosie zaborczy, agresywny samolubny gen. Bezwzględny, a więc skuteczny nośnik życia, prawdziwe perpetuum mobile natury.

W maszynie.

Ciele o wiele bardziej długowiecznym i wytrzymalszym. W *Nieświecie* i *Lwie...* sporo takich spotkaliście, bo ku nim dążymy. One nas zastępują. Przystajemy być sami sobie potrzebni w świecie rzeczywistym i przenikamy do światów, które sobie na nim nadbudowaliśmy. Choćby do wirtuala, w niniejszej książce zwanego Inkarnią, bardzo zaawansowanej sieci.

Niektórzy uważają, że maszyna to zaprzeczenie życia i natury; Stanisław Lem przestrzegał, by nie naruszać ludzkiej tożsamości poprzez zespolenie z maszyną czy bioinżynierią. I właśnie tutaj dochodzimy do momentu, w którym optymizm i idealizm stykają się z pesymizmem i realizmem. Natura w nas zainwestowała – a z ciekawskiej małpy za jej sprawką wyrosliśmy w pioniera lotów kosmicznych, jak i w agresywnego, morderczego zaborcę z pomysłami na broń masowej zagłady, która być może finalnie zniszczy planetę. Sądzę więc, że maszyna w kosmosie, wywiedziona z ludzkiej inteligencji, tak samo pionierska, jak mordercza i zaborcza, to cel natury. Pełni pięknych ideałów nauczyliśmy się sądzić, że niszczenie planety to przeczenie naturze. Ale co, jeśli pokusić się o założenie, że naturze w to graj, gdy w planetę pełną życia wali kometa (rozsiewając materiał) lub niezwykle agresywny przejaw życia znajduje nowe sposoby przetrwania w próżni kosmicznej kosztem wszystkich innych żywych stworzeń na powierzchni planety?

Przecież to dla natury w pewnym sensie pragmatyczne. Przecież życie chce się rozsiewać. Każdy wirus, każdy gatunek. Wiecie, ile w kosmosie jest planet do zapłodnienia życiem? Nie wiecie, bo jeszcze nie znaleźliśmy jego krańca. Uzbrojona w nas natura miałaby tu siedzieć kolejne x lat? To byłby zastój, stagnacja, zaprzeczenie wszystkiego, co ona czyni od początku naszego małego ziemskiego świata: życia, ewolucji, ekspansji.

Gdyby życie było stateczne i zachowawcze, a nie agresywne i skłonne do ryzyka, nie istniałby Patron ani nawet my! A wy nadal nie mielibyście szans odebrać wiadomości z Marsa w czasie rzeczywistym.

Wiem, że myśl o człowieku jako „małpie, która potrafi zrobić najprecyzyjniejszą brzytwę, aby poderznąć gardło drugiej małpie”^{***}, jest pesymistyczna. Czuję, że finalnie żadna cnota, żadna idea niewiele wskóra wobec tego faktu. Że bycie miłosiernym zda się na nic, jest wręcz nienaturalne. Uważam jednak, że warto być w tym przegranym obozie. Być tym przegranym frikiem, opowiadającym *banialuki* o cnotach i ideach. I przegrywać dzielnie do samego końca. Defetystyczne bycie pesymistą nie musi się wiązać z biernością. Na tym właśnie polega optymistyczny charakter mojej filozofii. Myślę, że jest pewnym rodzajem odwagi wiedzieć, że się przegra, a mimo to obstawać przy swoim. Nie wierzę w człowieka.

Powtarzam. Ale wierzę w tego, kim człowiek może się stać, poszukując Prawdy o Pięknym Dobru. Jeśli natura stworzyła nas, byśmy byli etapem dla czegoś trwalszego i bezwzględniejszego, byśmy, tak inteligentni, że ślemy maszyny w kosmos, stali się jednocześnie hekatombą dla własnego domu – przyjmując tę możliwość. Że należą do takiego gatunku. Że to we mnie gdzieś jest.

Bestia. Kat. Morderca. Destruktor i autodestruktor.

I się z tym nie zgadzam. Jeśli ludzka natura ostatecznie jest destrukcyjna, chcę temu zaprzeczać do końca świata i jeden dzień dłużej. Chcę wam kibicować, kiedy powołujecie na ten świat nowe istnienia, uczycie je miłości, tworzyście dzieła sztuki, poszerzacie naukę, rozdajecie miłe gesty, kiedy bierzecie w opiekę słabe i chore, kiedy przekazujecie sobie nadzieję. Nie wierzę w człowieka. I właśnie dlatego zdecydowałam mu się to powtarzać. Ty, agresor, ty, być może jedynie etap, ty, destruktory – możesz temu wszystkiemu zaprzeczyć. Nawet jeśli będzie nas mniej niż tych, którzy nie podejmą wysiłku, nie wygrają z instynktem. Tych, w których nie wierzę.

A cóż... tak pewnie będzie.

Dlatego chciałam dać wam nieświat. Nie chcę, by potomnym pozostały do nas jedynie zgniłe żale. Nie chcę, byśmy byli sami w tym Układzie Słonecznym. Nie chcę, by nie miał nas kto uratować, jeśli sami nie potrafimy. Fikcja pozwoliła mi na pocieszenie.

Jeżeli świat jest taki, jak się obawiam, i czeka go, to czego się obawiam – dam wam nieświat. To mój rodzaj buntu. W książce *Puste diabły*^{***} (2021) moja bohaterka mówi: „wasze dzieci będą z głodu zjadać kartki moich książek”. Teraz znowu wyskakuję z jakimś nieświatem. Dla mojego pokolenia, wychowanego do wolności, brzmi to najpewniej złowroźnie. Dla pokolenia, z którego są Lew, Finka, Suri, Abigail, to nie jest jednak przestroga, bo ich nie ma już przed czym przestrzegać.

Pragnę umysłowej pożytki dla potomnych. Nie suchych faktów, samych odgórnych założeń ani półprawd. Chcę mówić o trosce o nich, o planetę, ale nie w naiwny sposób, a pokazując jednocześnie, jak nieznaczący jesteśmy w skali kosmosu, a nawet w skali Ziemi niszczonej przez gigantów przemysłu. Chcę, byśmy opuścili myślową pułapkę. Mówiąc: być może nic nie możemy – dać wolność od żalu, a nie zgodę na bierność. W pierwszej chwili zdanie z *Pustych diabłów* może wywoływać szok, ale pod wizją zjadania papieru kryje się coś więcej. Mój apel do pokoleń współczesnych, do zwykłych ludzi, by podjęli własną refleksję, a nie ucieczkę od świadomości tego, co po sobie pozostawimy. Nie ucieczkę przed rozmową o tym z kolejnymi pokoleniami, które wciąż uczymy tylko przeszłości, bez przyszłości. I to cały czas mam na myśli, opowiadając swoje inne historie, ukazujące pesymistyczne wizje świata naszych potomków, jednak pełne optymistycznego braku bierności. To mam na myśli, gdy oddaję dochód z książki na rzecz fundacji ekologicznej kładącej szczególny nacisk na ekoedukację.

Przyjając perspektywę porażki nie oznacza się poddać. Wszyscy chcielibyśmy wierzyć, że będzie dobrze, ale to nie idzie w parze z mocą, by do tego doprowadzić. Jeśli wiara w to, że będzie dobrze, że ci będący w mocy wszystkiego nie zniszczą, jest naiwna, to niczego nie zmienia poza niwelacją żalu. I w tej perspektywie tym bardziej warto się sprzeciwić. Warto podjąć wysiłek i otworzyć oczy. Jeśli przestaniemy zaprzeczać, że zmierzamy ku końcowi,

iluzja opadnie. Świat płonie i wystarczy chcieć to zobaczyć. O tej iluzji pisałam już choćby w *Trupokupcach*^{****} (2020): „Małe końce światów [własna śmierć] to te, które można jeszcze ignorować, ale czuć, że nadejdzie ich Król [koniec ludzkości]; jest to pewne i prawdopodobnie z całych sił witalnych wszyscy odpychamy od siebie tę wiedzę, wybierając z zimnej ziemi czarne nasiona i paląc je w ogniu kojących namiętności. Grzejąc się w świetle gwiazdy, zbudowani z prochów innej, sami w ciemnym morzu niezbadanego. Zbuntowani, uśmiechnięci, kpiący; wewnątrz zrozpaczeni i zagniewani, cwani i spokojni na zewnątrz; karmieni największym kłamstwem najsmutniejszej z istot, bo nazbyt samoświadomej: że to my jesteśmy monarchami czegokolwiek”.

Być może jesteśmy tylko narzędziem, etapem, destrukтором i nie umkniemy własnej morderczej naturze. Instynktowi silniejszemu od woli. Być może jestem (tym, czym stworzyła mnie natura) jest ważniejsze niż myślę (i sam decyduję o tym, kim jestem). Ale jestem, więc myślę (zaraz nam tu wyjdzie, kto spał na polskim, bo lekcja nie wzbudziła w nim ciekawości, lecz jedynie ochotę na drzemkę!).

Nigdy nie zgodzę się z naturą niszczyiciela, kochani, choć tkwi we mnie, bo jestem człowiekiem. Wypowiadam własnej naturze wojnę.

Więc tworzę i tworzę, i tworzę.

Nasz świat zaczyna płonąć. Dajecie na to zgodzę? To trudne, więc choćby tylko na chwilę, na postawienie kropki w tej książce. Wybiegliśmy w niej ku końcowi naszego wieku, a ja opowiedziałam, bez żadnej cenzury, o zgłiszczach Ziemi, odradzającym się Marsie i pewnej starej stacji kosmicznej. A przede wszystkim o innych. Innych niż wy, niż to, co ziemskie. Perspektywa innych poszerza pole widzenia. Opowieści frików, obcych, wszelkie te cool story spoza naszej bańki. Innych, których światy być może dawno już spłonęły, bo Wszechświat tak już ma, że nieustannie coś się w nim rozpala i gaśnie. Spojrzeliśmy na wszystko trochę szerzej, nawet jeśli nasze zdolności poznawcze zawiodły w zderzeniu z Patronem. Mogliśmy popatrzeć na siebie z dystansu olbrzymiego kosmosu, oczami innych istnień we Wszechświecie. Przestać być tak kurczowo antropocentrycznymi. Istnieje filozofia, która mówi, że niepotrzebnie wierzymy naszym ulotnym myślom i uczuciom. Wierzymy wściekłości. Poczuciu krzywdy i niezrozumienia. Osamotnieniu. Wierzymy, że pozostaje nam tylko wypowiedzieć wojnę. Temu, kto myśli inaczej, kto się z nami nie zgadza, kto ma mniej lub więcej, kto uwierzył swoim przelotnym stanom. A co, gdyby pozwolić im istnieć – jak ustaliliśmy, są naturalne – ale nie przywiązywać do nich wagi? Nie wypowiadać wojny. Nie klócić się. Nie nacierać żalem. Odebrać im ważność. Pozwolić im odejść. Jeśli możemy cokolwiek wskórać bez miliardów na koncie, to czy nie właśnie to, że gdy w naszych głowach wzbierają ciemne chmury, skupimy się na słońcu na zewnątrz? Jest tam zawsze, nawet za chmurami, tak jak my pod naszymi chmurami nie jesteśmy gniewni, a spragnieni idealnego świata, bo chcemy przekraczać naturę. W ten właśnie sposób my, wewnątrz, nie wypowiemy prawie nikomu wojny. Nie uwierzemy chwilowej słońce, że słońca nie ma. Wypowiemy ją jedynie tej części własnej natury, która tworzy instynkt egocentrycznego niszczyiciela. Zależy jej tylko na najsilniejszym osobniku, który przetrwa. Wylonionym z wojny. Jest prymitywna.

Dałam znać, co według mnie naprawdę może pomóc przetrwać burzę. Ona i tak pewnie przyjdzie i będziemy musieli stawić jej czoła. Drogą instynktu, zawsze takiego samego, lub drogą idei, jakże różnych, czasem wręcz niewiarygodnych.

Na przykład miłosierdzia. Jak Patron.

O. Burza na Marsie właśnie minęła.

* Fisz Emade Tworzywo – *Nie za miłe wiadomości* (tekst: Bartek „Fisz” Waglewski).

** Stanisław Lem, wywiad z 14 listopada 1998 roku.

*** Wydane przez Virtualo/EmpikGo.

**** Wydani przez SQN.

Nieświat

Copyright © by Magdalena Świerczek-Gryboś 2023

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2023

Redakcja – Sylwester Gdela

Korekta – Joanna Blakita, Paweł Wielopolski

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc

Grafika na okładce – Askhat Gilyakhov, Brovko Serhii / Shutterstock.com

Asteryski – Marek Gryboś

Rysunki – Vivi Ekhart

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Dropi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2023

ISBN mobi: 9788383302164

ISBN epub: 9788383302171



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiąg, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia
Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Julia Siuda, Zuzanna Pieczyńska

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski, Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekaj, Małgorzata Pokrywka

finanse: Karolina Żak

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziaż

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labetiga.pl